

N E I L



G A T M A N



Meropa  
riva

**NEIL GAIMAN**

## **KSIĘGA CMENTARNA**

Tłumaczyła: Paulina Braitner

Rozrzucie kości  
Po całej włóści,  
To tylko nędzarz,  
Nikt go nie ugości.

Tradycyjny wierszyk dziecięcy

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Jak Nikt nie odszedł z cmentarza

W ciemności przesuwała się ręka trzymająca nóż. Nóż miał rękojeść z polerowanej czarnej kości i klingę gładszą i ostrzejszą niż jakakolwiek brzytwa. Gdyby cię skaleczył, pewnie nawet nie zauważyłbyś tego. Nie natychmiast.

Nóż zrobił już niemal wszystko, co miał do załatwienia w tym domu. Zarówno klinga, jak i rękojeść były mokre.

Drzwi wejściowe wciąż stały otworem, lekko uchylone, tak jak zostawił je nóż i człowiek, który go trzymał, gdy wśliznęli się do środka. Białe smużki nocnej mgły wnikały przez szczelinę do domu.

Ów człowiek, Jack, zatrzymał się na podeście. Lewą ręką wyciągnął z kieszeni czarnego płaszcza wielką białą chustkę i wytarł nią starannie nóż wraz z okrytą rękawiczką prawą dłonią, która go dzierżyła; potem schował chustkę. Polowanie niemal dobiegło końca. Kobietę zostawił w łóżku, mężczyznę na podłodze w sypialni.

Starsze dziecko, dziewczynkę, w jej kolorowym pokoju, otoczoną zabawkami i na wpół ukończonymi modelami. Pozostał tylko chłopczyk, właściwie niemowlak. Jeszcze tylko on i zadanie będzie można uznać za wykonane.

Rozprostował palce. Jack był przede wszystkim profesjonalistą, tak przynajmniej często powtarzał i nie pozwoliłby sobie na uśmiech przed końcem roboty.

Włosy miał ciemne, oczy także. Na dłoniach nosił czarne rękawiczki z najcieńszej jagnięcej skóry.

Pokój malucha mieścił się na samej górze. Jack ruszył schodami, stąpając bezszelestnie po wykładzinie. Pchnięciem otworzył drzwi na strych i przekroczył próg.

Jego uszyte z czarnej skóry buty błyszczały tak bardzo, że wyglądały jak ciemne zwierciadła: było w nich widać odbicie małego jasnego sierpa księżyca.

Prawdziwy księżyc świecił za oknem, jego słaby blask dodatkowo rozpraszała mgła. Lecz

Jack nie potrzebował zbyt wiele światła. Księżyc mu wystarczał. W zupełności. Widział już sylwetkę dziecka w łóżeczku, głowę, kończyny, tors. Łóżeczko miało wysokie ścianki ze szczebli, niepozwalające dziecku wyjść. Mężczyzna imieniem Jack pochylił się, uniósł prawą dłoń, tę z nożem, i wycelował w pierś...

... po czym opuścił rękę. Postać w łóżeczku okazała się pluszowym misiem. Dziecka w nim nie było.

Oczy Jacka przywykły do słabego blasku księżyca, nie miał więc ochoty zapalać elektrycznych lamp. Zresztą światło nie było takie ważne. Dysponował innymi zmysłami. Zaczął węszyć w powietrzu. Nie zwracał uwagi na zapachy, które wtargnęły do pokoju wraz z nim, zlekceważył te, które mógł bezpiecznie zignorować, i skupił się na woni tego, po którego przyszedł. Czuł dziecko: mleczny zapach podobny do ciasteczek w czekoladzie, połączony z kwaśną nutą mokrej jednorazowej nocnej pieluchy. Czuł w jego włosach szampon dla dzieci, a także coś małego i gumowego — zabawka, pomyślał, a potem: nie, coś do ssania — co miał przy sobie chłopczyk.

Był tu jeszcze niedawno, ale teraz już nie. Jack podążył za zapachem na dół, schodami w samym sercu wysokiego wąskiego domu. Sprawdził łazienkę, kuchnię, schowek na pranie i w końcu przedpokój. Nie znalazł w nim jednak nic, prócz rowerów całej rodziny, sterty pustych reklamówek, zużytej pieluchy i zbłąkanych pasemek mgły, które wniknęły do domu przez otwarte drzwi wyjściowe.

Wówczas Jack wydał cichy odgłos, sapnięcie nabrzmiałe frustracją, ale też zadowoleniem. Wsunął: nóż do pochwy w wewnętrznej kieszeni długiego płaszcza i wyszedł na ulicę. Świecił księżyc, a także latarnie, lecz mgła opatulala wszystko, przyćmiewała światła, tłumiała dźwięki, sprawiała, że noc stawała się mroczna i zdradziecka. Spojrzał w dół z boczna, w stronę światel zamkniętych sklepów, a potem w górę, gdzie ostatnie wysokie kamienice ustępowały miejsca ciemności starego cmentarza.

Mężczyzna znów powęszył. A potem bez pośpiechu ruszył na górę.

\*\*\*

Od dnia, gdy chłopczyk nauczył się chodzić, budził rozpacz i zarazem zachwyty rodziców, bo nie miał sobie równych w wędrówkach, wspinaczkach na wszystko co się dało, wchodzeniu i schodzeniu. Tej nocy obudził go jakiś dźwięk dobiegający z piętra niżej, odgłos upadku. Zbudzony, szybko się znudził leżeniem i zaczął szukać wyjścia z łóżeczka. Owszem, miało wysokie ścianki, tak jak kojec na dole, chłopczyk był jednak przekonany, że da sobie radę. Potrzebował tylko jednego stopnia...

Podciągnął w kąt łóżeczka wielkiego, złotego pluszowego misia, a potem, przytrzymując się szczebli małymi rączkami, postawił stopę na jego brzuchu, drugą na głowie, dźwignął się na nogi i częściowo wyszedł, częściowo wypadł na zewnątrz.

Wylądował ze stłumionym łoskotem na stosiku puchatych, miękkich zabawek.

Część z nich stanowiły prezenty od krewnych na pierwsze urodziny niecałe sześć miesięcy wcześniej, część odziedziczył po starszej siostrze. Zdziwił się, lądując na podłodze, ale nie krzyknął — kiedy krzyczał, przychodzili i wkładali go z powrotem do łóżka.

Na czworakach wypełził z pokoju.

Schody wiodące w górę były groźne i trudne, nie opanował jeszcze do końca umiejętności wspinaczki. Już dawno jednak odkrył, że schody wiodące w dół są proste. Pokonywał je, siadając i zsuwając się z kolejnych stopni na solidnie opatulonym tyłeczku.

Possał chwilę gumowy smoczek, o którym matka zaczęła właśnie wspominać, że chłopiec jest już na niego za duży.

Podczas podróży na dół pampers rozpiął się i gdy chłopczyk dotarł do ostatniego stopnia w niewielkim przedpokoju i wstał, pielucha odpadła. Wyszedł z niej. Miał na sobie jedynie dziecięcą koszulkę. Schody wiodące do pokoiów jego i rodziny były strome i groźne, lecz drzwi wyjściowe uchylały się zachęcająco...

Dziecko przekroczyło z lekkim wahaniem próg domu. Mgła opłotła się wokół niego niczym dawno zaginiony przyjaciel. A potem, z początku niepewnie, a potem z rosnącym zdecydowaniem i szybkością chłopczyk podreptał w górę zbocza.

\*\*\*

Kiedy dotarł na szczyt wzgórza, mgła zaczęła rzednąć.

Na niebie świecił półksiężyc, nie tak jasno jak w dzień, bynajmniej, lecz dostatecznie jasno, by było widać cmentarz, o tak.

Spójrzcie. Oto opuszczona kaplica pogrzebowa, żelazna brama zamknięta na kłódkę, bluszcz pnący się po ścianach wieżyczki, małe drzewko wyrastające z rynny na wysokości dachu.

Oto kamienie i grobowce, krypty i tablice. Oto przemykające od czasu do czasu wśród poszycia i przez ścieżkę królik, kret bądź łasica.

Oto, co moglibyście zobaczyć w blasku księżyca, gdybyście tylko byli tam owej nocy.

Zapewne nie zobaczylibyście jednak bladej pulchnej kobiety, która wędrowała ścieżką w pobliżu cmentarnej bramy, a gdybyście nawet ją ujrzeli, drugie uważniejsze spojrzenie upewniłoby was, że to tylko promienie księżyca, mgła i cień. A jednak pulchna blada kobieta była tam — szła ścieżką wiodącą przez grupkę pochylonych nagrobków w stronę bramy.

Brama była zamknięta; zawsze zamykano ją o czwartej po południu w zimie, o ósmej wieczór latem. Część cmentarza okalało żelazne ogrodzenie zwieńczone szpikulcami, resztę wysoki ceglany mur. Pręty bramy rozmieszczono gęsto: nie przecisnąłby się przez nie dorosły, ani nawet dziesięcioletek...

— Owens! — zawołała blada kobieta głosem brzmiącym jak szelest wiatru pośród długich traw. — Owens! Chodź no i popatrz tylko.

Przykucnęła, przyglądając się czemuś na ziemi. Tymczasem plama cienia przesunęła się na ścieżkę i w blasku księżyca zamieniła w posiwiałego mężczyznę po czterdziestce. Mężczyzna spojrział z góry na swą żonę, potem na to, na co patrzyła, i podrapał się po głowie.

— Pani Owens? — spytał, pochodził bowiem z bardziej formalnych czasów niż obecne. — Czy to jest to, o czym myślałem?

W tym momencie przedmiot ich zainteresowania najwyraźniej dostrzegł panią Owens, bo otworzył usta, upuszczając na ziemię gumowy sutek, który dotąd ssał, i wyciągnął małą pulchną piastkę, jakby ze wszystkich sił próbował chwycić bladego palec pani Owens.

— A niech mnie dunder świśnie — rzekł pan Owens — jeśli to nie dziecko.  
— Oczywiście, że to dziecko — odparła jego żona. — Pytanie, co mamy z nim począć?  
— Śmiem twierdzić, że to istotnie pytanie, pani Owens przytaknął jej mąż. — Tyle że nie nasze, bo to dziecko bez wątpienia żyje, a tym samym nie ma z nami nic wspólnego i nie należy do naszego świata.  
— Popatrz, jak się uśmiecha — rzekła pani Owens. — Ma najśłodszy uśmiech na świecie.  
— I niematerialną ręką pogładziła rzadkie jasne włoski dziecka. Chłopczyk zachichotał z radości.

Chłodny wiatr powiał przez cmentarz, rozpraszając mgłę w niższych partiach (cmentarz bowiem zajmował cały szczyt wzgórza i jego ścieżki pięły się w górę, opadały w dół i zapętlały). Grzechot: ktoś przy głównej bramie ciągnął ją i szarpał, potrząsając starą kratą, ciężką kłódką i łańcuchem przytrzymującym oba skrzydła.

— No proszę — rzekł Owens. — Oto rodzina maleństwa przychodzi zabrać je na stęsknione łono. Zostaw małego dodał, bo pani Owens obejmowała chłopczyka bezcielesnymi ramionami, gładząc go, tuląc.

— Ten tam nie wygląda mi na niczyją rodzinę — odparła.

Mężczyzna w czarnym płaszczu zrezygnował z szarpania głównej bramy i oglądał teraz mniejszą boczną furtkę. Ona także była solidnie zamknięta. Rok wcześniej na cmentarzu doszło do aktów wandalizmu i rada Podjęła Stosowne Kroki.

— No dalej, pani Owens, zostaw go. No już, już — ponaglał pan Owens, nagle jednak ujrzał ducha. Opadła mu szczeka i odkrył, że nie wie co powiedzieć.

Myślicie może — a jeśli tak, to macie rację — że pan Owens nie powinien zdziwić się widokiem ducha, biorąc pod uwagę fakt, że oboje z panią Owens nie żyli już od kilkuset lat i ich całe — czy niemal całe — życie towarzyskie ograniczało się do innych martwych osób. Istniała jednak różnica pomiędzy mieszkańcami cmentarza a tym: ostrą, migotliwą, zaskakującą zjawą szarej barwy telewizyjnego szumu, promieniującą paniką i nagimi emocjami, które zalały Owensów jak ich własne. Trzy postaci, dwie większe, jedna mniejsza, lecz tylko jedna wyraźniejsza niż ogólny zarys, błysk. I właśnie ta postać powiedziała: „Moje dziecko! On próbuje skrzywdzić moje dziecko!”

Hurgot. Mężczyzna na zewnątrz ciągnął alejką ciężki metalowy kubeł na śmieci, zmierzając w stronę ceglanego muru, okalającego tę część cmentarza.

— Brońcie mojego syna — powiedział duch i pani Owens pomyślała, że to kobieta.

Oczywiście: matka maleństwa.

— Co on wam zrobił? — spytała, wątpiła jednak, czy duch ją usłyszał.

Niedawno zmarła, biedactwo, pomyślała. Zawsze łatwiej jest umrzeć spokojnie, obudzić się w stosownym czasie w miejscu, gdzie cię pogrzebano, pogodzić się z własną śmiercią i oswoić z pozostałymi mieszkańcami. To stworzenie jednak przepelniał wyłącznie strach i obawa o dziecko, a jej panika, którą Owensowie odczuwali jako niski, przejmujący krzyk, zaczęła przyciągać uwagę innych jasnych postaci, schodzących się z całego cmentarza.

— Kim jesteś? — spytał Kajus Pompejusz. Jego nagrobek zamienił się już dawno w kawałek zwietrzałego kamienia, lecz dwa tysiące lat wcześniej Kajus poprosił, by pogrzebano go na tym wzgórzu obok marmurowej świątyni, nie odsyłając ciała do Rzymu. Był jednym z najstarszych mieszkańców cmentarza. Niezwykle poważnie traktował swoje obowiązki. — Leżysz tutaj?

— Oczywiście, że nie! Sądząc z wyglądu, dopiero co umarła. — Pani Owens objęła

kobietą postać i przemówiła do niej cichym, spokojnym, rozsądnym głosem.

Zza wysokiego muru przy uliczce dobiegł donośny łoskot i brzęk: wywrócił się kubek na śmieci. Mężczyzna wgramolił się na szczyt muru — ciemna sylwetka na tle widocznych we mgle plam światła ulicznych latarni. Wahał się przez moment, po czym zsunął na drugą stronę, spuszczając nogi i zeskakując na ziemię.

— Ależ moja droga — rzekła do postaci pani Owens. Z trzech sylwetek, które pojawiły się na cmentarzu, została już tylko jedna. — On żyje. My nie. Wyobrażasz sobie...

Dziecko patrzyło na nie ze zdziwieniem. Sięgnęło ku jednej z nich, potem ku drugiej i pod rączką poczuło jedynie powietrze. Kobieta postać nikła w oczach.

— Tak — powiedziała pani Owens w odpowiedzi na coś, czego nie słyszał nikt inny. — Jeśli zdołamy, zrobimy to. Odwróciła się do mężczyzny obok niej. — A ty, Owens? Czy zostaniesz ojcem tego maluszka?

— Czy co? — Owens zmarszczył brwi.

— Nigdy nie mieliśmy dziecka — oznajmiła jego żona. A matka chce, żebyśmy się nim opiekowali. Zgodzisz się?

Mężczyzna w czarnym płaszczu potknął się o kłębowisko bluszczu i potrzaskanych nagrobków. Podniósł się szybko i ruszył naprzód ostrożnie, płosząc sowę, która odleciała bezszelestnie. Zobaczył dziecko i jego oczy zalśniły triumfalnie.

Owens wiedział co myśli żona, kiedy przemawia tym tonem, ostatecznie nie na darmo byli małżeństwem za życia i po śmierci przez ponad dwieście pięćdziesiąt lat.

— Jesteś pewna? — spytał. — Absolutnie pewna?

— Nigdy w życiu nie byłam pewniejsza.

— W takim razie tak. Jeżeli ty będziesz mu matką, ja będę ojcem.

— Słyszałaś? — spytała pani Owens, zwracając się do migotliwej zjawy na cmentarzu, z której pozostał już jedynie zarys sylwetki, niczym odległa letnia błyskawica w kształcie kobiety. Powiedziała do niej coś, czego nie usłyszał nikt inny, i zniknęła.

— Nie wróci tu więcej — oznajmił pan Owens. — Następnym razem ocknie się na swym własnym cmentarzu czy też tam, dokąd zmierza.

Pani Owens pochyliła się nad dzieckiem i wyciągnęła rękę.

— Chodź — rzekła ciepło. — Chodź do mamy.

Mężczyźnie, Jackowi, maszerującemu ku nim ścieżką przez cmentarz z nożem w dłoni, wydało się, że kłęb mgły spowił dziecko w blasku księżyca, a potem dziecka już nie było: pozostała tylko wilgotna mgła, księżycowe promienie i rozkołysana trawa.

Zamrugął, węsząc. Coś się stało, ale nie miał pojęcia co. Warknął w głębi gardła niczym drapieżne zwierzę, wściekłe i sfrustrowane.

— Halo?! — zawołał, zastanawiając się, czy może dziecko nie schowało się za czymś. Głos miał mroczny i szorstki, osobliwie ostry, jakby sam dziwił się jego brzmieniem.

Cmentarz nie zdradzał swych tajemnic.

— Halo?! — zawołał ponownie. Miał nadzieję, że dziecko zapłacze, coś powie albo się poruszy. Nie oczekiwał tego, co usłyszał w odpowiedzi, gładkiego i śliskiego jak jedwab głosu:

— Mogę w czymś pomóc?

Jack był wysoki. Ten mężczyzna wyższy. Jack nosił ciemne ubranie. Ubranie tego mężczyzny było ciemniejsze. Ludzie, którzy zauważali Jacka — a nie lubił być zauważany — czuli niepokój, poruszenie, a czasami niewytłumaczalny lęk. Jack spojrzął na

nieznajomego i to jego ogarnął niepokój.

— Szukałem kogoś — oświadczył, wsuwając prawą dłoń do kieszeni płaszcza, by ukryć nóż, ale mieć go pod ręką.

— Na zamkniętym cmentarzu nocą? — spytał cierpko nieznajomy.

— To tylko dziecko — wyjaśnił Jack. — Przechodziłem tędy, gdy usłyszałem płacz dziecka, zajrzałem przez bramę i zobaczyłem je. Na moim miejscu każdy postąpiłby podobnie.

— Niezwykle doceniam pańskie zaangażowanie — odrzekł nieznajomy. — Gdyby jednak zdołał pan znaleźć to dziecko, jak zamierzał pan z nim stąd wyjść? Z dzieckiem na rękach nie da się wspiąć na mur.

— Zacząłbym krzyczeć, dopóki ktoś by mnie nie wypuścił — odparł Jack.

Zabręczały klucze.

— Ten ktoś to byłbym ja — powiedział nieznajomy. — Ja musiałbym pana wypuścić. —

Wybrał z pęku jeden duży klucz. — Proszę za mną — polecił.

Jack ruszył za nieznajomym. Wyjął z kieszeni nóż.

— Pan jest tu dozorcą?

— Czy jestem? W pewnym sensie.

Szli w stronę bramy i — Jack był tego pewien — coraz bardziej oddalali się od dziecka. Ale dozorca miał klucze. Nóż w ciemności, nie trzeba nic więcej, i będzie mógł szukać dzieciaka całą noc, jeśli zajdzie taka konieczność.

Uniósł ostrze.

— Gdyby faktycznie było jakieś dziecko — dozorca mówił, nie oglądając się za siebie — to nie tu, na cmentarzu. Może się pan pomylił? W końcu to mało prawdopodobne, by dziecko dotarło aż tutaj. Najpewniej usłyszał pan nocnego ptaka i ujrzał kota, czy może lisa. Wie pan chyba, że władze trzydzieści lat temu, mniej więcej w czasach ostatniego pogrzebu, ogłosiły to miejsce ostoją przyrody. Proszę przemyśleć to dobrze i odpowiedzieć: czy jest pan pewien, że to właśnie dziecko pan widział?

Mężczyzna imieniem Jack zastanowił się.

Nieznajomy otworzył furtkę.

— Lis — podjął. — Te stworzenia wydają najdziwniejsze odgłosy, podobne do ludzkiego płaczu. Nie, pańska wizyta na cmentarzu to był błąd. Dziecko, którego pan szuka, jest gdzieś, ale nie tutaj. — Odczekał chwilę, by ta myśl rozgościła się w głowie Jacka. Potem otworzył zamaszystym gestem furtkę. — Niezmiernie miło było mi pana poznać dodał. — Ufam, że za bramą znajdzie pan wszystko, czego potrzebuje.

Jack stał przed bramą cmentarza. Nieznajomy, którego wziął za dozorcę, przystanął po drugiej stronie, zamknął kłódkę i zabrał klucz.

— Dokąd pan idzie? — spytał Jack.

— Na cmentarzu jest więcej wyjść — oznajmił nieznajomy. — Zostawiłem samochód po drugiej stronie wzgórza. Proszę się mną nie przejmować. Nie musi pan nawet pamiętać tej rozmowy.

— Nie — rzekł pogodnie Jack — nie muszę. — Przypomniał sobie wspinaczkę na wzgórze i fakt, że to, co wziął — za dziecko, okazało się lisem. A także to, że sympatyczny dozorca odprowadził go na ulicę. Wsunął nóż do ukrytej pochwy. — No cóż — dodał — dobranoc.

— Dobrej nocy życzę — odparł nieznajomy, którego Jack omyłkowo wziął za dozorcę.

Mężczyzna imieniem Jack ruszył w dół zbocza.

Nieznajomy obserwował go z cienia, dopóki tamten nie zniknął mu z oczu, następnie ruszył przez noc w górę, w miejsce niepodzielnie zdominowane przez obelisk i wkopany w ziemię płaski kamień, poświęcony pamięci Josiaha Worthingtona, miejscowego piwowara, polityka, a później baroneta, który niemal trzysta lat wcześniej kupił stary cmentarz i ziemię wokół niego i przekazał w wieczne użytkowanie miastu. Dla siebie przeznaczył najlepsze miejsce na wzgórzu — naturalny amfiteatr z widokiem na miasto w dole — i dopilnował, by cmentarz przetrwał jako cmentarz. Jego mieszkańcy byli mu wdzięczni, choć może nie aż tak, jak tego oczekiwał Josiah Worthington, baronet.

Na cmentarzu spoczywało około dziesięciu tysięcy dusz, lecz większość spała głęboko albo nie interesowała się conocnymi wydarzeniami, toteż w blasku księżyca w amfiteatrze zgromadziły się ich niecałe trzy setki.

Nieznajomy dotarł do nich bezszelestnie niczym mgła i w milczeniu obserwował z cienia dyskusję.

Przemawiał właśnie Josiah Worthington.

— Ależ dobrodziejko — rzekł. — Twój upór jest... Czyż nie widzisz sama, jaki jest śmieszny?

— Nie — odparła pani Owens. — Nie widzę.

Siedziała na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, żywe dziecko spało jej na kolanach. Oplotła jego głowę bladymi dłońmi.

— Pani Owens, jeśli wielmożny pan pozwoli, próbuje rzec, że nie widzi tego w ten sposób — oznajmił pan Owens, stojący obok niej. — Uważa to za wypełnienie obowiązku.

Pan Owens poznał Josiaha Worthingtona, kiedy obaj jeszcze żyli. W swoim czasie wyszykował kilka pięknych mebli do jego dworu nieopodal Inglesham i wciąż żywił przed nim nabożny lęk.

— Jej obowiązek? — Josiah Worthington, baronet, potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć pasma pajęczyny. Obowiązki, dobrodziejko, masz wobec cmentarza i dobra tych, którzy tworzą wspólnotę bezcielesnych duchów, zjaw i podobnych upiorów. I obowiązek nakazuje ci jak najszybciej oddać to stworzenie do jego naturalnego domu, czyli nie tutaj.

— Matka chłopczyka dała mi go — odparła pani Owens, jakby to wszystko wyjaśniało.

— Moja droga niewiasto...

— Nie jestem twoją drogą niewiastą. — Pani Owens podniosła się z ziemi. — Po prawdzie w ogóle nie wiem, czemu tu jestem i rozmawiam z całą waszą bandą patentowanych durniów, skoro chłopiec wkrótce obudzi się głodny. Chciałabym tylko wiedzieć, gdzie znaleźć dla niego strawę na tym cmentarzu.

— I — wtrącił sztywno Kajus Pompejusz — dokładnie w tym rzecz. Czym będziesz go karmić? Jak możesz się nim opiekować?

Oczy pani Owens płonęły.

— Potrafię się nim zająć — rzuciła — równie dobrze jak jego własna mama. Już mi go oddała. Spójrzcie... Przecież go trzymam. Dotykam.

— Bądź rozsądna, Betsy — odezwała się Mateczka Slaughter, drobne stworzenie w wielkim czepku i pelerynie, które nosiła za życia i w których ją pochowano. — Gdzie on będzie mieszkał?

— Tutaj — ucieła pani Owens. — Możemy obdarzyć go Swobodą Cmentarza.

Usta mateczki Slaughter zamieniły się w małe „o”.



— Ale — zaczęła — ale ja nigdy — dodała.

— A czemuż by nie? W końcu to nie pierwszy raz obdarzylibyśmy przybysza z zewnątrz Swobodą Cmentarza.

— To prawda — zgodził się Kajus Pompejusz. — Ale on nie był żywy, Po tych słowach nieznajomy uświadomił sobie, czy tego chce, czy nie, że on także został wciągnięty do rozmowy, i niechętnie wyłonił się z cieni, odrywając się od nich niczym plama ciemności.

— Nie — zgodził się — nie jestem żywy. Ale uznaję rację pani Owens.

— Naprawdę, Silasie? — spytał Josiah Worthington.

— Naprawdę. Na dobre czy na złe — a szczerze wierzę, że na dobre — pani Owens i jej małżonek przyjęli to dziecko pod swą pieczę. Lecz, by wychować dziecko, trzeba czegoś więcej niż para poczciwych dusz. Trzeba całego cmentarza.

— A co z jedzeniem i resztą?

— Ja mogę opuszczać cmentarz i wracać. Przyniosę mu jedzenie.

— Dobrze ci to mówić — upierała się Mateczka Slaughter. — Ale ty pojawiaasz się i znikasz i nikt nie wie, gdzie się podziewasz. Gdybyś nie wrócił przez tydzień, chłopiec mógłby umrzeć.

— Mądra z ciebie kobieta — rzekł Silas. — Widzę już, czemu wszyscy mówią o tobie z szacunkiem. — Nie mógł wpływać na umysły martwych tak jak na żywych, ale posługiwać się wszelkimi narzędziami pochlebstwa i perswazji, jakimi dysponował, owszem. A umarli nie są na nie odporni. Nagle podjął decyzję. — No dobrze, jeśli pan i pani Owens zostaną rodzicami, ja będę jego opiekunem. Pozostanę tutaj, a gdybym musiał odejść, dopilnuję, by ktoś zajął moje miejsce, sprowadzał dziecku jedzenie i zajmował się nim. Możemy skorzystać z krypty w kaplicy.

— Ale — nie poddawał się Josiah Worthington. — Ale. Ludzkie dziecko. Żywe dziecko. To znaczy. To znaczy, znaczy. To przecież cmentarz, nie pokój dziecienny, do diaska!

— Właśnie — przytaknął Silas. — Dobrze powiedziane, sir Josiahu, sam lepiej bym tego nie ujął. I z tej właśnie przyczyny, jeśli nie z innej, jest tak ważne, by wychować dziecko, jak najmniej zakłócając, jeśli wybaczycie mi to słowo, życie cmentarne. — To rzekłszy, podszedł lekkim krokiem do pani Owens i spojrzał na niemowlę śpiące w jej ramionach. Uniósł brew. — Czy on ma jakieś imię, pani Owens?

— Jego matka mi go nie podała.

— Rozumiem. Zresztą, stare imię i tak na niewiele by mu się zdało, a są tacy, którzy pragną go skrzywdzić. Może zatem sami wybierzemy mu imię?

— Kajus Pompejusz podszedł bliżej i przyjrzał się dziecku.

— Wygląda trochę jak mój prokonsul, Marek. Moglibyśmy nazwać go Markiem.

— Bardziej wygląda jak mój naczelnny ogrodnik, Stebbins — nie zgodził się Josiah Worthington. — Zresztą, wcale nie proponuję nazwać go Stebbins; nieborak, pił jak smok.

— Wygląda jak mój siostrzeniec, Harry — wtrąciła Mateczka Slaughter i wydawało się, że cały cmentarz dołączy do dyskusji, a każdy mieszkaniec zacznie porównywać dziecko z kimś dawno zapomnianym, gdy odezwała się pani Owens.

— Nie wygląda jak nikt poza nim samym — oświadczyła stanowczo. — Nikt.

— W takim razie nazwijmy go Nikt — zaproponował Silas. — Nikt Owens.

I wtedy, jakby reagując na imię, dziecko otworzyło szeroko oczy i się ocknęło.

Pokręciło głową, przyglądając się twarzom umarłych, mgłę i księżycowi. W końcu

spojrzało na Silasa. Nie odwróciło wzroku. Sprawiało wrażenie dziwnie poważnego.

— A co to za imię Nikt? — oburzyła się Mateczka Slaughter.

— Jego imię. I dobre imię — odparł Silas. — Dzięki niemu będzie bezpieczny.

— Nie chcę żadnych kłopotów — zadeklarował Josiah Worthington.

Niemowlę spojrzało w górę, na niego, a potem zmęczone, głodne czy może stęsknione za domem, rodziną i swoim światem wykrzywiło twarzyczkę i się rozplakało.

— Zostaw nas — polecił pani Owens Kajus Pompejusz. Omówimy tę sprawę bez ciebie.

\*\*\*

Pani Owens czekała przed cmentarną kaplicą. Ponad czterdzieści lat temu budynek przypominający mały kościół z wieżyczką uznano za obiekt zabytkowy o znaczeniu historycznym. Rada miasta zdecydowała, że odnowa małej kaplicy na zarośniętym, od dawna niemodnym cmentarzu byłaby zbyt kosztowna, toteż zamknęła drzwi na kłódkę i czekała, aż budowla się zawali. Mury porósł bluszcz, lecz kaplicę wzniesiono solidnie i nie miała runąć w tym stuleciu.

Dziecko zasnęło w objęciach pani Owens, która kołysała je ostrożnie, śpiewając mu starą piosenkę. Nauczyła ją jej matka, gdy ona sama była dzieckiem, w czasach kiedy mężczyźni po raz pierwszy zaczęli nosić pudrowane peruki.

Piosenka brzmiała tak:

Śpij, maleńki, słodko śpij,  
pośpij jeszcze chwilę,  
gdy dorosisz, ruszysz w świat,  
jeśli się nie mylę.  
Poznasz miłość,  
tańca krzywą,  
znajdziesz skarb  
i swoje imię...

I pani Owens odśpiewała ją całą, nim odkryła, że zapomniała jak się kończy.

Miała wrażenie, że ostatnia linijka brzmiała coś jakby „i oślizgłe gile”, ale być może zakończenie to pochodziło z zupełnie innej kołysanki. Urwała zatem i zamiast tego zaśpiewała tę o dwóch kotkach, szaroburych obydwóch, a potem swym ciepłym, mocnym głosem odśpiewała kolejną, nowszą, o chłopczyku, na którego z popielnika mruga iskiereczka. Zaczęła właśnie długą balladę o pewnym hrabim, którego żona, strapiona romanssem męża, zmarła ze zgrzyoty, gdy Silas wyłonił się zza narożnika budynku. W dłoniach trzymał kartonowe pudełko.

— Proszę bardzo, pani Owens — rzekł. — Mnóstwo dobrych rzeczy dla rosnącego chłopca. Możemy je schować w krypcie, prawda?

Kłódka odpadła mu w dłoni, pociągnął żelazne drzwi. Pani Owens weszła do środka, rozglądając się z powątpiewaniem po półkach i starych drewnianych ławkach ustawionych pod ścianą. W jednym kącie leżały spleśniałe pudła, pełne starych ksiąg parafialnych, za otwartymi drzwiami w drugim dostrzegła wiktoriańską toaletę i umywalnię.

Chłopczyk otworzył oczy, patrząc ciekawie.

— Jedzenie możemy zostawić tutaj — oznajmił Silas. — Jest chłodno, więc się nie zepsuje. — Sięgnął do pudełka i wyciągnął banana.

— A cóż to takiego i z czego to zrobiono? — Pani Owens przyjrzała się podejrzliwie żółto-brązowemu przedmiotowi.

— To banan. Owoc z tropików. O ile mi wiadomo, najpierw zdziera się łupinę — rzekł Silas. — O tak.

Dziecko — Nikt — szarpnęło się w ramionach pani Owens, która postawiła chłopczyka na kamiennej posadzce. Maluch podreptał szybko do Silasa, chwycił go za nogawkę i pociągnął. Silas podał mu banana.

Pani Owens patrzyła, jak chłopiec je.

— Ba-nan — powtórzyła z powątpiewaniem. — Nigdy o nich nie słyszałam. Nigdy.

Jak to smakuje?

— Nie mam bladego pojęcia — przyznał Silas, który żywił się tylko jednym, i to nie były banany. — Moglibyśmy przygotować tu chłopcu posiłek.

— Nie ma mowy. Owens i ja mamy przecież uroczy, przytulny grób przy grządce żonkili; mnóstwo tam miejsca dla malucha. Poza tym — dodała w obawie, że Silas mógłby uznać, że odrzuca jego gościnność — nie chcę, żeby chłopak ci przeszkadzał.

— Nie przeszkadzałby mi.

Chłopczyk skończył jeść banana. Tym, co zostało, wysmarował się cały.

Uśmiechnął się promiennie, umorusany i rumiany.

— Nan — powiedział radośnie.

— Cóż za sprytnie stworzenie. — Pani Owens zacmokała. — I co za świntuszek! Zaraz się tobą zajmę, mały wierzcipięto. — Zaczęła wydłubywać kawałki banana z jego ubrania i włosów. — Jak myślisz, jaką podejmą decyzję?

— Nie wiem.

— Nie mogę go oddać. Nie po tym, co przyrzekłam jego mamie.

— Choć w swoim czasie bywałem różnymi rzeczami oznajmił Silas — to nigdy matką. I nie zamierzam nawet próbować. Ale mogę opuścić to miejsce.

— Ja nie mogę — powiedziała pani Owens. — Moje kości są tutaj. Podobnie Owensa. Nigdy stąd nie odejdę.

— Dobrze byłoby mieć jakieś miejsce, do którego się przynależy — rzekł Silas. — Swój dom.

W jego głosie nie zadźwięczała nawet najslabsza nutka żalu, był suchszy niż pustynia i słowa Silasa zabrzmiały jakby po prostu mówił coś oczywistego. Pani Owens nie zaprzeczyła.

— Myślisz, że będziemy musieli długo czekać?

— Niedługo — odparł Silas, ale tu się mylił.

W amfiteatrze na zboczach wzgórz każdy członek cmentarnej wspólnoty miał własne zdanie i potrzebę jego wygłoszenia. Fakt, że to Owensowie uczestniczyli w tym nonsensie, a nie jacyś figo-fago nowicjusze, sporo znaczył, bo Owensowie byli szanowani i szanowani. To, że Silas zgłosił się na opiekuna chłopca, także miało swoje znaczenie — mieszkańcy cmentarza podchodzili do niego z czujnym podziwem, istniał bowiem na granicy pomiędzy ich światem i światem, który opuścili. Ale jednak, ale jednak...

Na cmentarzach zazwyczaj nie panuje demokracja, a przecież śmierć to największa

demokratka i każdy z umarłych miał własne zdanie co do tego, czy żywe dziecko może zostać. Tej nocy każdy z nich chciał koniecznie, by go wysłuchano.

Działo się to pod koniec jesieni, gdy świt przychodzi późno. Choć niebo wciąż było ciemne, z dołu zбочa dobiegał szum samochodowych silników. To żywi wyruszyli do pracy w mglistym mroku poranka. Tymczasem lud z cmentarza wciąż debatował na temat dziecka, które do nich przyszło, i tego, co z nim począć. Trzysta głosów. Trzysta poglądów. Nehemiah Trot, poeta ze zrujnowanej północno-zachodniej części cmentarza, zaczął właśnie deklamować swą opinię, choć nikt ze słuchaczy nie potrafił określić jaką, gdy stało się coś, co uciszyło wszystkich wygadanych mówców, coś bez precedensu w historii cmentarza.

Wielki biały koń, z rodzaju tych, których ludzie znający się na koniach nazywają siwkami, zbliżył się ku nim powoli. Przyszedł z dołu. Tupot kopyt było słycać, nim jeszcze się pojawił, a także hałas, który czynił, przedzierając się przez kępy jeżyn, kłębowiska bluszczu i janowca porastające zбочe. Był wielkości angielskich koni roboczych, pełne pięć łokci w kłębie, albo i więcej. Taki koń mógł ponieść do walki rycerza w pełnej zbroi, lecz na swym gołym grzbiecie dźwigał tylko kobietę odzianą od stóp do głów w szary strój. Jej długa spódnica i szal wyglądały jak utkane ze starych pajęczyn. Twarz miała pogodną i spokojną.

Mieszkańcy cmentarza znali ją, bo każdy z nas spotyka Szarą Damę pod koniec naszych dni, a nie da się o niej zapomnieć.

Koń przystanął przy obelisku. Na wschodzie niebo zaczynało już jaśnieć perłową poświatą przedświtu, na widok której lud cmentarny odczuwał niepokój i tęsknił za powrotem do wygodnych domów. Mimo to, nikt nawet nie drgnął. Wszyscy przyglądali się damie na siwku z mieszaniną podniecenia i lęku. Umarli nie są przesądni, zazwyczaj nie, lecz patrzyli na nią tak, jak rzymski augur patrzył na krążące po niebie święte wrony, szukając w nich mądrości i wskazówek.

A ona przemówiła.

— Umarli winni okazywać litość — rzekła głosem przypominającym dźwięk setki maleńkich srebrnych dzwoneczków. I uśmiechnęła się.

Koń, który dotąd z zadowoleniem skubał i przeżuwał kępę bujnej trawy, zamarł. Dama dotknęła jego szyi i wierzchowiec zawrócił. Zrobił kilkanaście długich kroków, a potem zeskoczył ze zбочa i pomknął kłusem po niebie. Łoskot jego kopyt zamienił się we wczesny łoskot odległego grzmotu; po chwili koń zniknął im z oczu.

Tak przynajmniej spotkanie to wyglądało w opowieściach ludzi z cmentarza, którzy byli na wzgórzu owej nocy.

Debata dobiegła końca i nie trzeba było nawet głosować. Mieszkańcy postanowili, że dziecko, Nikt Owens, zostanie obdarzone Swobodą Cmentarza.

Mateczka Slaughter i Josiah Wortington, baronet, odprowadzili pana Owensa do krypty w starej kaplicy i przekazali pani Owens wieści.

Nie zdziwiła się wcale, słysząc o cudzie.

— Słusznie — rzekła. — Wielu z nich nie ma w łepetynach ni krztyny oleju. Ale nie ona. Oczywiście, że nie.

\*\*\*

Nim w ów burzowy, szary poranek weszło słońce, dziecko zasnęło smacznie w wygodnym grobowcu Owensów (pan Owens zmarł bowiem jako dobrze prosperujący mistrz miejscowego cechu stolarzy i rzemieślnicy zadbali o to, by stosownie go uczcić).

Przed wschodem słońca Silas wyruszył w jeszcze jedną, ostatnią podróż.

Znalazł wysoki dom na zboczu, zbadał znalezione tam trzy ciała i przyjrzał się układowi ran od noża. Gdy w końcu zaspokoił ciekawość, wyszedł w poranny mrok. W głowie wirowało mu od nieprzyjemnych myśli. Powrócił na cmentarz na szczyt wieży kaplicy, gdzie sypiał i przeczekiwał dni.

W miasteczku u stóp wzgórza mężczyznę imieniem Jack ogarniała coraz większa złość. Ta noc, noc na którą tak długo czekał, kulminacja miesięcy — a nawet lat — pracy zaczęła się wielce obiecująco: troje ludzi zginęło, nim zdołało choćby krzyknąć.

A potem...

Potem wszystko poszło paskudnie nie tak. Czemu, u licha, poszedł na szczyt wzgórza, skoro dziecko bez wątpienia ruszyło na dół? Nim tam dotarł, ślad zdążył już ostygnąć. Ktoś musiał znaleźć malca, zabrać go, ukryć. Nie istniało inne wyjaśnienie.

Nagle ciszę przerwał grzmot, donośny niczym strzał z pistoletu, i deszcz rozpadał się na dobre. Mężczyzna imieniem Jack był wielce metodyczny, zaczął już planować swój następny ruch — rozmowy, które musi przeprowadzić z pewnymi mieszkańcami miasteczka, ludźmi, którzy zostaną jego oczami i uszami.

Nie musiał informować synodu, że mu się nie powiodło.

— Poza tym — rzekł do siebie, przywierając do witryny dającej osłonę przed porannym deszczem, padającym niczym lży — jeszcze nie poniósł klęski. Jeszcze nie.

Nie przez najbliższe lata. Miał mnóstwo czasu. Dość, by załatwić ostatnią niedokończoną sprawę. Dość, by przeciąć ostatnią nić.

Dopiero gdy rozległy się policyjne syreny i najpierw radiowóz, za nim karetka, a potem nieoznakowany wóz policyjny przemknęły na sygnale obok niego, kierując się na wzgórze, Jack z niechęcią uniósł kołnierz płaszcza, spuścił głowę i odszedł w poranek. Nóż spoczywał w kieszeni, bezpieczny i suchy w pochwie, chroniony przed rozpaczą żywiołów.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Nowa przyjaciółka

Nik był cichym dzieckiem o poważnych szarych oczach i gęstej szaroburej czuprynie. Zazwyczaj bywał raczej posłuszny. Nauczył się mówić i kiedy już opanował tę sztukę, zadreślał mieszkańców cmentarza pytaniami.

— Po czemu nie wolno mi wychodzić z cmentarza? pytał.

Albo:

— Jak mam zrobić to, co on właśnie zrobił?

Albo:

— Kto tu mieszka?

Dorośli starali się jak mogli odpowiadać na te pytania, lecz ich odpowiedzi bywały często mętne, mylące albo wewnętrznie sprzeczne. Wówczas Nik maszerował do starego kościoła i rozmawiał z Silasem.

Siadał tam i czekał o zachodzie słońca, tuż przed porą wstawiania opiekuna.

Mógł zawsze liczyć na Silasa, który tłumaczył mu wszystko jasno, wyraźnie i tak prosto, że Nik w końcu rozumiał.

— Nie wolno ci wychodzić z cmentarza — a przy okazji, nie mówi się „po czemu” tylko „dlaczego”, przynajmniej w dzisiejszych czasach — ponieważ tylko na cmentarzu jesteś bezpieczny. Tu właśnie mieszkasz i tu możesz znaleźć tych, którzy cię kochają.

Na zewnątrz nie byłoby bezpiecznie. Jeszcze nie.

— Ale ty wychodzisz. Wychodzisz tam co noc.

— Jestem nieskończenie starszy od ciebie, chłopcze, i pozostaję bezpieczny niezależnie od miejsca.

— Ja też jestem tam bezpieczny.

— Chciałbym, żeby tak było. Ale tak naprawdę jesteś bezpieczny, dopóki pozostajesz tutaj.

Albo:

— Jak ty mógłbyś to zrobić? Pewne umiejętności da się nabyć dzięki edukacji, inne dzięki ćwiczeniom, jeszcze inne z czasem. Zdobędziesz je, gdy się przyłożysz do nauki. Wkrótce opanujesz Znikanie, Przemyskanie i Wędrówkę we Śnie. Niestety, żywi nie są w stanie przyswoić sobie niektórych umiejętności i na nie będziesz musiał poczekać nieco dłużej. Nie wątpię jednak, że z czasem zdobędziesz także te. Obdarzono cię Swobodą Cmentarza, toteż cmentarz się tobą opiekuje. Dopóki tu jesteś, możesz widzieć w ciemności, wędrować ścieżkami, którymi żywi nie powinni kroczyć. Oczy żywych cię nie dostrzegają. Mnie także obdarzono Swobodą Cmentarza, choć w moim przypadku wiąże się z nią jedynie prawo zamieszkania.

— Chciałbym być taki jak ty. — Nik wyjął dolną wargę.

— Nie — rzekł stanowczo Silas. — Nie chciałbyś.

Albo:

— Kto tu mieszka? Wiesz, Nik, w wielu przypadkach wypisano to na kamieniach. Umiesz już czytać? Znasz alfabet?

— Znam co?

Silas pokręcił głową, ale nic nie powiedział. Państwo Owens za życia nie przykładali wagi

do czytania, a na cmentarzu brakowało elementarza.

Następnej nocy Silas pojawił się przed przytulnym grobowcem Owensów z trzema dużymi książkami w objęciach. Dwie z nich okazały się elementarzami z kolorowymi obrazkami (A jak Ala, B jak baba), trzecia zbiorem wierszyków. Miał też papier i pudełko woskowych kredek. Zabrał Nika na spacer po cmentarzu, podczas którego przykładał paluszki chłopca do najnowszych, i najwyraźniejszych nagrobków i tabliczek i uczył go odnajdywać litery alfabetu, począwszy od stromej iglicy dużego A.

Silas dał Nikowi zadanie — miał odnaleźć na cmentarzu każdą z dwudziestu sześciu liter — i Nik zakończył je z dumą dzięki odkryciu tablicy Ezekiela Ulmseya, wmurowanej w ścianę starej kaplicy. Opiekun był z niego zadowolony.

Co dzień Nik zabierał na cmentarz papier i kredki i, jak najlepiej umiał, przepisywał imiona, słowa i liczby. I co noc, nim Silas wyruszał w świat, Nik prosił, by opiekun wyjaśnił mu, co napisał, i przetłumaczył fragmenty łaciny, które w większości wykraczały poza wiedzę Owensów.

Był słoneczny dzień — trzmielce badały zarośnięte zakątki cmentarza, zawisając nad kwiatami kolczolustu i dzwonków i pobzykując basem. Nik tymczasem leżał w wiosennym słońcu i przyglądał się brązowemu żukowi, maszerującemu po nagrobku Geo Reedera, jego żony Dorcas i ich syna Sebastiana, Fidelis ad Mortem. Przepisał już ich inskrypcję i teraz myślał tylko o żuku, kiedy ktoś zapytał:

— Hej, ty? Co robisz?

Nik uniósł wzrok. Po drugiej stronie krzaka kolczolustu stał ktoś i patrzył na niego.

— Nic — mruknął Nik i wystawił język.

Twarcz po drugiej stronie krzaka wykrzywiła się jak u gargulca, wywalając język, wybałuszając oczy, po czym znów zamieniła się w dziewczynkę.

— To było niezłe — rzekł ze szczerym uznaniem Nik.

— Potrafię robić świetne miny — oznajmiła dziewczynka. — Zobacz tę. — Jednym palcem pchnęła nos w górę, wykrzywiła usta w szerokim zadowolonym uśmiechu, zmrużyła oczy, wydeła policzki. — Wiesz, co to?

— Nie.

— To była świnia, głuptasie.

— Ach. — Nikt zastanawiał się chwilę. — Chcesz powiedzieć Ś jak świnia?

— Oczywiście, że tak. Zaczekaj.

Dziewczynka okrążyła krzak i stanęła obok Nika, który wstał z ziemi. Była nieco starsza od niego, nieco wyższa, ubrana w jaskrawe kolory — żółty, różowy i pomarańczowy. Nik poczuł się w swoim szarym całunie nagle strasznie nudny i nieciekawym.

— Ile masz lat? — spytała dziewczynka. — Co tu robisz? Mieszkasz tu? Jak masz na imię?

— Nie wiem — odparł Nik.

— Nie znasz własnego imienia? — zdziwiła się dziewczynka. — Oczywiście, że znasz, wszyscy wiedzą jak się nazywają. Głupek.

— Wiem, jak się nazywam — wyjaśnił Nik. — I wiem co tu robię. Ale nie wiem tego drugiego.

— Ile masz lat?

Nik przytaknął.

— No to... — Dziewczynka namyślała się chwilę. — Ile miałeś w swoje ostatnie urodziny?

— Nic — odparł Nik. — Nie miałem urodzin.



— Wszyscy mają urodziny. Chcesz powiedzieć, że nigdy nie dostajesz tortu ze świeczkami i prezentów?

Nik pokręcił głową. Dziewczynka spojrzała na niego ze współczuciem.

— Biedactwo. Ja mam pięć lat. Założę się, że ty też.

Przytaknął entuzjastycznie. Nie zamierzał się spierać z nową przyjaciółką, jej obecność ogromnie go ucieszyła.

Dziewczynka oznajmiła, że nazywa się Scarlett Amber Perkins. Mieszkała w domu bez ogrodu. Jej matka siedziała na ławce u stóp wzgórza i czytała ilustrowane pismo. Kazała Scarlett wrócić za pół godziny, poruszać się trochę i nie wpaść w żadne tarapaty ani nie rozmawiać z obcymi ludźmi.

— Ja jestem obcy — przypomniał Nik.

— Wcale nie — odparła z uporem. — Ty jesteś małym chłopcem. — Po czym dodała: — I moim przyjacielem. Więc nie możesz być obcy.

Nik rzadko się uśmiechał, ale w tym momencie to zrobił, szeroko, radośnie.

— Jestem twoim przyjacielem — powiedział.

— Jak masz na imię?

— Nik. To skrót od Nikt.

Słyszac to, roześmiała się.

— Zabawne imię. Co teraz robisz?

— Literę — wyjaśnił Nik. — Z nagrobków. Muszę je przepisywać.

— Mogę to zrobić z tobą?

Przez chwilę Nik miał ochotę zaprotestować — w końcu nagrobki należały do niego, prawda? Potem jednak uświadomił sobie, jakie to niemądre. Uznał też, że wypełnianie obowiązków może być zabawniejsze w słońcu i z przyjaciółką.

— Tak — powiedział.

Zaczęli przepisywać nazwiska z nagrobków. Scarlett pomagała Nikowi wymawiać nieznane imiona i słowa, a on, jeśli je znał, tłumaczył znaczenie łacińskich fraz. Mieli wrażenie, że upłynęła zaledwie chwila, gdy usłyszeli dobiegający z dołu głos.

— Scarlett!

Dziewczynka pośpiesznie oddała Nikowi kredki i papier.

— Muszę iść — oznajmiła.

— Zobaczymy się jeszcze, prawda? — zapytał Nik.

— A gdzie mieszkasz? — spytała.

— Tutaj.

Odprowadzał ją wzrokiem, gdy zbiegała po zboczu.

W drodze do domu Scarlett opowiedziała matce o chłopcu imieniem Nikt, który mieszka na cmentarzu i bawił się z nią. Tego wieczoru matka Scarlett wspomniała o tym ojcu Scarlett, który odparł, że z tego, co mu wiadomo, wymyśleni przyjaciele to częste zjawisko w tym wieku i nie ma się czym martwić, i dodał, że mają szczęście, że w sąsiedztwie znajduje się ostoja przyrody.

Po tym pierwszym spotkaniu Scarlett nigdy pierwsza nie dostrzegła Nika. Kiedy tylko nie padało, jedno z rodziców przyprowadzało ją na cmentarz. Rodzic siadał na ławce i czytał. Tymczasem Scarlett w swych neonowych zieloniach, różach bądź pomarańczach schodziła ze ścieżki i zaczynała zwiedzać. I wtedy, zazwyczaj wcześniej niż później, zauważała drobną, poważną twarzączkę i szare oczy patrzące na nią spod czupryny

szaroburych włosów. Nik i ona zaczęli się bawić, choćby w chowanego, albo wspinać się na różne rzeczy, albo po cichu, ostrożnie oglądać króliki za starą kaplicą.

Nik przedstawiał Scarlett swym innym przyjaciółom. Fakt, że ich nie widziała, nie miał znaczenia. Rodzice powiedzieli jej już stanowczo, że Nik to wymyślony chłopiec i że nie ma w tym nic złego — przez kilka dni matka upierała się nawet, by podczas kolacji przygotować dla niego dodatkowe nakrycie — toteż zupełnie jej nie zdziwiło, że Nik również ma wymyślonych przyjaciół. Powtarzał jej ich komentarze.

— Bartelmy mówi, że liczko masz rumiane jakoby świeża śliwka — rzekł.

— Naprawdę? A czemu mówi tak śmiesznie? I chyba raczej pomidor.

— Nie sądzę, by w czasach, z których pochodzi, mieli pomidory — odparł Nik. — I tak właśnie wtedy mówili.

Scarlett czuła się szczęśliwa. Była bystrą, samotną dziewczynką, której matka pracowała na uniwersytecie w odległym mieście: uczyła ludzi, z którymi nigdy nie spotkała się twarzą w twarz, oceniała eseje w komputerze i wysyłała ich autorom słowa porady i zachęty. Ojciec uczył fizyki cząsteczkowej, ale, jak powiedziała Nikowi Scarlett, było zbyt wielu ludzi uczących fizyki cząsteczkowej i za mało tych, którzy chcieliby się jej uczyć, więc rodzina musiała przeprowadzać się do różnych miast uniwersyteckich. W każdym z nich jej ojciec liczył na stałą posadę profesorską i w każdym jej nie dostawał.

— Co to jest fizyka cząsteczkowa? — zainteresował się Nik.

Scarlett wzruszyła ramionami.

— No wiesz — mruknęła — masz atomy, takie drobinki, których nie widzimy i z których jesteśmy zbudowani. I są też drobinki mniejsze od atomów. To właśnie fizyka cząsteczkowa.

Nik przytaknął i uznał, że ojciec Scarlett nie bez kozery interesuje się wymyślonymi rzeczami.

Każdego popołudnia Nik i Scarlett krążyli po cmentarzu, wymacując palcami litery, zapisując je. Nik opowiadał jej wszystko co wiedział o mieszkańcach danego grobu, mauzoleum czy grobowca, a ona powtarzała mu zasłyszane bądź przeczytane historie. Czasami mówiła także o świecie zewnętrznym, samochodach i autobusach, telewizji i samolotach (Nik widział, jak przelatują wysoko na niebie i brał je za głośne srebrne ptaki, ale nigdy dotąd nie zastanawiał się, czym są naprawdę). On z kolei snuł opowieści o czasach, kiedy ludzie leżący teraz w grobach wciąż żyli — o tym, jak Sebastian Reeder odwiedził Londyn i widział królową, grubą niewiastę w futrzanej czapie, patrzącą na wszystkich nieżyczliwie i niemówiącą nawet słowa po angielsku. Sebastian Reeder nie pamiętał, która to była królowa, ale nie sądził, by pozostała nią zbyt długo.

— Kiedy to się działo? — spytała Scarlett.

— Umarł w tysiąc pięćset osiemdziesiątym trzecim, tak stoi na jego nagrobku. Czyli wcześniej.

— Kto tu jest najstarszy? Na całym cmentarzu? — zainteresowała się Scarlett.

Nik zmarszczył brwi.

— Pewnie Kajus Pompejusz. Przybył sto lat po tym, jak Rzymianie pierwszy raz tu dotarli. Opowiadał mi o tym. Podobały mu się drogi.

— I on jest najstarszy?

— Chyba tak.

— Możemy pobawić się w dom w jednym z tych kamiennych budynków?

- Nie wejdiesz do środka, są zamknięte. Wszystkie.
- A ty możesz tam wejść?
- Oczywiście.
- To czemu ja nie?
- Cmentarz — wyjaśnił. — Obdarzyli mnie Swobodą Cmentarza, toteż pozwala mi wejść w różne miejsca.
- Chcę pójść do kamiennego domku i pobawić się w dom.
- Nie możesz.
- Jesteś wredny.
- Nie.
- Wredniak.
- Nie.

Scarlett schowała ręce do kieszeni bluzy i bez słowa pożegnania pomaszerowała w dół zbocza. Uważała, że Nik się z nią droczy, a jednocześnie czuła, że traktuje go niesprawiedliwie, co jeszcze bardziej ją złościło.

Tego wieczoru spytała przy kolacji matkę i ojca, czy w kraju mieszkał ktoś przed przybyciem Rzymian.

- Gdzie usłyszałaś o Rzymianach? — zdziwił się ojciec.
- Wszyscy o tym wiedzą. — W głosie Scarlett dźwięczała mordercza wzgarda. — I co?
- Wcześniej byli Celtowie — wyjaśniła matka. — Mieszkali tu jako pierwsi, jeszcze przed Rzymianami. To właśnie ich podbili Rzymianie.

Na ławce obok starej kaplicy Nik prowadził podobną rozmowę.

- Najstarszy? — rzekł Silas. — Szczerze mówiąc, Niku, sam nie wiem. Najstarszy ze znanych mi mieszkańców cmentarza to Kajus Pompejusz. Ale w tym kraju żyli ludzie jeszcze przed przybyciem Rzymian, mnóstwo ludzi, przez bardzo długi czas.

Jak tam twoja znajomość liter?

- Chyba dobrze. Kiedy nauczę się je łączyć?

Silas się zastanowił.

- Nie wątpię — rzekł po chwili — że pośród wielu utalentowanych osób pogrzebanych tutaj znajdzie się przynajmniej garstka nauczycieli. Popytam.

Te słowa zachwyciły Nika. Wyobraził sobie przyszłość, w której umiałby czytać wszystko i samodzielnie poznawać i odkrywać nowe historie.

Gdy Silas opuścił cmentarz, zajmując się własnymi sprawami, Nik pomaszerował pod wierzbę obok kaplicy i zawołał Kajusa Pompejusza.

Stary Rzymianin wyłonił się z ziewnięciem z grobu.

- A tak. Żywy chłopiec. — Powiedział. — Jak się miewasz, żywy chłopcze?
- Doskonale, proszę pana — odparł Nik.
- To dobrze. Rad jestem, że to słyszę.

W promieniach księżyca włosy starego Rzymianina połyskiwały srebrem. Miał na sobie togę, w której go pogrzebano, a pod nią grubą wełnianą kamizelę i nogawice, był to bowiem zimny kraj na końcu świata, cieplejszy jedynie od Hiberni na północy, zamieszkaney przez ludzi bliskich zwierzętom, porośniętych pomarańczowym futrem, zbyt dzikich, by nawet Rzymianie próbowali ich podbić. Zresztą, wkrótce mieli zostać na zawsze odgradzeni murem w swej wiecznej zimie.

- Czy pan jest najstarszy? — spytał Nik.

— Najstarszy na cmentarzu? Tak.

— I to pana pierwszego tu pochowano?

Chwila wahania.

— Niemal pierwszego — odparł Kajus Pompejusz. — Przed Celtami na tej wyspie mieszkał inny lud. Kogoś, kto do niego należał, pogrzebano tutaj.

— Och. — Nik się zastanowił. — Gdzie jest jego grób?

Kajus wskazał wzgórze.

— Na szczycie?

Stary Rzymianin pokręcił głową.

— No to gdzie?

Kajus poczochnął włosy Nika.

— We wzgórzu — powiedział. — Wewnątrz. Mnie przywieźli tu jako pierwszego moi przyjaciele. Za nimi stąpali miejscowi urzędnicy i mimowie, noszący woskowe maski mojej żony, którą odebrała mi gorączka w Camulodonum, i ojca, zabitego w przygranicznej potyczce w Galii. W trzysta lat po mojej śmierci chłop szukający nowego pastwiska dla owiec odkrył głąz zasłaniający wejście, odturlał go i zszedł na dół z nadzieją, że trafi na skarb. Powrócił nieco później, ciemne włosy miał białe jak moje...

— Co tam zobaczył?

Kajus przez chwilę milczał.

— Chłopi położyli głąz z powrotem i z czasem zapomnieli. A potem, dwieście lat temu, gdy budowano kryptę Frobisherów, znów go znaleziono. Młodzieniec, który natrafił na tunel, marząc o bogactwach, nie powiedział nikomu i ukrył wejście za sarkofagiem Ephraima Pettyfera. Pewnej nocy zszedł tam, przez nikogo niewidziany, tak przynajmniej sądził.

— Czy kiedy wyszedł, też miał białe włosy?

— On nie wyszedł.

— Uhm. Och. To kto tam leży?

Kajus pokręcił głową.

— Nie wiem, młody Owensie. Ale czułem go w czasach, gdy to miejsce było puste. Nawet wtedy czułem, że coś czeka głęboko we wzgórzu.

— Na co czeka?

— Czułem tylko czekanie — odparł Kajus Pompejusz.

\*\*\*

Scarlett trzymała w dłoniach wielką książkę z literami. Siedziała obok matki na zielonej ławce przy bramie, czytając książkę. Matka tymczasem przeglądała dodatek edukacyjny. Scarlett grzała się w wiosennym słońcu, demonstracyjnie ignorując drobnego chłopca, który machał do niej najpierw zza porośniętego bluszczem pomnika, a potem, gdy postanowiła nie patrzeć w tamtą stronę, wyskoczył — dosłownie jak diabeł z pudełka — zza nagrobka. Gorączkowo machnął ręką. Udała, że go nie dostrzega.

W końcu odłożyła książkę na ławkę.

— Mamusiu? Pójdę teraz na spacer.

— Trzymaj się ścieżki, kochanie.

Trzymała się ścieżki, dopóki nie skręciła i nie ujrzała Nika, machającego rozpaczliwie ze

zbocza wzgórze. Zrobiła paskudną minę.

— Dowiedziałam się czegoś — oznajmiła Scarlett.

— Ja też — odparł Nik.

— Przed Rzymianami byli tu ludzie — ciągnęła. — Bardzo dawno temu. To znaczy żyli, a kiedy umierali, inni grzebali ich pod ziemią na tych wzgórzach, ze skarbami i tak dalej. I nazywali wzgórze kurhanami.

— Aha. Jasne — przytaknął Nik. — To wszystko wyjaśnia. Chciałabyś zobaczyć jednego?

— Teraz? — Scarlett spojrzała na niego z powątpiewaniem. — Tak naprawdę nie wiesz, gdzie można go znaleźć, prawda? I wiesz, że nie zawsze dają radę pójść tam gdzie ty?

Wcześniej widziała, jak przenikał przez ściany niczym duch.

W odpowiedzi uniósł w dłoni wielki zardzewiały żelazny klucz.

— Wisiał w kaplicy, powinien otworzyć większość zamków tutaj. Gdy zakładali bramy, używali tego samego klucza, to im oszczędziło pracy.

Scarlett ruszyła za nim w górę zbocza.

— Mówisz prawdę?

Przytaknął z pełnym zadowolenia uśmiechem.

— Chodź — rzucił.

Był idealny wiosenny dzień, wokół rozlegał się śpiew ptaków i brzęczenie pszczół. Żonkile kołysały się w lekkich powiewach wiatru, tu i tam na zboczu rozkwitało kilka wczesnych tulipanów. Błękitne kropeczki niezapominajek i pyszne, krągłe żółte pierwiosnki podkreślały zielen trawy, po której dwójka dzieci maszerowała w stronę małego mauzoleum Frobisherów.

Budowla była stara i bardzo prosta: mały, zapomniany, kamienny dom z metalową kratą zamiast drzwi. Nik otworzył ją kluczem. Weszli do środka.

— Tu jest dziura — rzekł. — Albo drzwi. Za jedną z trumien.

Znaleźli ją za trumną na najniższej półce — wylot zwykłego tunelu.

— W dole — powiedział Nik. — Musimy tam zejść.

Scarlett nagle odkryła, że przygoda podoba jej się o wiele mniej.

— Nie tam nie zobaczymy — zaprotestowała. — Jest ciemno.

— Ja nie potrzebuję światła — wyjaśnił Nik. — Nie, dopóki jestem na cmentarzu.

— Ale ja tak — ucięła. — Jest ciemno.

Nik szukał w myślach słów pociechy, na przykład: „Na dole nie ma nic złego”. Ale historie o siwiejących włosach i niepowracających ludziach oznaczały, że nie mógłby wypowiedzieć ich z czystym sumieniem.

— Pójdę sam — rzekł zatem. — Ty zaczekaj na mnie tutaj.

Scarlett zmarszczyła brwi.

— Nie powinieneś mnie zostawiać.

— Pójdę na dół — upierał się. — Zobaczę, kto tam jest, wrócę i opowiem ci o wszystkim.

Odwrócił się w stronę otworu, schylił i wczuł się do środka. Znalazł się w tunelu dość dużym, by mógł w nim stanąć. Przed sobą ujrzał stopnie wycięte w kamieniu.

— Schodzę po schodach — zapowiedział.

— Czy ciągną się daleko?

— Chyba tak.

— Gdybyś wziął mnie za rękę i mówił, gdzie mam iść, mogłabym pójść z tobą. O ile dopilnujesz, żeby nic mi się nie stało.

— Oczywiście. — Zanim Nik skończył mówić, dziewczynka zjawiała się w tunelu, pełznąca na czworakach. Możesz wstać. — Wziął ją za rękę. — Stopnie są tutaj, jeśli wysuniesz nogę, znajdziesz je. O proszę. Ja pójdę przodem.

— Naprawdę coś widzisz?

— Jest ciemno — rzekł Nik — ale widzę.

Prowadził Scarlett schodami w dół, w głąb wzgórze. Po drodze opisywał, co widzi.

— To stopnie zrobione z kamienia. Wokół nas też wszędzie jest kamień. Ktoś namalował na ścianie obraz.

— Jaki obraz? — zapytała Scarlett.

— Chyba to wielkie włochate K jak krowa. Z rogami. I coś, co przypomina wzór, wielki węzeł. Jest nie tylko namalowane, ale wyryte w kamieniu. Widzisz? — Uniósł jej dłoń i przyłożył do płaskorzeźby.

— Czuję to! — wykrzyknęła.

— Teraz stopnie są większe. Wchodzimy do dużego pomieszczenia, jakby pokoju, ale schody nadal wiodą w dół. Nie ruszaj się. Dobrze, teraz jestem między tobą i pokojem. Przyłóż lewą rękę do ściany.

Nadal schodzili.

— Jeszcze jeden stopień i znajdziemy się na płaskim oznajmił Nik. — Ziemia jest trochę nierówna.

To pomieszczenie było małe. Na posadzce leżała kamienna płyta. W kącie, na niskim występie ułożono małe przedmioty. Na ziemi spoczywały kości, bardzo stare kości, a tuż obok miejsca, gdzie kończyły się schody, Nik dostrzegł skulone zwłoki, odziane w resztki długiego brązowego płaszcza — zapewne młodzieńca, który marzył o bogactwach. Musiał się pośliznąć i spaść w ciemności.

I wówczas zewsząd wokół nich zaczął dobiegać dziwny dźwięk, oślizgły szelest, jakby węża pełznącego pośród suchych liści. Scarlett mocniej chwyciła dłoń Nika.

— Co to? Widzisz cokolwiek?

— Nie.

W tym momencie wydała z siebie dźwięk, coś pomiędzy sapnięciem i jękiem.

Nik ujrzał coś i zorientował się bez pytania, że ona też to widzi.

Na końcu pomieszczenia zajaśniało światło i z owego światła wyłonił się mężczyzna przechodzący przez skałę. Scarlett z trudem powstrzymała krzyk.

Mężczyzna wyglądał na dobrze zakonserwowanego, ale jednak nieżyjącego od bardzo, bardzo dawna. Skórę miał pomalowaną (według Nika) bądź wytatuowaną (według Scarlett) w sinoniebieskie linie i wzory. Szyję okalał mu naszyjnik z długich ostrych zębów.

— Jestem panem tego miejsca! — oznajmił przybysz słowami tak pradawnymi i gardłowymi, że niemal nie przypominały słów. — Strzeżę tego miejsca przed wszystkimi, którzy chcieliby je zniszczyć!

Miał niebywale wielkie oczy. Nik uświadomił sobie, że wydają się duże, bo okalają je sine kręgi, upodabniające mężczyznę do wielkiego puszcyka.

— Kim jesteś? — Mówiąc to, Nik uściśnął dłoń Scarlett.

Niebieski Człowiek jakby nie usłyszał pytania. Patrzył na nich groźnie.

— Opuśćcie to miejsce! — Te słowa rozległy się w głowie Nika. Były jak gardłowy warkot.

— Czy on zrobi nam krzywdę? — spytała Scarlett.

— Nie przypuszczam — odparł Nik. A potem zwrócił się do Niebieskiego Człowieka: — Dysponuję Swobodą tego cmentarza i mogę chodzić tam, dokąd zechcę.

Niebieski Człowiek nie zareagował, co jeszcze bardziej zaskoczyło Nika, bo słowa, które wypowiedział, uspokajały zazwyczaj nawet najbardziej drażliwych mieszkańców cmentarza.

— Scarlett, czy ty go widzisz? — spytał.

— Oczywiście, że go widzę. To wielki, straszliwy tatuowany człowiek, który chce nas zabić. Nik, zrób, żeby sobie poszedł!

Nik przyjrzał się szczątkom dżentelmena w brązowym płaszczu. Obok niego na kamiennej posadzce leżała strzaskana lampa.

— On uciekł — powiedział głośno. — Uciekł, bo się przestraszył. Pośliznął się albo potknął na schodach.

— Ale kto?

— Człowiek na ziemi.

Scarlett sprawiała wrażenie jednocześnie poirytowanej, zdumionej i przerażonej.

— Jaki człowiek na ziemi? Widzę tylko tego z tautażami.

I wtedy, jakby chciał się upewnić, że wie o jego obecności, Niebieski Człowiek odchylił głowę w tył i wydał z siebie serię jodujących krzyków, ogłuszającego zawodzenia, na dźwięk którego Scarlett tak mocno ścisnęła dłoń Nika, że wbiła mu w skórę paznokcie.

Ale Nik już się nie bał.

— Przepraszam, że mówiłam, że są wymyśleni — powiedziała Scarlett. — Teraz ci wierzę. Są prawdziwi.

Niebieski Człowiek wznosił coś ponad głowę — wyglądało to jak ostra kamienna klinga.

— Każdy, kto wtargnie w to miejsce, zginie! — zagrzemiał.

Nik pomyślał o człowieku, który posiwał po odkryciu komnaty, o tym jak nigdy tu już nie wrócił i nie chciał powiedzieć, co widział.

— Nie — rzekł. — Chyba masz rację. Bo ten taki jest.

— Jaki?

— Wymyślony.

— Nie bądź głupi — rzuciła Scarlett. — Ja go widzę.

— Właśnie — rzekł Nik. — A przecież ty nie widzisz umarłych. — Rozejrzał się po komnacie. — Możesz już przestać dodać. — Wiemy, że to nie jest prawdziwe.

— Pożrę twoją wątrobę! — wrzasnął Niebieski Człowiek.

— Nie, nie pożresz. — Scarlett westchnęła przeciągle. Nik ma rację — dodała. — Może to strach na wróble.

— Co to jest strach na wróble? — spytał Nik.

— To kukła, którą rolnicy ustawiają na polach, żeby przepłoszyć wróble.

— Czemu mieliby to robić? — Nik lubił wróble. Uważał, że są zabawne, i podobało mu się, jak zbierały śmieci z cmentarza.

— Nie wiem dokładnie. Spytałam mamę. Ale widziałam jednego z pociągu i wyjaśniła mi, co to. Wróble myślą, że to prawdziwy człowiek, ale nie, to tylko kukła podobna do człowieka, zwykły strach mający wypłoszyć ptaki.

Nik rozejrzał się po komnacie.

— Kimkolwiek jesteś, to nie działa — rzekł. — Nie boimy się go. Wiemy, że nie jest

prawdziwy, więc przestań.

Niebieski Człowiek przestał. Podszedł do kamiennej płyty i położył się na niej. A potem zniknął.

Dla Scarlett komnatę raz jeszcze pochłonęła ciemność. Usłyszała w niej znów ów szurający dźwięk, coraz głośniejszy i głośniejszy, jakby coś okrążało pokój.

— JESTEŚMY SWIJ — powiedziało coś w ciemności.

Włoski na karku Nika zaczęły się unosić. Głos w jego głowie był bardzo stary i bardzo suchy, jak skrobanie martwej gałęzi o okno kaplicy. Wydało mu się, że jest ich więcej, że przemawiają chórem.

— Słyszałaś to? — zapytał Scarlett.

— Niczego nie słyszałam, tylko szuranie. Poczułam się trochę dziwnie, ścisnęło mnie w żołądku. Jakby miało się stać coś strasznego.

— Nie stanie się nic strasznego — obiecał Nik, a potem odwrócił się i zapytał: — Czym wy jesteście?

— JESTEŚMY SWIJ. STRZEŻEMY I CHRONIMY.

— Czego strzeżecie?

— MIEJSCA SPOCZYNKU MISTRZA. TO NAJŚWIĘTSZE ZE WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH MIEJSC, STRZEŻONE PRZEZ SWIJA.

— Nie możecie nas dotknąć — powiedział Nikt. — Możecie tylko straszyć.

W wijących się głosach pojawił się nadąsany ton.

— STRACH TO BRON ŚWIJA.

Nik spojrzał na półkę.

— Czy to są skarby waszego mistrza? Stara brosza, kielich, mały kamienny nóż? Nie wyglądają zbyt bogato.

— SWIJ STRZEŻE SKARBÓW. BROSZY, KIELICHA, NOŻA. STRZEŻEMY ICH DLA MISTRZA, DO CZASU, GDY POWRÓCI. SKARB WRACA. ZAWSZE WRACA.

— Ile was tu jest?

Lecz Swij nie odpowiedział. Nik miał wrażenie, że głowę wypełniają mu pajęczyny. Potrząsnął nią, próbując się ich pozbyć, potem uściśnął dłoń Scarlett.

— Powinniśmy już iść — rzekł.

Przeprowadził ją obok martwego mężczyzny w brązowym płaszczu. Nik pomyślał, że, szczerze mówiąc, gdyby ów nieszczęśnik się nie wystraszył i nie spadł, zawiódłby się w swych poszukiwaniach. Skarby sprzed dziesięciu tysięcy lat nie dorównywały skarbowi czasów dzisiejszych. Poprowadził ostrożnie Scarlett po schodach, przez wzgórze, do sterczącej ze zbocza czarnej krypty Frobisherów.

Późnowiosenne słońce przeświecało przez szczeliny w murze i kratę w drzwiach, szokująco jasne. Scarlett zamrugała i zasłoniła oczy oślepiona nagłym blaskiem. W krzakach śpiewały ptaki, trzmielę krążyło, bzyząc. Wszystko było wręcz zaskakujące w swej normalności.

Nik popchnął zakratowane drzwi i zamknął je za nimi na klucz.

Kolorowe ubranie Scarlett pokrywał brud i pajęczyny, jej ciemna twarz i dłonie zbieleły od kurzu.

Niżej na wzgórzu ktoś — kilku ktosiów — krzyczał. Krzyczał głośno. Gorączkowo.

— Scarlett?! — wołał ktoś. — Scarlett Perkins?!

A Scarlett odpowiedziała.



— Tak? Halo?!

I nim zdążyli z Nikiem pomówić o tym, co widzieli, i o Niebieskim Człowieku, tuż przed nią zjawiała się kobieta w odblaskowej żółtej kamizelce z napisem POLICJA.

Kobieta dopytywała się, czy nic jej się nie stało, gdzie była, czy ktoś próbował ją porwać, i jednocześnie rozmawiała przez radio, dając znać innym, że znalazła dziecko.

Nik przemykał obok, gdy maszerowały w dół zbocza. Drzwi kaplicy stały otworem, w środku czekali rodzice Scarlett — zapłakana matka, ojciec rozmawiający z kimś nerwowo przez komórkę — a obok nich kolejna policjantka. Nikt nie zauważył przycupniętego w kącie Nika.

Ludzie wypytywali Scarlett, co się z nią działo, a ona odpowiadała szczerze, mówiąc o chłopcu imieniem Nikt, który zaprowadził ją w głąb wzgórze, gdzie w ciemności pojawił się mężczyzna z sinymi tautażami, tak naprawdę będący strachem na wróble. Poczęstowali ją czekoladowym batonikiem, wytarli jej twarz i spytali, czy tatuowany człowiek przyjechał na motorze.

Ojciec i matka Scarlett, teraz, gdy przestali się o nią bać, byli wściekli na samych siebie i na nią i powtarzali sobie, że to wina drugiego, że nie powinni pozwalać małej bawić się na cmentarzu, nawet mającym status ostoji przyrody, i że świat w dzisiejszych czasach to bardzo niebezpieczne miejsce i jeśli choć na chwilę spuści się dziecko z oka, nie wiadomo, co straszego może je spotkać. Zwłaszcza dziecko takie jak Scarlett.

Matka Scarlett znów się rozplakała, Scarlett też wybuchnęła płaczem. Jedna z policjantek wdała się w sprzeczkę z ojcem Scarlett, który próbował jej powiedzieć, że on jako podatnik płaci jej pensję, na co ona odparła, że też jest podatniczką i pewnie płaci pensję jemu. Tymczasem Nik siedział w cieniu w kącie kaplicy, niewidziany przez nikogo, nawet Scarlett, i patrzył i słuchał, aż wreszcie nie mógł już dłużej tego znieść.

Tymczasem na cmentarzu zapadł zmierzch. Silas wyszedł z wieży i znalazł Nika nieopodal amfiteatru, patrzącego na miasto. Stanął obok chłopca i milczał jak zawsze.

— To nie była jej wina — powiedział Nik — tylko moja. A teraz są na nią źli.

— Dokąd ją zabrałeś? — spytał Silas.

— Do wnętrza wzgórze. Chcieliśmy zobaczyć najstarszy grób. Tyle że tam nikogo nie ma. Tylko wężowy stwór, który nazywa się Swij i straszy ludzi.

— Fascynujące.

Razem zeszli ze wzgórze. Patrzyli, jak policjanci znów zamykają starą kaplicę i znikają z cmentarza wraz ze Scarlett i jej rodzicami.

— Pani Borrowns nauczy cię połączonych liter — zapowiedział Silas. — Czytałeś już wierszyki?

— Tak — odparł Nik. — Wieki temu. Mógłbyś mi przynieść więcej książek?

— Chyba tak — odrzekł Silas.

— Myślisz, że zobaczę ją jeszcze?

— Dziewczynkę? Poważnie wątpię.

Ale Silas się mylił. Trzy tygodnie później, pewnego szarego popołudnia Scarlett zjawiała się na cmentarzu w towarzystwie obojga rodziców. Upierali się, by ani na moment nie zniknęła im z oczu, choć pozostali nieco w tyle. Matka Scarlett od czasu do czasu wykrzykiwała, jakie to upiorne miejsce i jak to dobrze, że wkrótce znikną stąd na zawsze. Kiedy rodzice zaczęli rozmawiać ze sobą, Nik odezwał się cicho.

— Witaj.

— Cześć — odparła bardzo cicho Scarlett.  
— Nie sądziłem, że jeszcze cię zobaczę.  
— Powiedziałam, że nie pojedę z nimi, jeśli nie przyprowadzą mnie tu jeszcze raz.  
— Pojedziesz? Dokąd?  
— Do Szkocji. Tam jest uniwersytet. Tato będzie uczył fizyki cząsteczkowej.  
Szli razem ścieżką — drobna dziewczynka w jaskrawopomarańczowej bluzie i drobny chłopiec w szarym całunie.  
— Czy Szkocja jest daleko stąd?  
— Tak — odparła.  
— Aha.  
— Miałam nadzieję, że tu będziesz. Żeby się pożegnać.  
— Zawsze tu jestem.  
— Ale nie jesteś martwy, prawda, Nikcie Owensie?  
— Jasne, że nie.  
— Nie możesz przecież zostać tu całe życie, prawda? Pewnego dnia dorośniesz, będziesz musiał stąd wyjść i żyć w świecie na zewnątrz.  
Nik pokręcił głową.  
— Tam nie jest dla mnie bezpiecznie.  
— Kto tak mówi?  
— Silas. Moja rodzina. Wszyscy.  
Milczała.  
— Scarlett! — zawołał ojciec. — Chodź, skarbie, już czas. Odwiedziłaś ostatni raz cmentarz, teraz wracajmy do domu.  
— Jesteś odważny — powiedziała Scarlett do Nika. — Jesteś najodważniejszym człowiekiem, jakiego znam i moim przyjacielem. Nie obchodzi mnie, że jesteś wymyślony.  
Potem umknęła ścieżką w stronę, z której przyszli, do swych rodziców i świata.



## ROZDZIAŁ TRZECI

### Ghulowa brama

Jeden grób na każdym cmentarzu należy do ghuli. Wystarczy pokrażyć dość długo, a z pewnością się go znajdzie — ociekający wodą, wykrzywiony, z pękniętą bądź strzaskaną płytą, porośnięty żółknącą trawą bądź cuchnącymi chwastami i otoczony atmosferą opuszczenia. Może być też zimniejszy niż inne nagrobki, a wrytego na nim nazwiska często nie daje się odczytać. Jeśli na grobie stoi posąg, to bez głowy bądź tak porośnięty grzybami i mchem, że sam wygląda jak wielki grzyb. Jeżeli jeden grób na cmentarzu sprawia wrażenie idealnego celu dla drobnych wandalów, to jest to ghulowa brama. Jeśli grób sprawia, że chciałbyś znaleźć się gdzie indziej, to jest to ghulowa brama. Na cmentarzu Nika też była taka. Jest taka na każdym cmentarzu.

\*\*\*

Silas wybierał się w podróż.

Gdy Nik dowiedział się o tym, bardzo się zmartwił. Teraz już się nie martwił. Był wściekły.

— Ale dlaczego? — spytał.

— Już mówiłem. Muszę zdobyć pewne informacje. Aby to zrobić, muszę podróżować. By podróżować, muszę opuścić ten cmentarz. Już o tym rozmawialiśmy.

— Co jest tak ważnego, że musisz wyjeżdżać? — Sześćoletni umysł Nika próbował wyobrazić sobie coś, przez co Silas miałby zechcieć go opuścić; nie zdołał. — To niesprawiedliwe.

Jego opiekun słuchał spokojnie.

— Nie jest sprawiedliwe ani niesprawiedliwe, Nikcie Owensie. Po prostu jest.

Nika to nie przekonało.

— Masz się mną opiekować. Sam tak powiedziałaś.

— Jako twój opiekun mam pewne obowiązki, owszem. Na szczęście nie jestem jedyną istotą na świecie, gotową je podjąć.

— Dokąd się wybierasz?

— Daleko stąd. Muszę odkryć pewne rzeczy i nie zdołam tego zrobić tutaj.

Nik prychnął i odszedł, udając, że kopie kamienie. Południowo-Zachodnia część cmentarza tak bardzo zarosła, że ani ogrodnik, ani stowarzyszenie Przyjaciele Cmentarza nie zdołało sobie poradzić z gęstwiną. Nik skierował się właśnie tam.

Obudził grupkę wiktoriańskich dzieci, które zmarły przed dziesiątymi urodzinami, i zaczęli wspólnie bawić się w chowanego w skąpanej w blasku księżyca bluszczowej dżungli. Nik starał się udawać, że Silas nie wyjeżdża, że nic się nie zmieni. Gdy jednak zabawa dobiegła końca i wrócił biegiem do starej kaplicy, ujrzał dwie rzeczy, które sprawiły, że zmienił zdanie.

Pierwszą z nich była torba. W chwili, gdy Nik ją zobaczył, zrozumiał, że to torba Silasa. Miała co najmniej sto pięćdziesiąt lat i była piękna, zrobiona z czarnej skóry z mosiężnymi okuciami i czarną rączką. Podobnej mógł używać wiktoriański medyk bądź przedsiębiorca pogrzebowy, bo z pewnością pomieściłyby się w niej wszelkie niezbędne w tych fachach narzędzia. Nik nigdy wcześniej nie widział torby Silasa, nie wiedział nawet, że Silas ma torbę. Ale ta niewątpliwie mogła należeć tylko do niego.

Chłopiec próbował zajrzeć do środka, torba jednak była zamknięta na wielką mosiężną kłódkę i zbyt ciężka, by Nik zdołał ją dźwignąć.

To była pierwsza rzecz.

Druga siedziała na ławce przy kaplicy.

— Niku — powiedział Silas. — Poznaj pannę Lupescu.

Panna Lupescu nie była ładna. Twarz miała chudą, minę pełną dezaprobaty, włosy siwe, choć oblicze kobiety wydawało się zbyt młode jak na siwe włosy. Jej przednie zęby były lekko krzywe. Miała na sobie obszerny płaszcz przeciwdeszczowy, a wokół szyi zawiązała męski krawat.

— Jak się pani miewa, panno Lupescu? — zagadnął Nik.

Panna Lupescu nie odpowiedziała. Powęszyła w powietrzu. Potem spojrzała na Silasa.

— A zatem to jest chłopiec. — Wstała i okrążyła Nika, jej nozdrza rozděły się jakby go obwąchiwała. Po chwili powiedziała: — Będiesz się do mnie zgłaszać po przebudzeniu i przed snem. Wynajęłam pokój w domu, o tam. — Wskazała dach, ledwie widoczny z miejsca, w którym stali. — Większość czasu będę jednak spędzać na tym cmentarzu. Przybyłam tu jako historyk, badam historię starych grobów. Zrozumiałeś, chłopcze? Da?

— Nik — powiedział Nik. — Nazywam się Nik. Nie chłopiec.

— To skrót od Nikt — odparła. — Niemądre imię. Poza tym Nik to zdrobnienie. Nie uznaję zdrobnień. Będę ci mówić „chłopcze”, ty będziesz mi mówił „panno Lupescu”.

Nik spojrział błagalnie na Silasa, ale na jego twarzy dostrzegł tylko obojętność. Mężczyzna podniósł torbę.

— U panny Lupescu będziesz w dobrych rękach. Z pewnością się polubicie.

— Nie polubimy! — rzucił Nik. — Ona jest okropna!

— To było bardzo niegrzeczne — upomniał go Silas. — Chyba powinieneś przeprosić, nie sądzisz?

Nik wcale tak nie uważał. Lecz Silas patrzył na niego, w dłoni trzymał czarną torbę i zaraz miał odejść na nie wiadomo jak długo.

— Przepraszam, panno Lupescu — rzekł zatem Nik.

Z początku nie odpowiedziała, jedynie pociągnęła nosem.

— Przebyłam długą drogę, by się tobą zająć, chłopcze. Mam nadzieję, że jesteś tego wart — powiedziała po namyśle.

Nik nie wyobrażał sobie, że mógłby uścisnąć Silasa, więc wyciągnął rękę.

Opiekun pochylił się i uścisnął ją delikatnie, obejmując wielką bladą dłonią drobne i brudne palce chłopca. A potem odszedł, niosąc swą czarną skórzaną torbę, jakby nic nie ważyła. Pomaszerował ścieżką i zniknął z cmentarza.

Nik opowiedział o tym rodzicom.

— Silas odszedł — rzekł.

— Wróci — stwierdził pan Owens. — Nie zaprzataj tym sobie głowy, Niku. On jest jak zły szeląg. Tak mówią.

— Kiedy się urodziłeś — dodała pani Owens — obiecał nam, że gdyby musiał odejść, znajdzie kogoś, kto będzie ci przynosił jedzenie i miał na ciebie oko, i tak zrobił. Jest bardzo obowiązkowy.

To prawda, Silas przynosił Nikowi jedzenie i każdej nocy zostawiał je w krypcie.

Lecz, przynajmniej w ocenie Nika, była to najmniej ważna z rzeczy, które dla niego robił. Udzielał mu rad, spokojnych, rozsądnych i nieodmiennie słusznych; widział więcej niż mieszkańcy cmentarza, bo conocne wycieczki do świata zewnętrznego oznaczały, że potrafił opisać go takim, jakim był obecnie, a nie setki lat wcześniej. Był stały i niezmienny, i towarzyszył Nikowi każdej nocy jego życia, więc sama myśl o małym kościółku pozbawionym jedyne go mieszkańca nie mieściła się Nikowi w głowie. Przede wszystkim, przy nim Nik czuł się bezpieczny.

Panna Lupescu uznała, że jej praca nie ogranicza się wyłącznie do przynoszenia posiłków Nikowi. Choć owszem, to też robiła.

— Co to jest? — spytał Nik ze zgrozą.

— Zdrowe jedzenie — odparła panna Lupescu. Siedzieli razem w krypcie.

Postawiła na stole dwa plastikowe pojemniki i zdjęła pokrywki; wskazała pierwszy. — To barszcz z buraków z kaszą jęczmienną. — Wskazała drugi. — A to sałatka. Zjedz jedno i

drugie, zrobiłam je dla ciebie.

Nik przyglądał jej się, zastanawiając się, czy to jakiś żart. Jedzenie od Silasa wyglądało zupełnie inaczej. Było zapakowane, pochodziło ze sklepów, w których sprzedają posiłki późną nocą i nie zadają żadnych pytań. Nigdy dotąd nie dał mu niczego w plastikowym pojemniku z pokrywką.

— Pachnie okropnie — zaprotestował.

— Jeśli wkrótce nie zjesz zupy — rzekła — będzie jeszcze gorsza. Wystygnie. Jedz już.

Nik był głodny. Wziął plastikową łyżeczkę, zanurzył w czerwono-fioletowej brei i zaczął jeść. Jedzenie było śliskie i miało obcy smak i wygląd, ale połykał je bez sprzeciwu.

— A teraz sałatka. — Panna Lupescu zsunęła pokrywkę z drugiego pojemnika.

Na sałatkę składały się duże kawałki surowej cebuli, buraka i pomidora, skąpane w gęstym octowym sosie.

Nik wsunął do ust kawał buraka i zaczął gryźć. Poczul napływającą ślinę i pojął, że jeśli przełknie, zwróci wszystko.

— Nie mogę tego zjeść.

— To bardzo zdrowe.

— Pochoruję się.

Przyglądali się sobie — mały chłopczyk o potarganej szaroburej czuprynie i chuda kobieta z nieskazitelną siwą fryzurą.

— Zjedz jeszcze kawałek — powiedziała panna Lupescu.

— Nie mogę.

— Zjesz jeden kawałek albo zostaniesz tu, dopóki nie zjesz wszystkiego.

Nik wybrał kawał octowego pomidora, pogryzł go i przełknął z trudem. Panna Lupescu zamknęła oba pojemniki i schowała do reklamówki.

— A teraz lekcje.

Był środek lata, prawdziwy zmrok zapadał koło północy. W środku lata nie uczył się niczego — jeśli nie spał, bawił się, wspinał i badał zakątki cmentarza w ciepłym, niekończącym się zmierzchu.

— Lekcje? — powtórzył.

— Twój opiekun uznał, że dobrze będzie, jeśli czegoś cię nauczę.

— Ale ja mam nauczycieli. Letycja Borrowa uczy mnie pisania i słów, a pan Pennyworth Całościowego Systemu Edukacyjnego Dla Młodszych Dżentelmentów z Dodatkowymi Materiałami Przeznaczonymi dla tych Post Mortem. Przerabiam geografię i w ogóle. Nie potrzebuję więcej lekcji.

— A zatem wiesz wszystko, chłopcze. Sześć lat i już wiesz wszystko.

— Tego nie powiedziałem.

Panna Lupescu splotła ręce na piersi.

— Opowiedz mi o ghulach — poleciła.

Nik próbował sobie przypomnieć, co Silas mówił mu o nich przez te lata.

— Trzymaj się od nich z daleka — rzekł.

— I to wszystko, co wiesz? Da? Dlaczego masz się od nich trzymać z daleka? Skąd pochodzą? Dokąd odchodzą? Czemu nie stajesz w pobliżu ghulowej bramy? Co, chłopcze?

Nik wzruszył ramionami i pokręcił głową.

— Wymień różne ludy — poleciła panna Lupescu. — Już.

Zastanawiał się chwilę.

— Żywi — rzekł. — Eee. Umarli. — Umilkł. — Koty? — dodał niepewnie.

— Jesteś ignorantem, chłopcze — oznajmiła panna Lupescu. — To źle. W dodatku odpowiada ci bycie ignorantem, — a to jeszcze gorzej. Powtarzaj za mną: żywi i umarli, plemiona dnia i plemiona nocy, ghule i wędrujący we mgle, Lotni Łowcy i Ogary Boga. A także samotnicy.

— A czym jest pani? — spytał Nik.

— Ja? — odparła surowo. — Jestem panna Lupescu.

— A Silas?

Zawahała się.

— To samotnik — odparła w końcu.

Od tej pory Nik musiał znosić jej lekcje. Kiedy Silas uczył go czegoś, to było ciekawe. Zazwyczaj Nik nie zdawał sobie nawet sprawy, że czegokolwiek się nauczył.

Panna Lupescu stosowała spisy i Nik nie widział w tym sensu. Siedział w krypcie, pragnąc jedynie pobiegać w letnim mroku pod widmowym księżycem.

Gdy lekcja dobiegła końca, umknął z kaplicy w paskudnym humorze. Szukał towarzyszy zabaw, ale nie znalazł nikogo. Zauważył tylko wielkiego siwego psa, który krążył wśród nagrobków, utrzymując niezmienny dystans i przemykając pośród grobów i cieni.

Reszta tygodnia wyglądała jeszcze gorzej.

Panna Lupescu nadal przynosiła Nikowi potrawy, które sama mu przyrządziła: pierogi pływające w tłuszczu; gęstą czerwono-fioletową zupę z solidną łyką kwaśnej śmietany; małe gotowane i wystudzone ziemniaki; zimne czosnkowe kielbasy; jajka na twardo w szarej paskudnej brei. Jadł najmniej jak mógł. Lekcje także trwały dalej: przez dwa dni uczyła go jedynie tego, jak wezwać pomoc we wszystkich językach świata, a jeśli się pomylił albo zapomniał, stukała go po kostkach piórem. Trzeciego dnia zasypała go pytaniami.

— Francuski.

— Au secours.

— Język Morse'a.

— SOS. Trzy krótkie, trzy długie i znów trzy krótkie.

— Nocnoskrzydli.

— To głupie. Nie wiem nawet, co to jest nocnoskrzydły.

— Mają bezwłose skrzydła, latają nisko i szybko. Nie odwiedzają tego świata, krążą jednak po czerwonym niebie nad szlakiem do Gholheimu.

— Nigdy mi się to nie przyda.

Mocniej zacisnęła wąskie usta i powtórzyła jedynie.

— Nocnoskrzydli?

Nik wydał odgłos z głębi gardła, którego go nauczyła — gardłowy krzyk przypominający zew orła. Pociągnęła nosem.

— Wystarczy — rzekła.

Nie mógł się już doczekać powrotu Silasa.

— Czasami na cmentarzu pojawia się wielki szary pies oznajmił. — Przybył razem z panią. To pani pies?

Panna Lupescu poprawiła krawat.

— Nie — odparła.

— Skończyliśmy już?

— Na dzisiaj. Później przeczytasz spisy, które ci dziś dałam, i nauczysz się ich na jutro. Wręczyła mu listy, zapisane jasnioletowym atramentem na białym papierze, pachnące starością. Nik wziął je ze sobą na zbocze i próbował odczytać słowa, lecz cały czas coś odciągało jego uwagę. W końcu złożył kartkę i wsunął pod kamień.

Tej nocy nikt nie chciał się z nim bawić. Nikt nie chciał się bawić ani rozmawiać, biegać i wspinać się pod wielkim letnim księżycem.

Poszedł do grobowca Owensów poskarżyć się rodzicom, lecz pani Owens nie chciała słuchać ani słowa narzekania na pannę Lupescu, kierując się w opinii Nika niesprawiedliwą zasadą, że Silas ją wybrał. Natomiast pan Owens tylko wzruszył ramionami i zaczął opowiadać Nikowi o tym, jak sam terminował u stolarza i jakże chętnie nauczyłby się wówczas wszystkich użytecznych rzeczy, które poznaje Nik, co w jego opinii było jeszcze gorsze.

— Poza tym, czy nie powinienes się uczyć? — spytała pani Owens.

Nik milczał, zaciskając pięści. Wściekły, wyszedł na cmentarz. Czuł się niekochany i niedoceniany.

Rozmyślając nad niesprawiedliwością tego, co go spotyka, wędrował po cmentarzu, kopiąc kamienie. Wypatrzył ciemnoszarego psa i zawołał go, sprawdzając, czy podejdzie i pobawi się z nim. Lecz zwierzę zachowało bezpieczny dystans i zirytowany Nik rzucił w niego bryłką zaschniętego błota, która roztrzaskała się o najbliższy nagrobek, sypiąc dookoła ziemią. Wielki pies spojrział na niego z wyrzutem, po czym cofnął się w cień i zniknął.

Chłopiec pomaszerował południowo-zachodnim zboczem wzgórza, omijając szerokim łukiem starą kaplicę: nie chciał oglądać miejsca, w którym nie było Silasa.

Zatrzymał się przy grobie wyglądającym tak, jak Nik się czuł: ukrytym pod starym dębem, w który niegdyś trafił piorun, pozostawiając jedynie czarny zwęglony pień, podobny do ostrego szponu sterczącego z ziemi. Grób pokrywały plamy i pęknięcia, nad nim wznosił się nagrobek, z którego wyrastał bezgłowy anioł, którego szaty wyglądały jak paskudne kędzierzawe grzyby.

Nik usiadł na kępie traw, użalając się nad sobą. Nienawidził wszystkich.

Nienawidził nawet Silasa, za to, że odszedł i go zostawił. A potem zamknął oczy, zwinął się w kłębek na trawie i osunął w pozbawiony marzeń sen.

\*\*\*

Jedną z ulic wiodących na wzgórze biegli książę Westminsteru, czcigodny Archibald Fitzhugh i biskup Bath i Wells. Przemykali i przeskakiwali od cienia do cienia, chudzi, skórzaści i żyłaści, odziani w lachmany. Śmigali naprzód, przeskakując nad kubłami na śmieci i trzymając się mrocznej strony żywopłotów.

Byli mali, jak dorośli ludzie, którzy skurczyli się w słońcu. Rozmawiali ze sobą półgłosem, wypowiadając zdania takie jak: „Gdyby wasza miłość miał choć najbledsze pojęcie, co właściwie winniśmy począć, byłbym niewymownie wdzięczny, gdyby się z nami podzielił. W przeciwnym razie winien trzymać swą wielką jadaczkę na kłódkę” i „Powiadam tylko, wasza czcigodność, że wiem, że w pobliżu jest cmentarz, czuję jego zapach” i „Skoro ty go czujesz, to i ja powinienem, bo mam lepszy węch niż ty, wasza



miłość”.

Przez cały ten czas lawirowali i przemykali przez podmiejskie ogrody. Jeden ominęli — „Pst”, syknął czcigodny Archibald Fitzhugh. „Psy!” — i przebiegli po murze niczym szczury rozmiaru dzieci, po czym popędzili dalej przez główną ulicę i drogą wiodącą na szczyt wzgórza. A potem znaleźli się przy cmentarnym murze. Wbiegli na niego jak wiewiórki na drzewo, węsząc w powietrzu.

— Uwaga na psa — rzekł książę Westminsteru.

— Gdzie?

— No nie wiem, gdzieś tutaj. Zresztą nie pachnie jak prawdziwy pies — odparł biskup Bath i Wells.

— Cmentarza też ktoś nie wyczuł — wtrącił czcigodny Archibald Fitzhugh. — Pamiętasz? To tylko pies.

Cała trójka zeskoczyła z muru na ziemię i pobiegła, podpierając się nie tylko nogami, ale i rękami, przez cmentarz do gbulowej bramy przy piorunowym drzewie.

I tam, obok bramy, zatrzymali się w blasku księżyca.

— Co to ma niby być? — spytał biskup Bath i Wells.

— Niech mnie licho, jeśli wiem — odparł książę Westminsteru.

I wówczas Nik się obudził.

Trzy twarze, które ujrzał, mogły należeć do zmumifikowanych ludzi — pozbawionych ciała, wysuszonych — tyle że poruszały się i wyrażały zainteresowanie. Usta uśmiechały się, odsłaniając ostre poplamione zęby. Małe paciorkowe oczy błyszcząły, szponiaste palce poruszały się i postukiwały.

— Kim wy jesteście? — spytał Nik.

— My? — odparł jeden ze stworów; Nik uświadomił sobie, że są tylko odrobinę większe od niego. — Jesteśmy najważniejsi ze wszystkich. Ten tutaj to książę Westminsteru. — Największy ze stworów skłonił się mówiąc: „Jakże mi miło”. — A ten tutaj to biskup Bath i Wells. — Stwór szczerzący ostre zęby i poruszający między nimi niewiarygodnie długim językiem według Nika zupełnie nie wyglądał jak biskup: skórę miał łaciatą, a plama na oku sprawiała, że przypominał pirata. — A ja mam zaszczyt być czcigodnym Harichibaldem Fitzhughiem. Do usług.

Trzy stwory skłoniły się.

— A teraz rzeknij, chłopcze — powiedział biskup Bath i Wells — co z tobą? Tylko nie kłam, pamiętaj, że rozmawiasz z biskupem.

— Dobrze powiedziane, Wasza Świątobliwość — dodali pozostali dwaj.

Nikt im opowiedział. Pożalił się, że nikt go nie lubi i nie chce się z nim bawić, nikt go nie docenia i nawet opiekun go porzucił.

— Tam do kata. — Książę Westminsteru podrapał się po nosie (małym, zaschniętym i szpiczastym, złożonym głównie z nozdrzy). — Wiesz, czego ci trzeba? Pójść tam gdzie miejscowi cię docenią.

— Nie ma takiego miejsca — odrzekł Nik. — I nie wolno mi opuszczać cmentarza.

— Potrzebny ci cały świat pełen przyjaciół i towarzyszy zabaw — oświadczył biskup Bath i Wells, kiwając długim językiem. — Miasto dziwów, zabawy i magii, gdzie byłbyś doceniany, a nie ignorowany.

— Pani, która się mną opiekuje — rzekł Nik — przyrządza straszne jedzenie. Zupę z jajek ugotowanych na twardo i inne takie rzeczy.

— Jedzenie — rzucił czcigodny Archibald Fitzhugh. — Tam, dokąd idziemy, serwują najlepsze jedzenie na całym świecie. Na samą myśl burczy mi w brzuchu i ślinka napływa do ust.

— Czy mógłbym pójść z wami? — spytał Nik.

— Książę Westminsteru sprawiał wrażenie wstrząśniętego tym pomysłem.

— Nie bądź taki, wasza miłość — rzekł biskup Bath i Wells — miejże serducho, spójrz na tego małego grzdyla. Od nie wiadomo jak dawna nie jadł porządnego posiłku.

— Głosuję za tym, żeby go zabrać — oznajmił czcigodny Archibald Fitzhugh. — W domu czeka na nas porządne żarło. — Poklepał się po brzuchu, demonstrując, jakich przysmaków można się spodziewać.

— A zatem masz smak na przygodę? — spytał książę Westminsteru. — Czy wolisz zmarnować resztę życia tutaj? — Kościstymi palcami wskazał noc i cmentarz.

Nik pomyślał o pannie Lupescu, o jej paskudnych potrawach, spisach i zaciśniętych ustach.

— Mam — rzekł.

Trzej nowi przyjaciele może i byli jego wzrostu, ale dysponowali znacznie większą siłą niż jakiegokolwiek dziecko. Biskup Bath i Wells złapał Nika i uniósł wysoko nad głowę, tymczasem książę Westminsteru chwycił garść pożółkłej kędzierzawej trawy, wykrzyknął coś, co brzmiało jak „Skagh! Thegh! Khafavagah!” i szarpnął.

Kamienna płyta zamykająca bramę otworzyła się niczym kłapa, ukazując ciemność.

— Teraz szybko — polecił książę i biskup Bath i Wells cisnął Nika w sam środek mrocznego otworu, po czym wskoczył za nim. W jego ślady podążył czcigodny Archibald Fitzhugh, a potem zręczny książę Westminsteru, który, gdy tylko znalazł się w środku, wykrzyknął: — Weght kharados!

Kamienna płyta zatrzasnęła się nad nimi.

Nik spadał, koziołkując w ciemności niczym bryłka marmuru, zbyt zaskoczony, by się bać. Zastanawiał się właśnie, jak głęboka może być dziura pod grobem, gdy dwie silne ręce chwyciły go pod pachami i poczuł, że zatacza łuk.

Od wielu lat nie doświadczył takiej ciemności. Na cmentarzu widział tak, jak umarli, i żaden grób, grobowiec ani krypta nie kryły się przed jego oczami. Teraz znalazł się w całkowitej czerni. Czuł, jak przerzucają go między sobą szybko i mocno, twarz omiatał mu wiatr. Było to przerażające, ale też porywające.

A potem zabłysło światło i wszystko się zmieniło.

Niebo było czerwone, ale nie ciepłą czerwienią zachodzącego słońca. To była gniewna, ognista czerwień zakażonej rany. Małe słońce wydawało się stare i odległe w zimnym powietrzu. Schodzili po wysokim murze. Sterczały z niego nagrobki i posągi, jakby ktoś przechylił na bok olbrzymi cmentarz, a książę Westminsteru, biskup Bath i Wells i czcigodny Archibald Fitzhugh niczym trzy pomarszczone szympansy w obszarpanych czarnych garniturach zawiązanych na plecach przeskakiwali od posągu do posągu, podając sobie Nika, przerzucając go między sobą i nigdy nie chybiając, zawsze chwytając z łatwością, bez patrzenia.

Nik próbował spojrzeć w górę, zobaczyć grób, przez który wkroczyli do tego dziwnego świata. Widział jednak tylko setki nagrobków.

Zastanawiał się, czy każdy z nich to wejście dla takich, jak ci, którzy go nieśli.

— Dokąd idziemy? — spytał, lecz wiatr poniósł w dal jego słowa.

Schodzili coraz szybciej i szybciej. Przed nimi jeden z posągów uniósł się i kolejne dwa stwory wskoczyły do owego świata o szkarłatnym niebie. Były podobne do tych, które niosły Nika. Jeden miał na sobie obdartą jedwabną suknię, wyglądającą, jakby niegdyś była biała, drugi — poplamiony szary garnitur, stanowczo za duży, z frędzlowatymi, obszarpanymi rękawami. Wypatrzyli Nika i jego trzech nowych przyjaciół i pomknęli ku nim, z łatwością przeskakując siedem metrów.

Książę Westminsteru zapiszczał w głębi gardła, udając, że się boi, i Nik wraz z całą trójką pomknęli jeszcze szybciej w dół ogromnej ściany grobów. Nowa dwójka ściagała ich uporczywie. Żadnemu z nich nie brakowało tchu, żadnego nie ogarniało zmęczenie pod owym czerwonym niebem, z którego niczym martwe oko patrzyło na nich wypalone słońce. W końcu przysiedli na brzuchu wielkiego posągu przedstawiającego stwora, którego całą twarz pochłonął bezkształtny grzyb i Nik uściśnął ręce 33. prezydenta Stanów Zjednoczonych oraz cesarza Chin.

— To jest mości Nik — oznajmił biskup Bath i Wells. Wkrótce zostanie jednym z nas.

— Pragnie porządnego posiłku — dodał czcigodny Archibald Fitzhugh.

— Kiedy zostaniesz jednym z nas, możesz zawsze liczyć na prawdziwą ucztę, mój chłopcze — rzekł cesarz Chin.

— Ano — dodał 33. prezydent Stanów Zjednoczonych.

— Zostanę jednym z was? — zdziwił się Nik. — To znaczy stanę się taki jak wy?

— Bystry jak strumień, ostry jak brzytwa. Doprawdy trudno byłoby ukryć coś przed tym młodzianem — rzucił biskup Bath i Wells. — W istocie. Jednym z nas. Równie silnym, szybkim, niepokonanym.

— Zęby tak mocne, że zmiążdżą każdą kość, język dość długi i ostry, by wylizać szpik z nawet najgłębszej szczeliny i zedrzeć ciało z twarzy największego tłuszczocha — dodał cesarz Chin.

— Zdolny przemykać z cienia w cień, nigdy niewidziany, niedostrzegany, wolny jak wiatr, szybki jak myśl, zimny jak szron, twardy jak stal, niebezpieczny jak, jak... my — powiedział książę Westminsteru.

Nik spojrział na otaczające go stworzenia.

— A co, jeśli nie zechcę być taki jak wy? — spytał.

— Nie zechcesz? Oczywiście, że zechcesz! Czy jest coś wspanialszego? Nie sądzę, by w całym wszechświecie istniała choć jedna istota niepragnąca stać się taka jak my.

— Mamy najlepsze miasto... Gholheim — wtrącił 33. prezydent Stanów Zjednoczonych.

— Najlepsze życie, najlepsze jadło.

— Wyobrażasz sobie — przerwał biskup Bath i Wells — jak cudownie smakuje czarna maź, zbierająca się w ołowianej trumnie? I jakie to uczucie być ważniejszym niż królowie i królowe, premierzy i bohaterowie, być tego pewnym, tak samo jak ludzie są ważniejsi od zwykłej brukselki?

— Kim wy jesteście? — spytał Nik.

— Ghulami — odparł biskup Bath i Wells. — A niech mnie, ktoś tu nie słuchał uważnie. Jesteśmy ghulami.

— Spójrzcie!

Pod nimi cały oddział małych stworzeń skakał, biegł i śmigał, zmierzając w stronę ścieżki w dole. I nim Nik zdążył powiedzieć choć słowo, pochwyliła go para kościstych rąk i zaczął lecieć w powietrzu w serii podskoków i szarpnięć, gdy stworzenia zmierzały w dół,

by dołączyć do swych pobratymców.

Ściana grobów kończyła się, teraz widział już drogę i tylko drogę, ubity gościniec przecinający jałową równinę, pustynię pełną kamieni i kości, wiodący w stronę miasta, wysoko na wyniosłym, czerwonym skalistym wzgórzu wiele mil dalej.

Nik przyjrzał się miastu i poczuł zgrozę, połączenie odrazy i strachu, niesmaku i obrzydzenia, suto zaprawione szokiem.

Ghule nie budują. To pasożyty i złodzieje, pożeracze trupów. Miasto, które nazywają Gholheimem, znalazły dawno temu, lecz go nie stworzyły. Nik nie wie (i być może żaden człowiek nigdy nie wiedział), jakież to istoty wzniosły owe budynki, wyrwały w skałach sieć tuneli, zbudowały wieże. Lecz z całą pewnością nikt prócz plemienia ghuli nie chciałby tam zamieszkać czy nawet zbliżyć się do tego miejsca.

Nawet z traktu pod Gholheimem, nawet z odległości wielu mil Nik widział, że wszystkie tamtejsze kąty są nie takie, jak powinny — że mury pochylają się szaleńczo, że miasto jest niczym każdy koszmar, który go nawiedzał, wcielony w życie, olbrzymia paszcza pełna sterczących zębów. Było to miasto wzniesione po to, by je porzucić, w którego kamieniach odcisnęły się wszystkie lęki, szaleństwa i odrazy stworzeń, które je wzniosły. Plemię ghuli znalazło je, zachwyciło się nim i nazwało domem.

Ghule poruszają się szybko. Wyroliły się na przecinający pustynię gościniec prędzej niż mięsożerne muchy, a Nik podążał wraz z nimi, niesiony wysoko nad głową przez parę silnych ghułowych rąk, przerzucany od jednego do drugiego. Czuł mdłości, strach i rozpacz, a także czuł się strasznie głupio.

Nad nimi, na ponurym czerwonym niebie jakieś stwory krążyły na rozłożystych czarnych skrzydłach.

— Ostrożnie — rzekł książę Westminsteru. — Schowajcie go. Nie chcecie, żeby porwali go nocnoskrzydli. Cholerni złodzieje.

— Tak, nie znosimy złodziei! — wykrzyknął cesarz Chin.

Nocnoskrzydli na czerwonym niebie nad Gholheimem. Nik odetchnął głęboko, po czym krzyknął tak, jak go nauczyła panna Lupescu. Wydał z siebie orli okrzyk, wydobywający się z głębi gardła.

Jedna ze skrzydlatych bestii opadła ku nim, krążąc niżej, i Nik powtórzył swój okrzyk, dopóki nie stłumiły go twarde ręce przyciśnięte do jego ust.

— Niezły pomysł tak je tu wołać — rzekł czcigodny Archibald Fitzhugh. — Ale wierz mi, nie są jadalne, dopóki nie pogniją co najmniej parę tygodni, i zwiastują tylko kłopoty. Nasza strona za nimi nie przepada. Kumasz?

Nocnoskrzydły wzleciał z powrotem w suchym pustynnym powietrzu, dołączając do pobratymców i Nik stracił wszelką nadzieję.

Ghule pędziły w stronę miasta po skałach, niosąc ze sobą Nika, bezceremonialnie zarzuconego na cuchnące plecy księcia Westminsteru.

Martwe słońce zaszło i na niebie pojawiły się dwa księżycy: jeden wielki, kostropaty i biały — wydawało się, że w chwili wschodu przesłaniał pół horyzontu, choć potem, wznosząc się, zmalął; i drugi, mniejszy, o barwie błękitnozielonych żyłek pleśni w serze. Pojawienie się tego księżycy ghule przywitały wybuchem radości, przerwały marsz i rozbiły obóz przy drodze.

Jeden z nowych członków grupy — Nikowi zdawało się, że to chyba ten, którego przedstawiono mu jako słynnego pisarza Wiktora Hugo — wyciągnął worek pełen drew

— przy kilku wciąż pozostały zawiasy bądź mosiężne uchwyty — a także metalową zapalniczkę i wkrótce rozpalili ognisko, wokół którego zasiadły ghule. Wpatrywały się w błękitnozielony księżyc i przepychały, starając się zająć najlepsze miejsca, obsypując się wyzwiskami, a czasem szarpiąc i gryząc.

— Wkrótce pójdziemy spać i o zachodzie księżyca ruszymy do Ghelheimu — oznajmił książę Westminsteru. — Zostało jeszcze tylko dziewięć, dziesięć godzin biegu, powinniśmy tam dotrzeć przed następnym wschodem księżyca. Wówczas urządzimy sobie zabawę, co? Uczymy to, że zostaniesz jednym z nas!

— To nie boli — dodał czcigodny Archibald Fitzhugh. Nic nie poczujesz. A potem, pomyśl, jaki będziesz szczęśliwy!

Przekrzykując się, zebrani zaczęli opowiadać historie o tym, jak pięknie i wspaniale jest być ghulem, o wszystkim, co pożarli i zmiażdżyli swymi potężnymi zębami. Wedle jednego z nich nie miały się ich żadne choroby. Nieważne, na co zmarła kolacja, i tak mogli ją pożreć. Opowiadali o miejscach, które odwiedzali, zazwyczaj katakumbach i dołach zarazy („Doły zarazy to świetne żarcie” — rzekł cesarz Chin i wszyscy się zgodzili). Opowiedzieli Nikowi, skąd wzięli imiona i że on także, kiedy już stanie się bezimiennym ghulem, zostanie nazwany, jak oni.

— Ale ja nie chcę zostać jednym z was — zaprotestował.

— Tak czy inaczej — powiedział wesoło biskup Bath i Wells — zostaniesz jednym z nas. Drugi sposób jest mniej przyjemny, wiąże się ze strawieniem i raczej ci się nie spodoba.

— Ale nie warto o tym mówić — uciał cesarz Chin. — Lepiej być ghulem. My nie boimy się niczego!

I wszystkie ghule wokół ogniska z trumiennego drewna ryknęły zgodnie, warcząc, wyśpiewując i wykrzykując, jakie są mądre, potężne i jak wspaniale jest nie bać się niczego.

Wówczas z pustyni dobiegł odległy dźwięk, jakby wycie. Ghule zabelkotały i skuliły się bliżej ognia.

— Co to było? — spytał Nik.

Ghule potrząsnęły głowami.

— To tylko coś na pustyni — rzekł jeden z nich. — Cicho! Usłyszycie nas!

I wszystkie ghule umilkły. Po chwili jednak zapomniały o stworzeniu na pustyni i zaczęły śpiewać gbulową piosenkę pełną brzydkich wyrazów i jeszcze brzydszych obrazów, z których najpopularniejszymi były długie spisy gnijących części ciała, przeznaczonych do zjedzenia — w odpowiedniej kolejności.

— Chcę wrócić do domu — oświadczył Nik, gdy ostatnie szczątki w pieśni zostały już pożarte. — Nie chcę tu być.

— Nie bądź taki — odparł książę Westminsteru. — Ty mały grzdyłu, obiecuję ci, że gdy tylko staniesz się jednym z nas, nie będziesz nawet pamiętał, że kiedykolwiek miałeś dom.

— Ja nie pamiętam niczego z czasów, nim zostałem ghulem — oznajmił słynny pisarz Wiktor Hugo.

— Ani ja — dodał z dumą cesarz Chin.

— Nic — zgodził się 33. prezydent Stanów Zjednoczonych.

— Staniesz się jednym z wybrańców, najmądrzejszych, najszybszych, najodważniejszych stworzeń na świecie przechwalał się biskup Bath i Wells.

Nikowi nie zaimponowały popisy ghuli. Rzeczywiście jednak były silne i nieludzko szybkie, a on znalazł się w samym środku ich grupy, toteż ucieczka była niemożliwa: doścignęłyby go, nim pokonałby dziesięć kroków.

Daleko w mroku znów coś zawyło i ghule przysunęły się bliżej ognia. Nik słyszał, jak węszą i przeklinają. Zamknął oczy, nieszczęśliwy, stęskniony za domem.

Nie chciał stać się jednym z ghuli. Zastanawiał się, jak zdoła zasnąć tak nieszczęśliwy i bezradny, po czym, niemal ku swemu zdumieniu przespał dwie, trzy godziny.

Obudził go hałas — głośny, niepokojący, bliski. Ktoś mówił „Gdzie oni są, co?”.

Otworzywszy oczy, ujrzał biskupa Bath i Wells, wrzeszczącego do cesarza Chin.

Wyglądało na to, że paru członków grupy zniknęło w mroku. Po prostu zniknęło i nikt nie dysponował wyjaśnieniem. Reszta ghuli kręciła się nerwowo. Szybko zwinęli obóz, 33. prezydent Stanów Zjednoczonych dźwignął Nika i zarzucił go sobie na plecy.

Ghule zsunęły się ze skał na trakt pod niebem barwy zepsutej krwi i znów ruszyły w stronę Gholheimu. Tego ranka wydawały się znacznie mniej radosne. Teraz — a przynajmniej Nik podskakujący na plecach jednego z nich odnosił takie wrażenie — najwyraźniej przed czymś uciekały.

Koło południa, gdy martwe oko słońca świeciło wysoko nad głowami, ghule zatrzymały się i zbiły w ciasną grupkę. Przed nimi, wysoko na niebie, unoszeni gorącymi prądami powietrza, szybowali nocnoskrzydli. Dziesiątki nocnoskrzydłych.

Ghule podzieliły się na dwa obozy — te, które uważały, że zniknięcie ich przyjaciół nie ma znaczenia, i te wierzące, że coś, zapewne nocnoskrzydli, chce ich dopaść. Nie doszły do porozumienia, zgodziły się jednak, że warto uzbroić się w kamienie, by obrzucić nimi skrzydlate stwory, gdyby zaatakowały. Napełniły zatem kieszenie swych garniturów i szat kamieniami.

Coś zawyło na pustyni po lewej i ghule popatrzyły po sobie. Dźwięk był głośniejszy niż zeszłej nocy i bliższy, głęboki, wilczy.

— Słyszeliście? — spytał lord burmistrz Londynu.

— Nie — odparł 33. prezydent Stanów Zjednoczonych.

— Ja też nie — dodał czcigodny Archibald Fitzhugh.

Coś znów zawyło.

— Musimy wracać do domu. — Księżę Westminsteru zważył w dłoniach ciężki kamień.

Koszmarne miasto Gholheim wznosiło się przed nimi na wysokich skałach.

Stwory pomknęły drogą ku niemu.

— Nocnoskrzydli nadlatują! — zaskrzeczał biskup Bath i Wells. — Rzucajcie w drani kamieniami!

W tym momencie Nik widział wszystko do góry nogami, podskakując na plecach 33. prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jego głowę otaczała chmura brudnego piasku z drogi. Słyszał jednak krzyki podobne do orlich i raz jeszcze wezwał pomocy w języku nocnoskrzydłych. Tym razem nikt nie próbował go uciszyć, nie był jednak pewien, czy ktokolwiek go usłyszał pośród krzyków nocnoskrzydłych i przekleństw i wyzwisk ghuli, ciskających w powietrze kamieniami.

Nagle znów usłyszał wycie; teraz dobiegało z prawej.

— Paskudne szubrawce. Są ich dziesiątki! — rzekł ponuro księżę Westminsteru.

33. prezydent Stanów Zjednoczonych oddał Nika słynnemu pisarzowi Wiktorowi Hugo, który wsadził chłopca do worka i zarzucił na ramię. Nik był rad, że worek nie cuchnie

niczym gorszym niż zakurzone drwa.

— Wycofują się! — wrzasnął ghul. — Patrzcie, jak uciekają!

— Nie bój się — rzekł ktoś głosem podobnym do biskupa Bath i Wells. — Kiedy dotrzemy do Gholheimu, nic takiego się nie powtórzy. Gholheim to nieprzenikniona twierdza.

Nik nie potrafił stwierdzić, czy którykolwiek z ghuli zginął bądź został ranny podczas walki z nocnoskrzydłymi. Z potoku bluzgów, sypiących się z ust biskupa Bath i Wells, wywnioskował, że kilkanaście innych ghuli mogło uciec.

— Szybko! — krzyknął ktoś, zapewne ksiązę Westminsteru, i ghule popędziły przed siebie.

Ukryty w worku Nik uderzał o plecy słynnego pisarza Wiktora Hugo i od czasu do czasu o ziemię. Fakt, iż w worku było nadal kilka pozostałości fragmentów trumien wraz z ostrymi śrubami i gwoździami, jeszcze pogarszał sprawę. Jedna ze śrub znalazła się tuż pod jego dłonią, wbijając się w nią boleśnie.

Mimo nieustannych podrzutów, podskoków, przerzucania i pchnięć w rytm kolejnych kroków prześladowcy, Nik zdołał chwycić śrubę w prawą dłoń. Wymacał ostry koniuszek i gdzieś w głębi jego duszy przebudziła się nadzieja. Wbił śrubę w tkaninę worka pod sobą, przebijając ją na wylot, wyciągnął, po czym zrobił kolejną dziurę nieco poniżej pierwszej.

Z tyłu znowu usłyszał wycie. Nagle przyszło mu do głowy, że coś, co tak przeraziło ghule, musi być straszniejsze, niż mógłby sobie wyobrazić. Na moment zaprzestał dźgania śrubą — co, jeśli wypadnie z worka wprost w paszczę złowieszczej bestii? Ale jeśli nawet zginę, to przynajmniej będąc sobą, pomyślał Nik. Ze wszystkimi wspomnieniami, wiedząc, kim byli jego rodzice, Silas, a nawet panna Lupescu.

To dobrze.

Znow zaatakował worek mosiężną śrubą, dźgając i szarpiąc, aż w końcu wydarł w materiale kolejną dziurę.

— No dalej, chłopcy! — huknął biskup Bath i Wells. Po stopniach w górę i będziemy w domu, bezpieczni w Gholheimie!

— Hura, wasza czcigodność! — ryknął ktoś inny, najpewniej czcigodny Archibald Fitzhugh.

Teraz ruchy prześladowców się zmieniły. Nie zmierzali już prostą drogą naprzód. Przesuwali się w górę i w przód, w górę i w przód, w górę i w przód.

Nik zaczął napierać ręką na worek, próbując zrobić otwór dość duży, by móc przez niego wyrzucić. Gdy się udało, ujrzał nad sobą złowieszcze czerwone niebo, a pod...

Pod sobą widział pustynię, tyle że teraz leżała setki stóp w dole. Za nimi ciągnęły się schody, lecz schody zbudowane dla olbrzymów. Po prawej ujrzał czarną skalną ścianę. Gholheim najprawdopodobniej znajdował się nad nimi. Po lewej Nik zobaczył przepaść. Będzie musiał polecieć prosto w dół, uznał, na stopnie, i mieć nadzieję, że ogarnięte desperacją i tęsknotą za bezpiecznym domem ghule nie zauważą tej próby ucieczki. Wysoko na niebie dostrzegł nocnoskrzydłych. Krążyli, jakby na coś czekali.

Ucieszył się, odkrywając, że za nim nie ma już ghuli: słynny pisarz Wiktor Hugo zamykał stawkę. Żaden nie mógł zawiadomić reszty, że w worku otwiera się coraz większa dziura. Ani zauważyć Nika, kiedy wypadnie.

Ale było tam coś jeszcze...

Nagle szarpnięcie rzuciło go na bok, oderwało od dziury. Ujrzał jednak na stopniach coś

wielkiego i szarego. Ściagało ich; słyszał gniewny, narastający warkot.

Pan Owens, mając na myśli dwie nieprzyjemne rzeczy, zwykł mawiać, że znalazł się między Złym a głębokim oceanem. Nik zastanawiał się często co to znaczy, przez całe swe życie na cmentarzu nie widział ani Złego, ani głębokiego oceanu.

Jestem pomiędzy ghulami i potworem, pomyślał.

I dokładnie w tym momencie ostre psie zęby chwyciły worek i szarpnęły tak mocno, że materiał rozdarł się wzdłuż otworków zrobionych przez Nika i chłopak wypadł na kamienne stopnie. Olbrzymie szare zwierzę podobne do psa, lecz znacznie większe, warczało zaślinione, stojąc nad nim. Ujrzał płonące oczy, białe kły i potężne łapy. Stwór dyszał, wpatrując się w Nika.

Przed nimi ghule zatrzymały się w biegu.

— Tam do kroćset! — krzyknął książę Westminsteru. — Piekielny ogar dorwał przeklętego chłopca!

— Niech go sobie weźmie — odparł cesarz Chin. — Biegiem!

— Jak rany! — dodał 33. prezydent Stanów Zjednoczonych.

Ghule popędziły w górę schodów.

Nik był teraz pewien, że wykuto je dla olbrzymów, bo każdy stopień był wyższy od niego. Podczas ucieczki ghule przystanęły tylko na moment, by się obrócić i pożegnać bestię obelżywymi gestami. Być może część z nich była przeznaczona także dla Nika.

Bestia pozostała na miejscu.

Zaraz mnie pożre, pomyślał z goryczą Nik. Bardzo sprytnie, Nik. A potem pomyślał o domu na cmentarzu, o tym, że nie pamiętał już nawet, czemu go opuścił.

Nik musiał tam wrócić. Czekali na niego.

Przepchnął się obok stwora, zeskoczył na następny stopień cztery stopy niżej, upadł, wylądował na kostce, która przekręciła się pod nim boleśnie i runął ciężko na skałę.

Usłyszał, jak bestia biegnie, skacze ku niemu, i próbował się dźwignąć, podnieść na nogi, lecz kostka odmówiła posłuszeństwa, odrętwiała i bolesna, i nim zdążył powstrzymać upadek, znów runął. Poleciał ze stopnia w bok od kamiennej ściany, w przepaść, koziółkując w powietrzu, z koszarnej, niewyobrażalnej wysokości...

I kiedy tak spadał, miał nieodparte wrażenie, że usłyszał głos dobiegający mniej więcej od strony szarej bestii. Głos należał do panny Lupescu.

— Och, Nik! — zawołała.

Przypominało to wszystkie nawiedzające go sny o spadaniu. Przerazający lot, zbliżanie się do ziemi. Miał wrażenie, że jego umysł jest zdolny objąć tylko jedną myśl, toteż w jego głowie konkurowały o uwagę słowa: „ten wielki pies to naprawdę panna Lupescu” i „Zaraz uderzę o skałę i się rozbiję”.

Coś owinęło się wokół niego, spadając z tą samą prędkością co on. A potem rozległ się głośny trzepot skórzastych skrzydeł i wszystko zwolniło. Ziemia nie pędziła już ku niemu.

Skrzydła uderzyły mocniej. Unieśli się lekko i teraz w głowie Nika pulsowała tylko jedna myśl: ja latam! I rzeczywiście. Wyciągnął szyję. Nad sobą ujrzał ciemnobrązową głowę, idealnie łysą, z głęboko osadzonymi oczami wyglądającymi jak polerowane kawałki czarnego szkła.

Nik wydał z siebie skrzekliwy okrzyk, znaczący „ratunku” w mowie nocnoskrzydłych. Jego zbawca uśmiechnął się w odpowiedzi i zahukał basowo. Sprawiał wrażenie



zadowolonego.

Skręcili, zwolnili i z cichym tupnięciem wylądowali na pustyni. Nik spróbował wstać i kostka znów go zawiodła. Poleciał na piasek. Wiał silny wiatr, ostry, pustynny piasek kaleczył mu skórę.

Nocnoskrzydły przycupnął obok niego, składając na plecach skórzaste skrzydła.

Nik dorastał na cmentarzu i przywykł do obrazu skrzydlatych ludzi, lecz anioły na nagrobkach wyglądały zupełnie inaczej.

A teraz, pędząc ku niemu po pustyni w cieniu Gholheimu, pojawiła się olbrzymia szara bestia, gigantyczny pies. Pies przemówił głosem panny Lupescu.

— To już trzeci raz nocnoskrzydli ratują ci życie, Niku rzekł. — Po raz pierwszy, kiedy wezwalesz pomocy, a oni usłyszeli. Przekazali mi wiadomość, informując gdzie jesteś. Po raz drugi przy ognisku zeszłej nocy, kiedy spałeś: krążyli w ciemności i usłyszeli rozmowę paru ghuli, które doszły do wniosku, że przynosisz im pecha i że powinny rozwalić ci głowę kamieniem i zakopać gdzieś, gdzie znalazłyby cię, kiedy już dobrze przegnijesz i będą mogły cię zjeść. Nocnoskrzydli po cichu załatwili sprawę. No i teraz.

— Panna Lupescu?

Wielka psia głowa pochyliła się ku niemu i przez jedną szaleńczą, przerażającą chwilę wydało mu się, że go ugryzie. Lecz zamiast tego polizała go czule po twarzy.

— Boli cię noga?

— Tak. Nie mogę na niej stanąć.

— Wsiądź mi na grzbiet — poleciała szara bestia, będąca panną Lupescu.

Powiedziała coś w szczekliwej mowie nocnoskrzydłych i stwór podszedł bliżej, przytrzymując Nika, gdy ten oplótł rękoma szyję panny Lupescu.

— Przytrzymaj się mojego futra — poleciała. — Tylko mocno. A teraz, zanim odejdziemy, powiedz... — Zaskrzeczała piskliwie.

— Co to znaczy?

— Dziękuję. Albo do widzenia. Jedno i drugie.

Nik zaskrzeczał najlepiej jak umiał; nocnoskrzydły zachichotał z rozbawieniem.

Potem wydał podobny dźwięk, rozłożył wielkie skórzaste skrzydła i pobiegł wraz z wiatrem, trzepocząc mocno, póki wiatr nie poniósł go niczym wielki latawiec.

— Teraz — rzekła bestia, będąca panną Lupescu — trzymaj się mocno. — I zaczęła biec.

— Czy biegniemy w stronę ściany grobów?

— Do ghułowych bram? Nie. One są dla ghuli. Ja jestem Ogarem Boga, podróżuję własną drogą, do piekła i z powrotem.

Nikowi wydało się, że pobiegła jeszcze szybciej. Wielki księżyc wzeszedł, za nim mniejszy, barwy pleśni. Dołączył do nich rubinowy księżyc, a szara wilczyca biegła swobodnie w ich blasku po pustyni pełnej kości. Zatrzymała się obok strzaskanego glinianego budynku, podobnego do olbrzymiego ula, wzniesionego obok niewielkiego źródła wody, wylewającej się z bulgotem z pustynnej skały, zbierającej w maleńki staw i znów znikającej wśród piasków. Szara wilczyca opuściła głowę i zaczęła pić. Nik nabrał wody w dłonie i też się napił małymi łyżkami.

— To jest granica — oznajmiła szara wilczyca będąca panną Lupescu i Nik uniósł wzrok.

Trzy księżycy zniknęły, teraz widział Drogę Mleczną. Czuł się tak, jakby nie oglądał jej nigdy wcześniej. Niczym migotliwy całun jaśniała na łuku nieba. Nieba pełnego gwiazd.

— Są piękne — szepnął.

— Kiedy wrócimy do domu — oznajmiła panna Lupescu — nauczę cię nazw gwiazd i ich konstelacji.

— Bardzo bym chciał — przyznał Nik.

Wdrapał się z powrotem na wielki szary grzbiet, wtulił twarz w futro, przytrzymując się mocno. I miał wrażenie, że minęła zaledwie chwilka, podczas której ktoś niósł go niezgrabnie — jak dorosła kobieta dźwigająca sześciolatka przez cmentarz w stronę grobowca Owensów.

— Coś się stało z jego nogą — oznajmiła panna Lupescu.

— Biedactwo. — Pani Owens odebrała jej chłopca i objęła mocno niematerialnymi rękami. — Nie mogę powiedzieć, — że się nie martwiłam, bobym skłamała. Ale teraz wrócił i tylko to ma znaczenie.

A potem był już spokojny, bezpieczny pod ziemią, w dobrym miejscu, z głową na własnej poduszce, i pochłonęła go łagodna, zmęczona ciemność.

\*\*\*

Lewa kostka Nika spuchła i posiniała. Doktor Trefusis (1870-1936, Oby przebudził się w chwale) zbadał ją i uznał, że jest tylko zwichnięta. Panna Lupescu powróciła z wyprawy do apteki z elastycznym bandażem, a Josiah Wortington, baronet, pochowany z hebanową laską, uparł się, że pożyczy ją Nikowi, który bawił się aż nazbyt dobrze, opierając się o nią i udając stulatkę.

Pokuśtykał na wzgórzu i znalazł złożoną kartkę, wciśniętą pod kamień.

Ogary Boga

— odczytał. Słowa te, wypisane fioletowym atramentem, stanowiły pierwszy punkt spisu. Ci, których ludzie nazywają Wilkołakami bądź Lycanthropami, sami zważają się Ogarami Boga, bo twierdzą, że ich przemiana to dar Stwórcy i odpłacają za niego niezłomnością, są bowiem gotowi ścigać złoczyńców aż do samych bram piekieł.

Nik pokiwał głową.

Nie tylko złoczyńców, pomyślał.

Przeczytał resztę spisu, starając się zapamiętać wszystko, po czym ruszył do kaplicy, gdzie czekała już panna Lupescu z małym pasztecikiem i wielką torbą frytek, kupionych w barze ze smażonymi rybami u stóp wzgórza, a także kolejnym stosikiem fioletowych, odbitych na powielaczu spisów.

We dwójkę zjedli frytki. Panna Lupescu uśmiechnęła się nawet raz czy dwa.

Silas wrócił pod koniec miesiąca. W lewej dłoni niósł czarną torbę, prawą trzymał nieruchomo. Był jednak Silasem i Nik ucieszył się na jego widok — a jeszcze bardziej, gdy Silas wręczył mu prezent, mały model mostu Golden Gate z San Francisco.

Dochodziła już północ i nadal nie zapadł prawdziwy zmrok. Siedzieli we trójkę na szczycie wzgórza, a pod nimi migotały światła miasta.

— Ufam, że podczas mojej nieobecności wszystko szło jak należy — rzekł Silas.

— Wiele się nauczyłem. — Nik ścisnął w rękach swój most. Wskazał palcem niebo.

— To myśliwy Orion, o tam, z pasem z trzech gwiazd. A to Taurus, Byk.

— Bardzo dobrze — pochwalił Silas.

— A ty? — spytał Nik. — Dowiedziałeś się czegoś podczas swej podróży?

— O tak — odparł Silas, nie rozwiniął jednak tematu.

— Ja także — rzekła wyniośle panna Lupescu — sporo się nauczyłam.

— To dobrze — powiedział Silas. W gałęziach dębu zahukała sowa. — Wiecie, podczas mojej nieobecności słyszałem — pewne plotki. Że parę tygodni temu oboje zapuściliście się nieco dalej, niż ja byłbym w stanie pójść. Zazwyczaj doradzałbym ostrożność, lecz w odróżnieniu od niektórych ghule mają krótką pamięć.

— Nic się nie stało — rzekł Nik. — Panna Lupescu się mną opiekowała. Nic mi nie groziło.

Panna Lupescu spojrzała na Nika, jej oczy rozbłysły. Potem odwróciła się w stronę Silasa.

— Jest tyle rzeczy, które warto poznać — rzekła. — Może w przyszłym roku wrócę latem, by znów nauczyć czegoś chłopca.

Silas przyjrzał się panie Lupescu i odrobinę uniósł brew.

Potem spojrzał na Nika.

— Bardzo bym chciał — rzekł Nik.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

### Nagrobek dla wiedźmy

Wszyscy wiedzieli, że na skraju cmentarza leży pochowana wiedźma. Odkąd Nik pamiętał, pani Owens kazała mu trzymać się jak najdalej od tego zakątka.

— Dlaczego? — spytał.

— To niezdrowe dla żywych — odparła pani Owens. — Panuje tam straszna wilgoć, właściwie to bagno. Zaziebisz się na śmierć.

Pan Owens okazał się mniej wymowny i bardziej tajemniczy.

— To niedobre miejsce — rzekł jedynie.

Właściwy cmentarz kończył się u stóp wzgórza, pod starą jabłonią, ogrodzeniem z

rdzawobrazowych żelaznych prętów zakończonych niewielkimi, rdzewiejącymi grotami. Dalej rozciągał się kawał nieużytków, porośniętych gąszczem pokrzyw, chwastów i jeżyn, zasypanych jesiennymi śmieciami. Nik, będący w gruncie rzeczy grzecznym i posłusznym chłopcem, nie przecisnął się między prętami, szedł tam jednak i wyrztał na drugą stronę. Wiedział, że nie mówią mu wszystkiego, i ten fakt nieco go drażnił.

Potem wspiał się z powrotem na wzgórze, do opuszczonego kościoła pośrodku cmentarza i zaczął do zmroku. Gdy szare wieczorne niebo pociemniało, przybierając odcień mocnego fioletu, na wieży rozległ się dźwięk przypominający trzepot ciężkiego aksamitu. To Silas opuścił swoje miejsce spoczynku na szczycie dzwonnicy i ruszył po ścianie głową w dół.

— Co jest w najdalszym kącie cmentarza? — spytał Nik. Za Harrisonem Westwoodem, Piekarzem z Naszej Parafii i jego żonami, Marion i Joan?

— A czemu pytasz? — odparował jego opiekun, strzepując palcami barwy kości pył z czarnego surduta.

Nik wzruszył ramionami.

— Tak się tylko zastanawiałem.

— To niepoświęcona ziemia — oznajmił Silas. — Wiesz, co to znaczy?

— Niespecjalnie — przyznał Nik.

Silas przeszedł przez ścieżkę, nie dotykając ani jednego liścia, i usiadł na kamiennej ławie obok chłopca.

— Są tacy — oświadczył swym jedwabistym głosem którzy wierzą, że cała ziemia jest uświęcona, że była święta, nim się na niej zjawiliśmy, i taka pozostanie. Lecz tu, w waszej krainie, ludzie błogosławią kościoły i ziemię przeznaczoną na pogrzeby, by ją poświęcić. Obok niej zostawiają niepoświęconą ziemię, zwaną polem garncarza, w której grzebią zbrodniarzy, samobójców i ludzi innej wiary.

— Zatem ludzie pochowani po drugiej stronie ogrodzenia są źli?

Silas uniósł brew.

— Mhm? Nie, ależ nie. Pomyślmy. Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio odwiedziłem tamto miejsce, nie przypominam sobie jednak nikogo szczególnie złego. Zrozum, w dawnych czasach wieszano ludzi nawet za kradzież szylinga. I zawsze znajdują się tacy, którzy uważają, że ich życie stało się tak nieznośne, że najlepiej przyspieszyć przejście na inny poziom istnienia.

— To znaczy, zabijają się? — domyślił się Nik. Miał jakieś osiem lat, zachłannie chłonał wiedzę, często zadawał pytania i nie był głupi.

— Owszem.

— I to się sprawdza? Po śmierci są szczęśliwsi?

Silas uśmiechnął się tak szeroko, że odsłonił kły.

— Czasami. Zazwyczaj nie. Zupełnie jak ludzie, którzy wierzą, że będą szczęśliwi, jeśli przeprowadzą się w jakieś inne miejsce, lecz przekonują się, że to tak nie działa. Gdziekolwiek się udasz, zabierasz tam siebie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

— Mniej więcej — mruknął Nik.

Silas wyciągnął rękę i zmierzwił mu włosy.

— A wiedźma? — spytał chłopiec.

— Tak. Właśnie. Samobójcy, przestępcy i wiedźmy. Ci, którzy zmarli bez ostatniego namaszczenia. — Wstał, nocny cień w mroku. — My tu gadamy — rzekł — a ja nie

zjadłem jeszcze śniadania. Tymczasem ty spóźnisz się na lekcje.

W półmroku cmentarza coś zamigotało w ciszy, coś czarnego, trzepoczącego, a potem Silas zniknął.

Zanim Nik dotarł do mauzoleum pana Pennywortha, księżyc zaczął już wschodzić i Thomas Pennyworth (Spoczywa tu w pokoju, pewien ciała zmartwychwstania) czekał już na niego w nie najlepszym nastroju.

— Spóźniłeś się — oznajmił z wyrzutem.

— Przepraszam, panie Pennyworth.

Pennyworth zacmokał. W ubiegłym tygodniu uczył Nika o żywiołach i humorach, tyle że Nik zapominał, które są które. Oczekiwał sprawdzianu, zamiast tego jednak pan Pennyworth rzekł:

— Myślę, że przyszła pora, by poświęcić kilka dni kwestiom praktycznym. Ostatecznie czas płynie.

— Naprawdę? — spytał Nik.

— Niestety, tak, paniczu Owens. A jak tam twoje Znikanie?

Nik miał nadzieję, że to pytanie nie padnie.

— W porządku — odparł. — To znaczy. No wie pan.

— Nie, paniczu Owens, nie wiem. Może zatem zechcesz je zademonstrować?

Nik jęknął w duchu, odetchnął głęboko i uczciwie dołożył wszelkich starań, zaciskając powieki i próbując zniknąć.

Pan Pennyworth nie był zachwycony.

— Phi, to nie to, zupełnie nie to. Masz się wśliznąć i zniknąć, chłopcze, tak jak to czynią umarli. Wśliznij się między cienie, zniknij ze świadomości. Spróbuj jeszcze raz.

Nik spróbował.

— Jesteś równie widoczny, jak nos na twojej twarzy oznajmił pan Pennyworth — a twój nos należy do wyjątkowo widocznych nosów, podobnie jak reszta oblicza, młodzieńcze, i ty cały. Na miłość wszystkiego co święte, opróżnij umysł, już! Jesteś pustą uliczką. Jesteś pustymi drzwiami. Jesteś niczym. Czy cię nie ujrzą. Umysły nie ogarną. Tam, gdzie stoisz, nie ma niczego i nikogo.

Nik spróbował jeszcze raz. Zamknął oczy, wyobrażając sobie, że znika, zlewa się z poplamioną kamienną ścianą mauzoleum, staje nocnym cieniem i niczym więcej.

Kichnął.

— Straszne. — Pan Pennyworth westchnął. — Absolutnie straszne. Muszę pomówić o tym z twoim opiekunem. — Pokręcił głową. — No dobrze. Humory. Wymień je.

— Uhm. Sangwiniczny. Choleryczny. Flegmatyczny. I ten czwarty. Chyba... melancholiczny.

I tak dalej, i dalej, aż w końcu nadeszła pora na Gramatykę i Kompozycję z panną Letycją Borrowss, Starą Panną z Naszej Parafii (Która w Całym swym Życiu nie Skrzywdziła Żadnego Człeka. Przechodniu, czyż Możesz Powiedzieć o Sobie to Samo?). Nik lubił pannę Borrowss i jej przytulną kryptę, a także fakt, że bardzo łatwo dawała się namówić do zmiany tematu.

— Mówią, że w tutejszej niepoświęconej ziemi leży wiedźma — rzekł.

— Tak mój drogi, ale nie chcesz tam chodzić.

— Czemu nie?

Panna Borrowss posłała mu szczery uśmiech umarłych.

— Nie zadajemy się z takimi jak oni.

— Ale to przecież nadal cmentarz. To znaczy, wolno mi tam pójść, gdybym zechciał?

— To — oświadczyła panna Borrowes — nie byłoby rozsądne.

Nik, choć posłuszny, był także ciekawski, toteż po zakończeniu lekcji tej nocy odnalazł bezgłowego anioła na grobie Harrisona Westwooda, piekarza i jego rodziny.

Nie zszedł jednak do stóp wzgórza za ogrodzenie. Zamiast tego skręcił w bok, do miejsca, gdzie po pikniku odbytym trzydzieści lat temu pozostała pamiątka w postaci wielkiej, rozłożystej jabłoni.

Nik nie był całkiem odporny na naukę. Parę lat temu zerwał z tego drzewa mnóstwo niedojrzałych, kwaśnych, białych jabłek, zjadł je i kilka następnych dni żałował, dręczony bolesnymi skurczami, podczas gdy pani Owens pouczała go, czego nie wolno mu jeść. Od tamtej pory zawsze czekał, aż jabłka dojrzeją, i nigdy nie zjadał więcej niż dwóch, trzech na noc. Tydzień wcześniej zerwał ostatnie, ale lubił siedzieć na jabłoni i rozmyślać.

Wspiął się po pniu na swe ulubione miejsce w rozwidleniu dwóch konarów i spojrzał w dół, na skąpane w blasku księżyca pole garncarza, porośnięte chaszczami i nieskoszoną trawą. Zastanawiał się, czy wiedźma to starucha o żelaznych zębach, podróżująca w chacie na kurzych nóżkach, czy też chuda czarownica z wielkim nosem, latająca na miotle.

Nagle poczuł głód. Pożałował, że zjadł już wszystkie jabłka. Szkoda, że nie zostawił chociaż jednego... Zerknął w górę i wydało mu się, że coś widzi. Spojrzał raz, potem drugi, by się upewnić. Jabłko, czerwone i dojrzałe.

Nik szczyił się swą umiejętnością wspinaczki po drzewach. Teraz podciągnął się na kolejnych gałęziach, wyobrażając sobie, że jest Silasem, spływającym gładko z pionowej, ceglanej ściany. Jabłko, tak czerwone, że niemal czarne w promieniach księżyca, wisiało tuż poza jego zasięgiem. Nik przesunął się powoli po gałęzi, aż w końcu znalazł się tuż pod nim. Potem wyprostował się i koniuszkami palców musnął idealne jabłko.

Nie było mu dane go skosztować.

Nagle rozległ się trzask, donośny niczym strzał z dubeltówki, i gałąź pod jego stopami pękła.

Obudził go błysk bólu, ostry jak lód barwy powolnej błyskawicy. Leżał w chaszczach, w ciemności letniej nocy.

Ziemia pod nim wydawała się dość miękka i osobliwie ciepła. Nik przyłożył do niej dłoń i poczuł coś przypominającego futro. Wylądował na stercie siana, na którą ogrodnik z cmentarza wysypywał resztki z kosiarki. Miękka trawa złagodziła upadek.

Mimo to, czuł klucie w piersi, a noga bolała okropnie, jakby spadł właśnie na nią i wykręcił.

Jęknął.

— Cichaj, cichaj, chłopcze — przemówił ktoś za jego plecami. — Skąd się tu wzięłeś? Runąłeś z nieba jak głąz. Co to za manieri?

— Siedziałem na jabłoni — wyjaśnił Nik.

— Ach tak. Pokaż no tę nogę, założę się, że jest złamana, tak jak konar z drzewa. — Zimne palce zaczęły obmacywać jego lewą łydkę. — Nie, nie jest złamana. Skręcona, owszem, może też nadwreżona. Masz szczęście jak sam czort, chłopcze. Spadłeś wprost na kompost. To nie koniec świata.

— Cieszę się — jęknął Nik. — Ale i tak boli.

Odwrócił głowę i spojrzał w górę i za siebie. Była starsza od niego, ale nie dorosła, nie wyglądała ani przyjaźnie, ani wrogo. Sprawiała wrażenie czujnej, ostrożnej. Twarz miała bystrą i zdecydowanie nie piękną.

— Jestem Nik — przedstawił się.

— Żywy chłopak? — spytała.

Przytaknął.

— Tak też sądziłam. Słyszeliśmy o tobie, nawet tu, na polu garncarza. Jak cię nazywają?

— Owens — oznajmił. — Nikt Owens. W skrócie Nik.

— Jak się miewasz, paniczku Niku?

Nik przyjrzał jej się uważnie. Okrywała ją prosta biała koszula, długie kasztanowe włosy okalały twarz, która miała w sobie coś chochlikowatego — na ustach błąkał się bezustannie lekki krzywy uśmiezek, niezależnie od tego, jaką minę przybierała reszta twarzy.

— Popeliłaś samobójstwo? — spytał. — Ukradłaś szylinga?

— Nigdy w życiu niczego nie ukradłam — oburzyła się. — Nawet chusteczki. Poza tym, samobójcy leżą tam, po drugiej stronie tamtego krzaka głogu, a obaj szubienicznicy pośród jeżyn. Jeden był fałszerzem, drugi rozbójnikiem, tak przynajmniej twierdzi. Choć, jeśli chcesz znać moje zdanie, wątpię, by można go nazwać nawet prawdziwym rzeźmieszkiem. Ot, zwykły złodziejaszek.

— Ach tak. — W głowie Nika obudziło się nagle podejrzenie. — Mówią, że leży tu wiedźma. Czarownica.

Dziewczyna przytaknęła.

— Utopiona, spalona na stosie i pogrzebana w nieoznaczonym miejscu, nawet bez nagrobka.

— Utopili cię i spalili?

Przysiadła na stercie trawy obok niego i przytrzymała obolałą nogę Nika zimnymi dłońmi.

— Przyszli do mojej chaty o świcie, nim zdążyłam się obudzić, i wywlekli mnie na błonie. „Jesteś wiedźmą”, wrzeszczeli, grubi, świeżo wyszorowani, różowi w świetle poranka, jak warchlaki wiezione na targ. Kolejno występowali naprzód, stawali pod niebem i opowiadali o skwaśniałym mleku i okulałych koniach. Aż w końcu wstaje mości Jemima, najgrubsza, najróżowsza, najczystsza z nich wszystkich i mówi, że Solomon Porritt już jej nie odwiedza i zamiast tego kręci się przy pralni jak osa przy garncu miodu, a wszystko to przez moją magię. To ja go zmusiłam, rzuciłam na biedaka zaklęcie. Przywiązali mnie zatem do stołka i wepchnęli pod wodę w stawie, mówiąc, że jeśli jestem czarownicą, to nie utonę i nic nie poczuję. A jeśli nie, to poczuję, o tak. A ojciec mości Jemimy dał każdemu po srebrnym szelągu, żeby długo przytrzymali stołek pod paskudną, zieloną wodą, sprawdzając, czy się utopię.

— I utopiłaś się?

— O tak. Odetchnęłam wodą. To mnie zabiło.

— Och — mruknął Nik. — Czyli jednak nie byłaś wiedźmą.

Dziewczyna spojrzała na niego okrągłymi oczami ducha i uśmiechnęła się krzywo. Wciąż wyglądała jak chochlik, ale ładny chochlik i Nik zwątpił, by potrzebowała magii, żeby zauroczyć Solomona Porritta. Nie z takim uśmiechem.

— Co za bzdury. Oczywiście, że byłam wiedźmą. Przekonali się o tym, gdy odwiązali



mnie od stołka i położyli na trawie, ćwierćżywą, oblepioną rzęsą wodną i cuchnącym mułem. Wywróciłam wtedy oczami i przeklełam ich wszystkich razem i każdego z osobna, tam, na błoni, owego ranka. Przeklełam, by żaden z nich nigdy nie spoczął spokojnie w grobie. Sama byłam zdumiona, jak łatwo mi to przyszło. Zupełnie jak taniec, gdy stopy podchwytyją nowy rytm, którego uszy nigdy nie słyszały, nie zna głowa, i tańczą aż do świtu. — Wstała i obróciła się w piruecie, podskakując. Jej bosa stopa błysnęła w promieniach księżyca. — Tak właśnie ich przeklełam, moim ostatnim, bulgoczącym od wody tchnieniem. A potem umarłam, a oni spalili moje ciało na błoniach, aż w końcu został z niego tylko czarny węgiel. Wsadzili mnie do dziury na polu garncarza, nawet bez nagrobka z imieniem i nazwiskiem.

Umilkła i przez moment zdawało się, że ogarnął ją smutek.

— Czy ktoś z nich leży pogrzebany na cmentarzu? — zapytał Nik.

— Ani jeden. — Dziewczyna się zaśmiała. — W sobotę po tym, jak utopili mnie i upiekli, panu Porringerowi dostarczono dywan z daleka, z samego Londynu. Piękny był to dywan, lecz okazało się, że jest w nim coś więcej niżli mocna wełna i zręczne sploty. Wśród nich bowiem kryła się zaraza i do poniedziałku pięciu z nich kasłało krwią, a ich skóra poczerniała jak moja, gdy wyciągnęli mnie z ognia. Tydzień później choroba ogarnęła niemal całą wioskę i ludzie wrzucali trupy do morowego dołu, wykopanego w szczerym polu. Potem go zasypali.

— Czy wszyscy mieszkańcy umarli?

Wzruszyła ramionami.

— Wszyscy, którzy patrzyli, jak mnie topią i palą. Jak twoja noga?

— Lepiej — rzekł — Dzięki.

Nik wstał powoli i kuśtykając, zszedł ze sterty trawy. Oparł się o żelazne pręty.

— Czyli zawsze byłaś czarownicą? — spytał. — No wiesz, zanim ich wszystkich przekleś.

— Jak gdyby trzeba było czarów, by zwabić do mojej chaty Solomona Porritta — odparła, pociągając wzgardliwie nosem.

Co, jak pomyślał Nik, choć nie odezwał się ani słowem, nie stanowiło w żadnym razie odpowiedzi na jego pytanie.

— Jak się nazywasz?

— Nie mam nagrobka. — Kąciki jej ust wygięły się w dół. Mogę być każdym, nikiem.

— Ale przecież musisz mieć jakieś imię.

— Nazywam się Liza. Liza Hempstock, miły panie — odparła cierpko. — Nie pragnę przecież wiele — dodała. — Tylko czegoś, co zaznaczyłoby mój grób. Leżę o tutaj, widzisz? Nie ma tu nic prócz pokrzyw. — Przez moment wyglądała tak smutno, że Nik zapragnął ją przytulić.

I nagle, gdy przeciskał się pomiędzy prętami ogrodzenia, przyszedł mu do głowy pomysł. Znajdzie nagrobek dla Lizy Hempstock, nagrobek z jej nazwiskiem. Sprawি, że znów się uśmiechnie.

Już na zboczu odwrócił się, by pomachać jej na pożegnanie, ale Liza zniknęła.

\*\*\*

Na cmentarzu było pełno odłamków nagrobków i pomników, lecz Nik wiedział, że podarowanie jednego z nich szarookiej wiedźmie z pola garncarza to niedobry pomysł.

Potrzebował czegoś innego. Stwierdził, że lepiej nie wspominać nikomu o tym, co zamierza, uznawszy całkiem rozsądnie, że z pewnością by mu zabronili.

Przez następne kilka dni umysł miał zajęty snuciem planów, coraz bardziej skomplikowanych i szalonych. Pan Pennyworth rozpaczał.

— Mam wrażenie — oznajmił, drapiąc się po zakurzonych wąsach — że, jeśli to w ogóle możliwe, idzie ci jeszcze gorzej. Ty nie znikasz, chłopcze: przeciwnie, rzucasz się w oczy. Trudno cię nie zauważyć. Gdybyś przyszedł do mnie w towarzystwie fioletowego lwa, zielonego słonia i szkarłatnego jednorożca, na którym zasiadałby sam król Anglii w królewskich szatach, myślę, że ludzie gapiliby się tylko na ciebie, uważając pozostałych za niegodnych wzmianki.

Nik jedynie patrzył na niego bez słowa. Zastanawiał się, czy w miejscach, gdzie zbierają się żywi ludzie, istnieją sklepy sprzedające wyłącznie nagrobki, a jeśli tak, to jak miałyby znaleźć taki sklep. Zupełnie nie miał głowy do Znikania.

Skwapliwie wykorzystał skłonność panny Borrowss do zapominania o zadaniach z gramatyki i kompozycji i rozmów o wszystkim innym, wypytując ją o pieniądze — jak dokładnie działają, jak ich użyć, by zdobyć to, czego się pragnie. Nik dysponował garścią monet, które nzbierał w ciągu kilku lat (przekonał się, że najlepiej szukać pieniędzy w miejscach, w których zakochane pary tuliły się, całowały i tarzały w trawie cmentarza. Często znajdował tam na ziemi metalowe monety) i pomyślał, że może w końcu udałoby się jakoś je wykorzystać.

— Ile mógłby kosztować nagrobek? — spytał pannę Borrowss.

— Za moich czasów — odparła — kosztowały piętnaście gwinei. Nie wiem, ile chcą za nie dzisiaj. Przypuszczam, że więcej, znacznie, znacznie więcej.

Nik miał pięćdziesiąt trzy pensy. Był pewien, że to nie wystarczy.

Minęły cztery lata, niemal pół jego życia, od czasu gdy odwiedził grób Niebieskiego Człowieka, nadal jednak pamiętał drogę. Wdrapał się na szczyt wzgórza i wkrótce znalazł się ponad miastem, wyżej nawet niż wierzchołek jabłoni i wieża zrujnowanego kościoła, gdzie krypta Frobisherów sterczała z ziemi niczym spróchniały ząb. Wśliznął się do środka, schodząc niżej, niżej i jeszcze niżej, aż do niewielkich kamiennych stopni, wyciętych w sercu wzgórza. Ruszył nimi do kamiennej komnaty u jego podstawy. W grobowcu było ciemno, ciemno jak w kopalni, lecz Nik oglądał świat wzrokiem umarłych i komora ujawniała przed nim swoje sekrety.

Swij leżał zwinięty pod ścianą komnaty grobowej. Wyglądał tak, jak go Nik zapamiętał: długie macki utkane z dymu, nienawiść i głód. Tym razem jednak Nik się go nie bał.

— LĘKAJ SIĘ MNIE — wyszeptał Swij — STRZEGĘ BOWIEM RZECZY CENNYCH I NIGDY NIEUTRACONYCH.

— Nie boję się ciebie — oznajmił Nik. — Pamiętasz? I muszę coś stąd zabrać.

— NIC STĄD NIE ODCHODZI — padła odpowiedź istoty zwiniętej w mroku. — NÓŻ, BROSZA, KIELICH. STRZEGĘ ICH w CIEMNOŚCI. CZEKAM.

Na środku pomieszczenia wznosiła się płaska skalna płyta. Leżały na niej. Kamienny nóż, brosza i kielich.

— Wybacz, że pytam — rzekł Nik — ale czy to twój grób?

— MISTRZ POSŁAŁ NAS NA TĘ RÓWNIŃĘ, ABYŚMY STRZEGLI. POGRZEBAŁ NASZE CZASZKI POD TYM KAMIENIEM. POZOSTAWIŁ NAS TU Z WIEDZĄ, CO MAMY ROBIĆ. STRZEŻEMY SKARBÓW DO CZASU POWROTU MISTRZA.

— Przypuszczam, że o was zapomniał — rzekł rozsądnie Nik. — Z pewnością sam już od wieków nie żyje.

— JESTEŚMY SWIJ. STRZEŻEMY.

Nik zastanawiał się, jak dawno temu najgłębszy grobowiec we wnętrzu wzgórza mógł leżeć na równinie. Wiedział, że musiało minąć bardzo dużo czasu. Czuł, jak Swij tka wokół niego fale strachu, oplatające go niczym macki mięsożernej rośliny.

Zaczynał odczuwać chłód, spowolniał, jakby nieznana, arktyczna żmija ukąsiła go w samo serce i wpompowała do ciała lodowaty jad.

Postąpił krok naprzód, tak że stanął obok skalnej płyty, wyciągnął rękę i zacisnął palce wokół zimnej broszy.

— HISZSZ — wyszeptał Swij. — STRZEŻEMY TEGO DLA MISTRZA.

— On nie miałby nic przeciw temu.

Nik zaczął się cofać, zmierzając w stronę kamiennych stopni i starannie omijając leżące na ziemi wyschnięte szczątki ludzi i zwierząt.

Swij wiał się gniewnie wokół niewielkiej komory, niczym upiorny dym. W końcu zwolnił.

— SKARB WRÓCI — rzekł swym osobliwym, potrójnym głosem. — ZAWSZE WRACA.

Nik pobiegł najszybciej jak umiał po kamiennych schodach wewnątrz wzgórza.

W pewnym momencie wydało mu się, że coś go ściga, ale gdy dotarł na szczyt, wpadł do krypty Frobisherów i odetchnął chłodnym powietrzem przedświt, wokół nic się nie poruszało.

Usiadł na ziemi, ściskając w dłoni broszę. Z początku zdawało mu się, że jest zupełnie czarna, potem jednak wzeszło słońce i przekonał się, że kamień osadzony pośrodku czarnego metalu migocze czerwienią. Wielkością dorównywał jajku rudzika i Nik wpatrywał się w niego, zastanawiając się, czy coś porusza się w jego sercu. Posłał swój wzrok i duszę w sam środek szkarłatnego świata. Gdyby był mniejszy, z pewnością zapragnąłby wsunąć go do ust.

Kamień przytrzymywało w miejscu czarne metalowe zapięcie, coś podobnego do szponów, wokół których pełzało coś innego. To coś innego przypominało węza, miało jednak zbyt wiele głów. Nik zastanawiał się, czy tak właśnie w blasku dnia wygląda Swij.

Zbiegł ze zbocza, wykorzystując wszelkie znane skróty przez splątany bluszcz porastający rodzinną kryptę Bartlebych (ze środka dobiegały głosy Bartlebych, gderających i szykujących się do snu) i dalej, przez ogrodzenie, na pole garncarza.

— Liza! Liza! — zawołał, rozglądając się wokół.

— Dobrego dnia, młody niezgrabiaszu — odparła.

Nik nie widział Lizy, lecz pod rozłożystym głógiem ujrzał dodatkowy cień — cień, który zgęstniał i stał się czymś przejrzystym i opalizującym w świetle poranka. Czymś podobnym do dziewczyny. Czymś o szarych oczach.

— Powinnam już smacznie spać — oznajmiła. — Cóż to za pilna sprawa?

— Twój nagrobek — rzekł. — Chciałbym wiedzieć, co powinno na nim być.

— Moje imię. Musi być na nim moje imię, duże E, od Elizabeth, jak u starej królowej, która zmarła, gdy przyszedłam na świat. I wielkie H, od Hempstock. Niczego więcej nie potrzebuję, bo nigdy nie nauczyłam się czytać.

— A daty? — dopytywał się Nik.

— Wilhelm Zły Ciecza, tysiąc sześćdziesiąt sześć — zaśpiewała szeptem porannego wiatru wśród gałęzi głogu. — Duże E, jeśli łaska, i duże H.

— Miałaś jakąś pracę? To znaczy, kiedy nie byłaś czarownicą.

— Robiłam pranie — odparła nieżywa dziewczyna, a potem promienie porannego słońca zalały pole i Nik został sam.

Była dziewiąta rano, pora, o której cały świat śpi. Nik jednak nie zamierzał się kłaść, miał przecież do wypełnienia misję. Skończył już osiem lat i świat poza cmentarzem wcale go nie przerażał.

Ubranie, będzie potrzebował ubrania. Wiedział, że jego zwykły codzienny strój, szary całun, to za mało. Na cmentarz nadawał się świetnie, bo doskonale zlewał się z kamiennymi nagrobkami i cieniami. Jeśli jednak Nik zamierza odważyć się wkroczyć do świata poza murami cmentarza, będzie musiał do niego pasować.

W krypcie pod zrujnowanym kościołem leżało sporo ubrań, lecz nie chciał tam schodzić, nawet za dnia. Był gotów tłumaczyć się panu i pani Owens, ale zdecydowanie nie Silasowi — na samą myśl o owych ciemnych oczach pełnych gniewu albo co gorsza smutku i zawodu, ogarnął go wstyd.

Na samym końcu cmentarza przycupnęła chatka ogrodnika, mały, zielony budynek, pachnący olejem silnikowym, skrywający starą, rdzewiejącą kosiarkę, a także cały zestaw staroświeckich narzędzi. Chatka była pusta od czasu, gdy ostatni ogrodnik przeszedł na emeryturę, jeszcze przed urodzeniem Nika. Obecnie obowiązek utrzymania porządku na cmentarzu wzięła na siebie rada (przysyłająca od maja do września raz w miesiącu kogoś, by skosił trawę) i miejscowi ochotnicy.

Wielka kłódka na drzwiach strzegła zawartości chaty, lecz Nik już dawno odkrył poluzowaną deskę z tyłu. Czasami, gdy wolał być sam, zakradał się do chatki ogrodnika, siadał tam i rozmyślał.

Odkąd pamiętał, na haczyku po wewnętrznej stronie drzwi w chacie wisiała brązowa robocza kurtka, zapomniana bądź porzucona wiele lat temu wraz z parą pokrytych zielonymi plamami ogrodniczych dżinsów. Dżinsy były o wiele za duże na Nika, podwinął jednak nogawki, odsłaniając bosc stopy. Zrobił sobie pasek z brązowego ogrodniczego szpagatu, obwiązując się mocno w talii.

W kącie stały też buty. Zmierzył je, okazały się jednak tak ciężkie od zaschniętego błota i cementu, że ledwie zdołał nimi poruszyć, a kiedy zrobił krok, buty zostały na podłodze chaty. Przecisnął kurtkę przez szparę między deskami, wysliznął się na zewnątrz i założył ją. Uznał, że kiedy podwinie rękawy, wygląda całkiem nieźle.

Miała wielkie kieszenie. Wsadził do nich ręce, czując się jak prawdziwy elegant.

Nik pomaszerował do głównej bramy cmentarza i wyjrzał przez pręty. Ulicą z łoskotem przejechał autobus. Były tam też samochody, hałasy i sklepy. Za jego plecami rozciągał się chłodny, zielony cień, porośnięty drzewami i bluszczem: dom.

Z walącym sercem Nik wyszedł na świat.

\*\*\*

Abanazer Bolger widywał w swoim życiu najróżniejsze typy ludzi. Gdybyście kierowali sklepem takim jak sklep Abanazera, też byście ich widywali. Ów sklep, mieszczący się w labiryncie uliczek starego miasta — trochę antykwariat, trochę rupieciarnia i trochę lombard (nawet sam Abanazer nie był pewien, które „trochę” przeważa) — ściągał najdziwniejszych ludzi. Część z nich chciała kupować, inna sprzedawać. Abanazer Bolger

siedział za ladą, kupując i sprzedając; lepszych interesów dobijał na zapleczu, gdzie przyjmował przedmioty, być może zdobyte w nie całkiem uczciwy sposób, i po cichu puszczał je dalej w obrót. Jego działalność przypominała górę lodową. Na powierzchni było widać tylko mały, zakurzony sklepik. Reszta tkwiła niżej, i to właśnie mu odpowiadało.

Abanazer Bolger nosił grube okulary. Jego twarz stale wykrzywiał grymas lekkiego niesmaku, jakby właśnie poczuł, że dodane do herbaty mleko skwaśniało, i nie mógł się pozbyć ohydneho smaku. Mina ta znakomicie mu służyła, gdy ktoś próbował coś sprzedać.

— Naprawdę — mówił wówczas skrzywiony — to nie jest nic warte. Dam tyle, ile będę mógł, biorąc pod uwagę wartość sentymentalną.

Mogłeś się nazwać szczęściarzem, jeśli Abanazer Bolger zapłacił ci choćby część tego, co chciałeś dostać.

Ze swej natury interes taki, jak należący do Abanazera Bolgera, przyciągał dziwnych ludzi, lecz chłopiec, który zjawił się owego ranka, był jednym z najdziwniejszych, jakich sam Abanazer pamiętał z całego życia poświęconego oszukiwaniu osobliwych ludzi i pozbawianiu ich drogocennych przedmiotów.

Wyglądał na jakieś siedem lat, miał na sobie ubranie dziadka i pachniał jak wnętrze szopy. Był bosi, włosy miał długie, potargane, a do tego niezwykle poważną minę.

Ręce trzymał głęboko w kieszeniach zakurzonej brązowej kurtki, lecz, nawet ich nie widząc, Abanazer wiedział, że w prawej dłoni ściska coś bardzo mocno, jakby chciał to chronić.

— Przepraszam? — zagadnął chłopiec.

— Hej ho, synku — odparł czujnie Abanazer Bolger.

Dzieciaki, pomyślał. Albo coś komuś podwędzą, albo próbują sprzedać swoje zabawki. Tak czy inaczej, zwykle odmawiał. Człowiek kupi kradziony przedmiot od dzieciaka i ledwie się obejrzy, a wsiądzie mu na głowę wściekły dorosły, wrzeszczący, że zapłaciłeś małemu Johnniemu albo Matildzie dziesiątaka za ślubną obrączkę. Więcej kłopotów niż to warte. Dzieciaki.

— Potrzebuję czegoś dla przyjaciółki — oznajmił chłopiec — i pomyślałem, że może kupi pan coś ode mnie.

— Nie kupuję niczego od dzieci — oznajmił stanowczo Abanazer Bolger.

Nik wyjął rękę z kieszeni i położył broszę na wytłuszczonej ladzie. Bolger zerknął na nią, spojrzał jeszcze raz. Wyjął z szufladki jubilerską lupę i przycisnął do oka. Zdjął okulary, zapalił małą lampkę na ladzie i przez lupę uważnie obejrzał broszę.

— Żmijowy kamień — rzekł do siebie, nie do chłopca.

Potem zdjął lupę, z powrotem założył okulary i zmierzył chłopaka kwaśnym, podejrzliwym spojrzeniem.

— Skąd to masz?

— Chce pan to kupić? — odparł pytaniem Nik.

— Ukradłeś ją, z muzeum albo komuś, prawda?

— Nie — odrzekł spokojnie Nik. — Zamierza pan ją kupić czy mam iść poszukać kogoś innego?

W tym momencie kiepski nastrój Abanazera Bolgera zmienił się gwałtownie. Nagle sklepikarz stał się serdeczny, do rany przyłoż. Uśmiechnął się szeroko.

— Przepraszam — powiedział. — Po prostu nie co dzień widuje się takie cacka, a przynajmniej nie w takich sklepach jak mój. Nie poza muzeum. Owszem, z całą pewnością chcę ją kupić. Powiem ci coś: może usiądziemy sobie, napijemy się herbaty, przekąsimy coś słodkiego — mam na zapleczu paczkę ciasteczek czekoladowych — i ustalimy, ile to jest warte? Co ty na to?

Nik ucieszył się, że mężczyzna w końcu zaczął zachowywać się przyjaźniej.

— Potrzebuję tyle, by kupić nagrobek — oznajmił — dla mojej przyjaciółki. No, tak naprawdę nie jest moją przyjaciółką; to po prostu znajoma. Widzi pan, chyba mi pomogła, uleczyła nogę.

Nie zwracając uwagi na gadaninę chłopaka, Abanazer Bolger poprowadził go za ladę i otworzył drzwi do magazynu, pozbawionego okien ciasnego pomieszczenia zapchanego po sufit chwiejnymi stosami kartonowych pudeł pełnych najróżniejszych śmieci. Był tam też sejf, stojący w kącie wielki, stary sejf. A także pudło pełne skrzypiec, kolekcja martwych, wypchanych zwierząt, krzesła bez siedzeń, książki i ryciny.

Tuż przy drzwiach stało małe biurko. Abanazer Bolger odsunął jedyne krzesło i usiadł, nie przejmując się Nikiem. Pogrzebał w szufladzie, w której Nik dostrzegł na wpół opróżnioną butelkę whisky, i wyciągnął niemal pustą paczkę ciasteczek czekoladowych. Poczestował jednym chłopaka. Potem zapalił lampę, raz jeszcze obejrzał broszę, z zachwytem podziwiając czerwone i pomarańczowe wiry w głębi kamienia, a także czarną, metalową oprawę. Z trudem powstrzymał dreszcz na widok wyrazu pysków wężowatych stworów.

— Jest stara — rzekł. „I bezcenna”, dodał w myślach. Pewnie niewiele warta, ale nigdy nie wiadomo.

Nikowi zrzęda mina. Abanazer Bolger postarał się dodać mu otuchy spojrzeniem.

— Nim jednak ci zapłacę — kontynuował — muszę wiedzieć czy nie jest kradziona. Zabrałeś ją z toaletki mamy, zwinąłeś z muzeum? Możesz mi powiedzieć. Nie narobię ci kłopotów, po prostu muszę wiedzieć.

Nik pokręcił głową, powoli przeżuując ciastko.

— No to skąd ją wziąłeś?

Nik milczał.

Abanazer Bolger nie miał ochoty odkładać broszy, lecz popchnął ją po blacie w stronę chłopca.

— Jeśli nie możesz mi powiedzieć, to lepiej ją zabierz. Zaufanie obowiązuje obie strony. Miło się z tobą rozmawiało. Przykro mi, że nie dobiliśmy targu.

Nik poruszył się niespokojnie.

— Znalazłem ją w starym grobie — powiedział w końcu — ale nie mogę powiedzieć gdzie. Nagle umilkł, bo na twarzy Abanazera Bolgera przyjazny uśmiech ustąpił miejsca nieskrywanej chciwości i podnieceniu.

— Jest tam takich więcej?

— Jeśli nie chce pan jej kupić — rzekł Nik — poszukam kogoś innego. Dziękuję za ciastko.

— Śpieszy ci się, co? — rzucił Bolger. — Pewnie czekają na ciebie mama z tatą.

Chłopiec pokręcił głową i natychmiast pożałował, że nie przytaknął.

— Nikt nie czeka. Doskonale. — Abanazer Bolger zacisnął palce wokół broszy. — Teraz powiesz mi dokładnie, gdzie ją znalazłeś, jasne?

— Nie pamiętam — bronił się Nik.

— Już na to za późno. Może zastanowisz się trochę, przypomnisz sobie, skąd to wzięłeś. A potem, kiedy już wszystko przemyślisz, porozmawiamy.

Wstał i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Przekręcił w zamku duży, metalowy klucz. Rozprostował palce, spojrzał na broszkę i uśmiechnął się zachłannie.

Dzwonek nad drzwiami brzęknął na znak, że ktoś wszedł do sklepu. Przyłapany na gorącym uczynku Abanazer uniósł wzrok, nikogo jednak nie ujrzał. Drzwi były lekko uchylone, toteż zatrzasnął je, a potem na wszelki wypadek odwrócił tabliczkę w oknie tak, że głosiła teraz wszem wobec: ZAMKNIĘTE. Zaciągnął zasuwę; nie chciał, by dziś ktokolwiek mu przeszkadzał.

Na zewnątrz jesienne słońce zniknęło za chmurami, światło poszarzało. O brudną witrynę zabębnił lekki deszcz.

Abanazer Bolger podniósł z lady telefon i zaczął wybierać numer palcami, które jedynie leciutko się trzęsły.

— Mam bombę, Tom — oświadczył. — Przychodź jak najszybciej.

\*\*\*

Słyszając szcęk klucza w zamku, Nik zrozumiał, że znalazł się w pułapce.

Pociągnął klamkę, drzwi ani drgnęły. Czuł się strasznie głupio, że dał się zwabić do środka i nie zaufał pierwszemu odruchowi, który nakazywał mu uciec jak najdalej od mężczyzny o kwaśnej minie. Złamał wszystkie zasady cmentarza i wszystko poszło nie tak. Co powie Silas? Albo Owensowie? Czuł, że wpada w panikę, i stłumił ją, zamykając niepokój gdzieś wewnątrz siebie. Wszystko będzie dobrze. Wiedział, że tak.

Oczywiście, najpierw musi się wydostać...

Obejrzał uważnie pokój, w którym go zamknięto — zwykły, niewielki magazyn z biurkiem. Jediną drogą na zewnątrz były drzwi.

Otworzył szufladę biurka, znalazł jednak tylko kilka małych słoiczków z farbą (używaną do odnawiania antyków) i pędzel. Zastanawiał się, czy mógłby chlusnąć farbą w twarz mężczyzny i oślepić go na dość długo, by uciec. Odkręcił wieczko słoika i zanurzył w środku palec.

— Co robisz? — spytał głos tuż obok jego ucha.

— Nic. — Nik pośpiesznie zakręcił słoik i wsadził do jednej z olbrzymich kieszeni kurtki.

Liza Hempstock spojrzała na niego, wyraźnie niezachwycona.

— Skąd się tu wzięłeś? I kim jest ten stary tłuszcioch?

— To jego sklep. Próbowalem coś mu sprzedać.

— Po co?

— Nie twoja broszka.

Pociągnęła nosem.

— No cóż — rzekła — naprawdę powinieneś wrócić na cmentarz.

— Nie mogę. Zamknął mnie tu.

— Jasne, że możesz. Po prostu przeniknij przez ścianę...

Pokręcił głową.

— Nie mogę. Mogę to robić tylko w domu, bo kiedy byłem mały, obdarzyli mnie Swobodą Cmentarza. — Spojrzał na nią. W świetle elektrycznej lampy trudno ją było

dojrzyć, lecz Nik całe życie rozmawiał ze zmarłymi. — A co ty tu robisz? Skąd się wzięłaś poza cmentarzem? Jest dzień, a ty nie jesteś taka jak Silas, powinnaś zostać w grobie.

— Te zasady dotyczą pogrzebanych na cmentarzu, nie tych leżących w niepoświęconej ziemi — odparła. — Nikt mi nie mówi, co mam robić i dokąd chodzić. — Spojrzała gniewnie w stronę drzwi. — Nie podoba mi się ten człowiek — oznajmiła. — Idę sprawdzić, co zamierza.

Zamigotała i Nik znów został sam w pokoju. Gdzieś w dali zagrzmiało.

W zagraconym półmroku Antykwariatu Bolgera Abanazer Bolger podejrzliwie uniósł wzrok, pewien, że ktoś go obserwuje, i natychmiast zrozumiał, że zachowuje się głupio.

— Chłopak siedzi zamknięty na zapleczu — rzekł do siebie. — Drzwi frontowe też są zamknięte.

Polerował właśnie metalową oprawę otaczającą żmijowy kamień, delikatnie i ostrożnie jak archeolog podczas wykopalisk, ścierając czarną patynę i odsłaniając ukryte pod nią lśniące srebro.

Zaczynał żałować, że zadzwonił po Toma Hustingsa, choć Hustings był wielki i świetnie się nadawał do zastraszania ludzi. Żałował też, że po wszystkim będzie musiał sprzedać broszę. Była wyjątkowa. Im bardziej połyskiwała w świetle małej lampki na ladzie, tym bardziej pragnął, by należała do niego i tylko do niego.

Ale w miejscu, z którego pochodziła, było takich więcej.

Chłopak mu powie, chłopak go zaprowadzi. Chłopak...

I nagle coś mu się przypomniało. Niechętnie odłożył broszę i sięgnął do szuflady za ladą, wyciągając puszkę po herbatnikach pełną kopert, wizytówek i kawałków papieru. Pogrzebał w środku i znalazł kartę, tylko odrobinę większą od zwykłej wizytówki. Miała czarne brzeżki. Nie wydrukowano na niej nazwiska ani adresu; pośrodku widniało tylko imię, wypisane ręcznie atramentem, który spłowił i zbrązowił z wiekiem: Jack.

Na odwrocie Abanazer Bolger zanotował ołówkiem swym drobnym, starannym pismem instrukcje dla samego siebie — na wszelki wypadek, choć mało prawdopodobne, by zapomniał, jak ma użyć karty, użyć jej, by wezwać mężczyznę imieniem Jack. Nie, nie wezwać. Zaprosić. Takich jak on się nie wzywa.

Ktoś zastukał do zewnętrznych drzwi sklepu.

Bolger rzucił kartę na ladę i podszedł do wejścia, wyglądając na deszczowy, popołudniowy świat.

— Pośpiesz się! — zawołał Tom Hustings. — Tu jest paskudnie, okropnie. Przemokłem do suchej nitki.

Bolger otworzył drzwi i Tom Hustings bezceremonialnie wtargnął do środka. Jego włosy i płaszcz ociekały wodą.

— O co takiego ważnego chodzi, że nie mogłeś rozmawiać o tym przez telefon? Co?

— O naszą fortunę — odparł z kwaśną miną Abanazer Bolger. — Ni mniej, ni więcej.

Hustings zdjął płaszcz i powiesił na sklepowych drzwiach.

— Czyli co? Coś fajnego spadło z ciężarówki?

— Skarb — odrzekł Abanazer Bolger. — A ściślej dwa skarby.

Podprowadził przyjaciela do lady i pokazał mu broszę, leżącą w kręgu światła lampy.

— Stara, prawda?

— Z czasów pogańskich — rzekł Abanazer. — Nie, jeszcze wcześniejsza, z czasów druidów, przed nadejściem Rzymian. Nazywają to żmijowym kamieniem; widziałem



takie w muzeum, ale nigdy nie oglądałem podobnej oprawy. I tak pięknego kamienia. Musiała należeć do króla. Chłopak, który ją znalazł, mówi, że pochodzi z grobu. Pomyśl tylko, kurhan pełen takich rzeczy!

— Może warto by było załatwić to legalnie — zaproponował z namysłem Hustings.

— Zgłosić znalezienie skarbu. Musieliby nam zapłacić wartość rynkową i zyskalibyśmy sławę. Dar Hustingsa-Bolgera.

— Bolgera-Hustingsa — poprawił odruchowo Abanazer, po czym rzekł: — Znam parę osób dysponujących prawdziwymi pieniędzmi, które zapłaciłyby więcej niż wartość rynkową. Gdyby tylko zobaczyły ją na własne oczy i wzięły do ręki jak ty. — Albowiem Tom Hustings gładził delikatnie broszkę palcami, jakby głaskał kociaka. — I nie zadawałyby żadnych pytań. — Wyciągnął rękę.

Tom Hustings oddał mu z wahaniem zdobycz.

— Mówiłeś o dwóch skarbach — rzekł. — Jaki jest ten drugi?

Abanazer Bolger podniósł kartę o czarnych brzegach i pokazał ją kumpłowi.

— Wiesz, co to jest?

Tamten pokręcił głową.

Abanazer odłożył kartę na ladę.

— Jest pewna osoba, która szuka innej osoby.

— Co z tego?

— Z tego, co słyszałem — rzekł Abanazer Bolger — owa druga osoba to chłopak.

— Wszędzie roi się od chłopaków. Ganiają po całym świecie, mieszają się do wszystkiego, nie znoszą ich. A zatem owa osoba szuka jakiegoś szczególnego chłopaka?

— Ten nasz wydaje się w odpowiednim wieku. Jest ubrany... sam zobaczysz, jak jest ubrany. No i znalazł ten skarb.

To mógłby być on.

— A jeśli to on?

Abanazer Bolger znów sięgnął po kartę, chwycił ją za krawędź i powoli przesunął tam i z powrotem, jakby tuż nad nieistniejącym płomieniem.

— Entliczek pentliczek, świecowy płomyczek...

— ...rach-ciach, krótka mowa, już spada ci głowa — dokończył z namysłem Tom Hustings. — Ale posłuchaj, jeśli wezwiesz tego Jacka, stracisz chłopaka, a jeśli stracisz chłopaka, stracisz też skarb.

I dwaj mężczyźni zaczęli dyskutować, rozważając zalety i wady zgłoszenia obecności chłopca i wydobycia skarbu, który w ich umysłach stał się już wielką podziemną jaskinią pełną drogocенności. I gdy tak debatowali, Abanazer wyciągnął spod lady butelkę tarniówki i nalał obu po hojnej porcji, „by uczcić okazję”.

Lizę wkrótce znudziła ich rozmowa, zataczająca ciągle kręgi niczym wir, prowadząca donikąd, toteż wróciła do magazynu i ujrzała Nika stojącego pośrodku pokoju z zaciśniętymi powiekami i pięściami i spiętą, wykrzywioną twarzą, zupełnie jakby go bolał ząb. Wstrzymywał oddech tak długo, że aż posiniał.

— Co teraz wyprawiasz? — spytała z niesmakiem.

Otworzył oczy i się odprężył.

— Próbuję Zniknąć — wyjaśnił.

Liza prychnęła.

— Spróbuj jeszcze raz.

Posłuchał, tym razem jeszcze dłużej wstrzymując oddech.

— Przestań — upomniała go — bo pęknieś.

Nik odetchnął głęboko i westchnął.

— To nie działa — rzekł. — Może walnę go kamieniem i spróbuję uciec?

W pomieszczeniu nie było kamienia, podniósł zatem przycisk do papierów z kolorowego szkła i zważył w dłoni, zastanawiając się, czy zdołałby cisnąć nim dość mocno, by zatrzymać Abanazera Bolgera.

— Teraz jest ich dwóch — oznajmiła Liza. — I jeśli jeden cię nie dopadnie, to zrobi to drugi. Chcą, żebyś im pokazał, skąd wziąłeś broszę. Zamierzają rozkopać grób i wydobyć skarb. — Nie wspomniała mu o drugiej toczącej się dyskusji ani o karcie z czarnymi brzeżkami. Pokręciła głową. — Czemu w ogóle zrobiłeś coś tak głupiego? Znasz przecież zasady dotyczące opuszczania cmentarza. Sam się prosiłeś o kłopoty.

Nik poczuł się bardzo mały i bardzo głupi.

— Chciałem zdobyć dla ciebie nagrobek — przyznał cicho — i pomyślałem, że będzie kosztował więcej niż mam. Zamierzałem zatem sprzedać mu broszę, by ci go kupić.

Nie odpowiedziała.

— Jesteś zła?

Pokręciła głową.

— To pierwsza miła rzecz, jaką ktokolwiek dla mnie zrobił od pięciuset lat. — Na jej twarzy pojawił się cień chochlikowatego uśmiechu. — Dlaczego miałabym być zła? — Urwała na chwilę. — Co właściwie robisz, kiedy próbujesz Zniknąć?

— To, co mi kazał pan Pennyworth. „Jestem pustym przejściem, jestem pustą dolinką, jestem niczym, oczy mnie nie dostrzegą, spojrzenia prześlizną się po mnie”. Ale to nigdy nie działa.

— Dlatego że jesteś żywy. — Liza pociągnęła nosem. — To się sprawdza u nas, umarłych, bo i tak musimy się mocno starać, żebyście nas zauważyli. U was to nie zadziała.

Krzyżując ręce, chwyciła się za ramiona i zakołysała w przód i w tył, jakby zastanawiała się nad czymś.

— To przeze mnie wplątałeś się w kłopoty — rzekła w końcu. — Podejdz tu, Nikcie Owensie.

Postąpił krok w jej stronę w ciasnym pomieszczeniu, a ona położyła mu na czole zimną dłoń. Miał wrażenie, jakby na skórę opadł mu szal z mokrego jedwabiu.

— Teraz — rzekła — może ja zdołam ci się przysłużyć.

A potem zaczęła coś mamrotać, słowa, których Nik nie rozumiał. W końcu rzekła głośno i wyraźnie:

Bądź dziurą, bądź pyłem, bądź myślą, bądź tchnieniem.

Bądź nocą, ciemnością, umysłem, marzeniem.

I wśliznij się, wsuń się, przeniknij, czym prędzej

Nad, pod, dookoła, w kąt, na bok, pomiędzy.

Coś wielkiego dotknęło go, otarło się o niego od stóp do głów. Nik zadrżał, zjeżyły mu się włosy, na ciele wystąpiła gęsia skórka. Coś się zmieniło.

— Co zrobiłaś? — spytał.

— Tylko trochę ci pomogłam — odparła. — Może i nie żyję, ale nawet po śmierci jestem

czarownicą, a my nie zapominamy.

— Ale...

— Teraz cicho — rzuciła. — Wracają.

W zamku magazynku zagrzechotał klucz.

— No dobra, kolego — rzekł ktoś. Nik nie rozpoznał tego głosu. — Na pewno wszyscy zostaniemy kumplami. — To rzekłszy, Tom Hustings otworzył pchnięciem drzwi i stanął w progu, rozglądając się, wyraźnie zaskoczony. Był wysokim, potężnym mężczyzną o lisiorudych włosach i czerwonym, pijackim nosie. — Hej, Abanazer! Zdawało mi się, że mówileś, że tu jest.

— Bo mówiłem — odparł zza jego pleców Bolger.

— Nie widzę ani śladu.

Obok czerwonej twarzy pojawiła się głowa Bolgera. Zajrzał do pokoju.

— Schował się — rzekł, patrząc wprost w miejsce, gdzie stał Nik. — Ukrywanie się nie ma sensu — dodał głośno. Widzę cię, wychodź.

Obaj mężczyźni weszli do ciasnego pomieszczenia. Nik stał między nimi nieruchomo jak posąg, myśląc o lekcjach pana Pennywortha. Nie reagował, nie poruszał się, pozwalając spojrzeniom mężczyzn prześlizgiwać się po nim.

Nie widzieli go.

— Pożałujesz gorzko, że nie wyszedłeś, kiedy cię wołałem — oznajmił Bolger i zamknął drzwi. — No dobra — powiedział do Toma Hustingsa — ty stań tutaj i przypadkiem go nie wypuść! — Zaczął krążyć po pokoju, zaglądając za różne przedmioty. Pochylił się niezgrabnie, sprawdzając pod biurkiem. Przeszedł tuż obok Nika i otworzył szafę. Widzę cię! — zawołał. — Wychodź!

Liza zachichotała.

— Co to było? — Tom Hustings obrócił się gwałtownie.

— Nic nie słyszałem — odparł Abanazer Bolger.

Liza znów zachichotała, ściągnęła wargi i dmuchnęła. Jej gwizd przeszedł stopniowo w przeciągły świst, zawodzenie odległego wiatru. Światła elektryczne w pomieszczeniu zamrugały, zabrzęczały i zgasły.

— Cholerne korki — mruknął Abanazer Bolger. — Chodź, tylko tracimy czas.

Klucz szczyknął w zamku i Liza z Nikiem zostali sami w pokoju.

\*\*\*

— Uciekł — oznajmił Abanazer Bolger; teraz Nik słyszał go przez drzwi. — To mała klitka, nie miałby się gdzie schować. Z pewnością byśmy go znaleźli.

— Temu Jackowi się to nie spodoba.

— A kto mu powie?

Chwila ciszy.

— Hej, Tomie Hustingsie, gdzie jest brosza?

— Mhm? A, to. Tutaj. Schowałem ją, żeby się nie zgubiła.

— Schowałeś? Do kieszeni? Zabawne miejsce, jeśli chcesz znać moje zdanie. Wygląda raczej na to, że zamierzałeś z nią wyjść. Chciałeś zatrzymać dla siebie moją broszę!

— Twoją broszę, Abanazerze? Twoją? Naszą broszę.

— Naszą, akurat. Nie pamiętam, żebyś tu był, kiedy zabrałem ją chłopakowi.

— Chłopakowi, którego nie potrafiłeś nawet zatrzymać dla tego gościa, Jacka? Wyobrażasz sobie co robi, kiedy się dowie, że miałeś chłopaka, którego szukał, i go wypuściłeś?

— Pewnie to inny chłopak. Na świecie roi się od chłopców. Jakie są szanse, że trafiliśmy akurat na tego, na którym mu zależy? Założę się, że zwiął stąd, gdy tylko odwróciłem się plecami. — Po krótkiej chwili Abanazer Bolger dodał wysokim, piskliwym, żalonym tonem: — Nie martw się o Jacka, Tomie Hustingsie. To z pewnością był inny chłopak. Stary mózg zaczyna szwankować. Spójrz, prawie skończyła się nam tarniówka. Łykniesz porządnej szkockiej? Mam w magazynku whisky. Zaczekaj tu chwilkę.

Drzwi pokoju otwarły się, do środka wszedł Abanazer uzbrojony w laskę i latarkę elektryczną. Minę miał jeszcze kwaśniejszą niż wcześniej.

— Jeżeli wciąż tu jesteś — wyszeptał cierpko — nawet nie myśl o próbie ucieczki. Wezwałem już policję. O tak, to właśnie zrobiłem.

Abanazer pogrzebał chwilę w szufladzie i wyciągnął do połowy opróżnioną butelkę whisky i małą czarną flaszeczkę. Nalał kilka kropel płynu z małej butelki do dużej, po czym schował flaszeczkę do kieszeni.

— To moja brosza i tylko moja — wymamrotał, dodając głośniej: — Już idę, Tom!

Powiódł gniewnym wzrokiem po ciemnym pokoju, patrząc wprost na Nika, i wyszedł, niosąc przed sobą whisky. Zamknął drzwi na klucz.

— No proszę — dobiegł z drugiej strony głos Abanazera Bolgera. — Daj mi szklanke, Tom. Nie ma to jak whisky, rosną od niej włosy na piersi. Powiedz, ile.

Cisza.

— Tanie świństwo. A ty nie pijesz?

— Tarniówka była trochę za mocna; muszę odczekać chwilę, aż uspokoi mi się żołądek... Hej, Tom, co zrobiłeś z moją broszą?

— To niby twoja brosza? Zaraz, zaraz, co ty... Wlałeś mi coś do drinka, ty śmieciu!

— A jeśli nawet? Widziałem po twej minie co planujesz, Tomie Hustingsie. Ty złodzieju! I wtedy zaczęli krzyczeć. Nik usłyszał kilka trzasków i głośnych hurgotów, jakby ktoś wywracał meble...

... i zapadła cisza.

— Teraz, szybko! — rzuciła Liza. — Zabierajmy się stąd.

— Ale drzwi wciąż są zamknięte. — Spojrzał na nią. — Możesz coś z tym zrobić?

— Ja? Nie znam żadnej magii, która uwolniłaby cię z zamkniętego pokoju, chłopcze.

Nik przykucnął i wyrzwał przez dziurkę. Była zatkana, wciąż tkwił w niej klucz.

Zastanawiał się chwilę, po czym uśmiechnął przelotnie i ów uśmiech rozjaśnił mu twarz niczym błysk latarki. Z jednego z pudeł wyciągnął zgniecioną gazetę, rozprostował ją jak najlepiej umiał i przepchnął pod drzwiami, pozostawiając po swej stronie tylko rozek.

— Co ty kombinujesz? — spytała niecierpliwie Liza.

— Potrzebne mi coś jak ołówek, tyle, że cieńsze — rzekł. No, mam. — Wziął z biurka cieniutki pędzelek i wepchnął drewnianą końcówkę w zamek, kołysząc nią i popychając.

Klucz upadł z cichym brzękiem wprost na gazetę. Nik przyciągnął ją szybko z powrotem.

Liza zaśmiała się zachwycona.

— To ci dopiero mądra głowa, młodzieńcze! To ci dopiero mądrość.

Nik wsunął klucz do zamka, przekręcił i pchnięciem otworzył drzwi.

Pośrodku zagraconego antykwariatu leżało dwóch mężczyzn. To, co słyszał, okazało się

istotnie odgłosem wywracanych mebli. W sklepie panował chaos, wokół walały się strzaskane zegary i krzesła, a pomiędzy nimi na podłodze spoczywało masywne cielsko Hustingsa, przygniatające drobniejszą postać Bolgera. Żaden z nich się nie poruszał.

— Czy oni nie żyją? — spytał Nik.

— Niestety, nie — odparła Liza.

Obok mężczyzn na podłodze leżała brosza z błyszczącego srebra, szkarłatno-pomarańczowy, pasiasty kamień przytrzymywany w miejscu metalowymi szponami i głowami węży. Na ich pyskach malował się wyraz tryumfu, głodu i zadowolenia.

Nik schował broszę do kieszeni, gdzie spoczęła obok ciężkiego szklanego przycisku do papierów, pędzelka i słoiczka z farbą.

— To też zabierz — poleciła Liza.

Zerknął w dół i ujrzał kartę o czarnych brzeżkach, z wypisanym po jednej stronie imieniem Jack. Widok ten wstrząsnął nim do głębi. Było w nim coś znajomego, coś, co poruszyło stare wspomnienia, coś niebezpiecznego.

— Nie chcę jej.

— Nie możesz jej im zostawić — upierała się Liza. — Chcieli jej użyć, by zrobić ci krzywdę.

— Nie chcę jej — powtórzył Nik. — Jest zła, spal ją.

— Nie! — wykrzyknęła Liza. — Nie rób tego! Nie wolno ci.

— W takim razie oddam ją Silasowi.

Nik wsunął kartę do koperty, by nie musieć jej dotykać.

Kopertę schował do wewnętrznej kieszeni starej ogrodniczej kurtki, tuż przy sercu.

\*\*\*

Dwieście mil dalej mężczyzna o imieniu Jack obudził się ze snu i zaczął węszyć.

Zszedł na dół.

— Co się stało? — spytała jego babka, mieszając zawartość wielkiego żelaznego garnka na kuchence. — Co znów w ciebie wstąpiło?

— Sam nie wiem — odparł. — Coś się dzieje, coś... ciekawego. — Oblizął wargi. — Pachnie smakowicie. Bardzo smakowicie.

\*\*\*

Błyskawica rozświetliła brukowaną uliczkę.

Nik biegł w deszczu przez stare miasto, cały czas kierując się w górę, w stronę cmentarza. Kiedy siedział zamknięty w magazynku, szary dzień przeistoczył się we wczesny wieczór, toteż nie zdziwiło go, gdy w blasku latarni ujrzał znajomy cień.

Chłopiec się zatrzymał. Tuż przed nim z trzepotem czarnego jak noc aksamitu pojawił się mężczyzna.

Silas splótł ręce na piersi i niecierpliwie ruszył naprzód.

— I co? — spytał.

— Bardzo mi przykro, Silasie — odparł Nik.

— Zawiodłeś mnie, Niku. — Silas pokręcił głową. — Szukam cię, odkąd się zbudziłem. Bardzo nabroileś. Wiesz, że nie wolno ci wychodzić samemu do świata żywych.

— Wiem, tak mi przykro. — Po policzkach chłopca spływały krople deszczu; wyglądały zupełnie jak łzy.

— Najpierw musimy cię zabrać w bezpieczne miejsce. Silas wyciągnął rękę, owinął płaszczem żywe dziecko i Nik poczuł, jak ziemia pod jego stopami znika.

— Silasie? — zagadnął.

Jego opiekun nie odpowiedział.

— Trochę się bałem, ale wiedziałem, że gdyby było źle, zjawisz się i mnie zabierzesz. Poza tym była tam Liza. Bardzo mi pomogła.

— Liza? — zapytał ostrym tonem Silas.

— Czarownica z pola garncarza.

— I twierdzisz, że ci pomogła?

— Tak, zwłaszcza ze Znikaniem. Chyba teraz potrafię już to robić.

Silas mruknął coś pod nosem.

— Opowiesz mi o wszystkim, gdy wrócimy do domu.

Nik milczał, dopóki nie wylądowali obok kościoła. Weszli do środka, do pustej nawy. Deszcz rozpadał się na dobre, krople wpadały do pokrywających ziemię kałuż, rozbryzgując wodę.

Nik wyjął z kieszeni kopertę z kartą o czarnych brzeżkach.

— Uhm — rzekł. — Pomyślałem, że powinienes to wziąć. No, tak naprawdę, Liza pomyślała.

Silas spojrział na kopertę, otworzył ją, wyjął kartę, przyjrzał się jej, odwrócił i przeczytał wypisane ołówkiem instrukcje Abanazera Bolgera, opisujące, jak dokładnie użyć karty.

— Opowiedz mi wszystko — polecił.

I Nik opowiedział, wszystko co pamiętał.

Kiedy skończył, Silas powoli, z namysłem pokręcił głową.

— Bardzo nabroilem? — spytał Nik.

— Nikcie Owensie — odparł Silas — istotnie, bardzo nabroileś. Chyba jednak pozostawię twoim przybranym rodzicom wymierzenie ci kary i nagany, jaką uznają za właściwą. Ja tymczasem muszę się zająć tą sprawą.

Karta o czarnych krawędziach zniknęła pod aksamitnym płaszczem, a potem, jak to mają w zwyczaju tacy jak on, Silas zniknął.

Nik naciągnął kurtkę na głowę i pobiegł niezgrabnie śliskimi ścieżkami na szczyt wzgórza, do krypty Frobisherów, a potem w dół, w dół i jeszcze dalej w dół.

Położył broszę obok kielicha i noża.

— Proszę — rzekł. — Calutka wyczyszczona. Ślicznie wygląda.

— WRACA — odparł Swij przepełnionym satysfakcją dymnym głosem. — ZAWSZE WRACA.

\*\*\*

Noc była bardzo długa, lecz w końcu niemal nastał świt.

Mocno śpiący i dość obolały Nik ostrożnie wyminął niewielki grób panny Liberty Roach (Wolność i Karaluch, pomyślał, co za cudowne połączenie). (To, co wydała, przypadło, to, co rozdała, pozostanie z nią na zawsze. Przechodniu, bądź hojny dla biednych), miejsce ostatniego spoczynku Harrisona Westwooda, Piekarza z Naszej Parafii i jego

zon, Marion i Joan, i znalazł się na polu garncarza. Państwo Owens zmarli kilkaset lat przed tym, nim światli ludzie uznali, że nie należy bić dzieci, i pan Owens z niechęcią zrobił tej nocy to, co uznał za swój obowiązek, toteż Nika nieznośnie piekły pośladki. Mimo wszystko jednak troska na twarzy pani Owens zaboląa bardziej niż jakiegokolwiek lanie.

Dotarł do żelaznego ogrodzenia stanowiącego granicę pola garncarza i prześliznął się między prętami.

— Halo?! — zawołał. Nikt mu nie odpowiedział. Nik nie dostrzegł nawet dodatkowego cienia wśród głogu. — Mam nadzieję, że nie masz przeze mnie kłopotów.

Nic.

Wcześniej odniósł dzinsy do chatki ogrodnika — lepiej się czuł w swym szarym całunie — ale zatrzymał kurtkę. Podobało mu się, że ma kieszenie.

Na ścianie w chatce ogrodnika wisiała niewielka kosa. Zabrał ją i teraz zaatakował energicznie kępy pokrzyw na polu, wycinając je, wyrzucając w powietrze i wyrrywając, aż w końcu na ziemi pozostało jedynie nierówne, kłujące ściernisko.

Z kieszeni wyjął ciężki, szklany przycisk do papierów, mieniący się wszystkimi barwami tęczy, oraz słoiczek z farbą i pędzel.

Zanurzył pędzelek w brązowej farbie i starannie wymalował na powierzchni przycisku litery:

E. H.

A pod nimi słowa:  
nie zapominamy.

Już prawie świtało. Wkrótce powinien iść do łóżka, a nie byłoby zbyt rozsądnie spóźnić się, przynajmniej przez jakiś czas.

Położył przycisk na ziemi w miejscu, gdzie jeszcze niedawno rosły pokrzywy, tam gdzie, jak oceniał, powinna spoczywać jej głowa, i jedynie przez moment przyjrząwszy się swojemu dziełu, wrócił do ogrodzenia i ruszył biegiem w górę zbocza.

— Nieźle — usłyszał dobiegający z pola garncarza rezolutny głos. — Całkiem nieźle. Kiedy się odwrócił, nie ujrzał nikogo.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

### Danse macabre

Coś się działo, Nik był tego pewien, wyczuwał to w ostrym zimowym powietrzu, w blasku gwiazd, wietrze, ciemności. W rytmach długich nocy i krótkich, szybko mijających dni.

Pani Owens wypchnęła go z niewielkiego grobowca Owensów.

— Zmykaj już — rzuciła. — Mam do załatwienia parę spraw.

Nik spojrzał na swą matkę.

— Ale tam jest zimno! — zaprotestował.

— Taką mam nadzieję — rzekła — to przecież zima i tak być powinno. A teraz — dodała,



bardziej do siebie niż do Nika — buty. I spójrz tylko na tę suknię — trzeba ją podszyć. I na miłość boską, wszędzie tu pełno pajęczyn. No, zmykaj — powtórzyła do Nika. — Mam mnóstwo pracy i nie chcę, żebyś plątał mi się pod nogami.

A potem zaśpiewała parę linijek, których Nik nigdy wcześniej nie słyszał.

Wróg dziś wzywa przyjaciela,  
Chodź zatańczyć Makabrela.

— Co to? — spytał Nik, najwyraźniej jednak nie było to właściwe pytanie, bo twarz pani Owens pociemniała niczym gradowa chmura i Nik wybiegł z grobowca, nim matka zdążyła ostrzej wyrazić swe niezadowolenie.

Na cmentarzu było zimno, zimno i ciemno, gwiazdy już zaszły. Na zarośniętej bluszczem Egipskiej Ścieżce Nik minął Mateczkę Slaughter, która, mrużąc oczy, przyglądała się zieleni.

— Masz oczy młodsze od moich, młodzieńcze — rzekła. Widzisz kwiaty?

— Kwiaty? W zimie?

— Nie patrz na mnie z taką miną, młodzieńcze. Wszystko kwitnie w swoim czasie, pączkuje i kwitnie, rozkwita i więdnie. Wszystko w swoim czasie. — Mocniej opatulila się płaszczem i czepkiem i powiedziała.

Czas żałoby, czas wesela,  
i czas tańca Makabrela.

— Co, chłopcze?

— Sam nie wiem — rzekł Nikt. — Co to jest Makabrel?

Lecz Mateczka Slaughter wniknęła w kłęb bluszczu i zniknęła mu z oczu.

— Jakie to dziwne — powiedział Nik.

Szukając ciepła i towarzystwa, skierował się do tłoczego mauzoleum Bartlebych. Lecz rodzina Bartlebych — całe siedem pokoleń — tej nocy nie miała dla niego czasu, wszyscy sprząтали i porządkowali, od najstarszego (zm. 1831), do najmłodszego (zm. 1690). Fortynbras Bartleby, dziesięcioletni w chwili śmierci (na suchoty, rzekł kiedyś do Nika, który przez kilka lat błędnie uważał, że Fortynbras usechł na śmierć niczym podróżni na pustyni, i z olbrzymim zawodem odkrył, że tak naprawdę chodziło o chorobę), przeprosił go pośpiesznie.

— Nie możemy się dziś bawić, mości Niku, bo już niedługo nadejdzie jutrzejsza noc. A jak często można rzec coś takiego?

— Każdej nocy — odparł Nik. — Zawsze nadejdzie jutrzejsza noc.

— Nie ta noc — rzekł Fortynbras. — Na świętego Dygdy, co go nie ma nigdy. Raz na ruski rok.

— To nie jest noc Guya Fawkesa — zastanawiał się głośno Nik. — Ani święto duchów. To nie Boże Narodzenie ani Nowy Rok.

Fortynbras odpowiedział wielkim uśmiechem, który rozjaśnił jego krągłą, piegowatą twarzą.

— To żadna z nich — rzekł. — Ta jest wyjątkowa.

— Jak ją nazywają? — spytał Nik. — Co się stanie jutro?

— To najlepszy dzień — powiedział Fortynbras.

Nik był pewien, że chciał coś dodać, lecz jego babcia Luisa Bartleby (mająca zaledwie dwadzieścia lat) zawołała go do siebie i szepnęła mu coś ostro do ucha.

— Nic — mruknął Fortynbras, po czym dodał, zwracając się do Nika: — Przepraszam, muszę wracać do pracy. — Wziął szmatę i zaczął polerować nią ściankę zakurzonej trumny. Lalala ump — śpiewał. — Lalala ump. — Przy każdym „ump” podskakiwał radośnie ze swą szmatą.

— Nie zaśpiewasz tej piosenki?

— Jakiej piosenki?

— Tej, którą śpiewają wszyscy.

— Nie mam na to czasu — rzekł Fortynbras. — To w końcu jutro, już jutro.

— Nie ma czasu — zgodziła się Luisa, która zmarła w połogu, rodząc bliźnięta. — Wracaj do swych zajęć.

I czystym, słodkim głosem zanuciła:

Kto żyw, martwy, kto umiera,

Chodźcie tańczyć Makabrela.

Nik pomaszerował do zapadającego się małego kościółka, wniknął pomiędzy kamienie i do krypty, gdzie usiadł, czekając na powrót Silasa. Owszem, było mu zimno, ale to nie przeszkadzało Nikowi, nie tak naprawdę: cmentarz go przyjął, a umarli nie zważają na chłód.

Jego opiekun powrócił nad ranem. W ręku niósł dużą foliową torbę.

— Co tam masz?

— Ubrania. Dla ciebie. Przymierz.

Silas wyciągnął z torby szary sweter koloru całunu Nika, parę dżinsów, bieliznę i buty — jasnozielone adidas.

— Po co mi one?

— To znaczy, oprócz noszenia? Po pierwsze, uważam, że jesteś już dość duży — ile masz lat, dziesięć? — a normalni żywi ludzie noszą takie stroje. Ty też będziesz musiał — pewnego dnia, może więc już teraz wyrobisz w sobie nawyk. Poza tym mogą być niezłym kamuflażem.

— Co to jest kamuflaż?

— Kiedy coś wygląda jak coś innego do tego stopnia, że patrzący nań ludzie nie wiedzą, co właściwie widzą.

— Ach. Rozumiem. Chyba.

Nik włożył ubranie. Miał spore kłopoty ze sznurowadłami i Silas musiał nauczyć go ich wiązania. Nikowi wydawało się to niezwykle skomplikowane i dopiero po kilkunastu próbach wiązania i rozwiązywania sznurówek Silas uznał wynik za zadowalający. Dopiero wtedy Nik odważył się zadać mu pytanie.

— Silasie. Co to jest Makabrel?

Brwi Silasa uniosły się, jego głowa przekrzywiła na bok.

— Gdzie o tym słyszałeś?

— Wszyscy na cmentarzu o tym mówią. To chyba coś, co nastąpi jutro w nocy. Co to jest Makabrel?

— To taniec — wyjaśnił Silas.

— Wszyscy tańczą Makabrela — zacytował Nik. — A ty go tańczyłeś? Co to za taniec?

Opiekun spojrział na niego oczami przypominającymi czarne, bezdenne jeziora.

— Nie wiem. Wiem wiele rzeczy, Niku, bo krążę po tej ziemi co noc od bardzo, bardzo dawna. Ale nie wiem, jak to jest tańczyć Makabrela. By wziąć w nim udział, musisz być żywy albo martwy: a ja nie jestem ani taki, ani taki.

Nik zadrżał. Miał ochotę objąć opiekuna, przytulić i powiedzieć, że nigdy go nie opuści, ale coś takiego byłoby nie do pomyślenia. Równie dobrze mógłby objąć promień księżycy. Nie dlatego, że Silas był niematerialny, lecz ponieważ to nie byłoby właściwe. Istnieli ludzie, których można objąć, i istniał też Silas.

Opiekun przyjrzał się z namysłem nowemu strojowi chłopca.

— Wystarczy — rzekł. — Teraz wyglądasz, jakbyś całe życie spędził poza cmentarzem.

Nik uśmiechnął się z dumą. Potem jednak uśmiech zniknął mu z twarzy i chłopiec znów spoważniał.

— Ale ty zawsze tutaj będziesz, Silasie, prawda? A ja nie będę musiał odejść, jeśli nie zechcę?

— Wszystko ma swoją porę — odparł Silas i nie odezwał się więcej tej nocy.

\*\*\*

Następnego dnia Nik obudził się wcześniej. Słońce niczym srebrna moneta jaśniało wysoko na szarym zimowym niebie. Aż nadto łatwo było przespać cały jasny dzień i przeżyć całą zimę niczym jedną długą noc, nie oglądając słońca. Toteż każdego dnia przed zaśnięciem przyrzekał sobie, że obudzi się za dnia i opuści przytulny grobowiec Owensów.

W powietrzu unosił się dziwny zapach, ostry i kwiatowy. Nik podążył za nim w górę zbocza, aż do Egipskiej Ścieżki, gdzie rósł zimowy bluszcz, zasłaniając wiecznie zielonym gąszczem imitacje egipskich murów, posągów i hieroglifów.

W tym miejscu woń była najsilniejsza. Przez moment Nik zastanawiał się, czy może spadł śnieg, bo pośród zieleni dostrzegł plamy bieli. Przyjrzał się bliżej jednej z nich: składały się na nią drobne kwiatki o pięciu płatkach. Właśnie pochylił głowę, by je powąchać, gdy usłyszał zbliżające się kroki.

Nik zniknął pośród bluszczy i patrzył. Trzej mężczyźni i kobieta, wszyscy żywi, zjawili się u wylotu Egipskiej Ścieżki. Kobieta miała na szyi ozdobny łańcuch.

— To tutaj?

— Tak, pani Caraway — odparł jeden z mężczyzn. Był pulchny, siwowłosy i zdyszany. Podobnie jak pozostali dźwigał w dłoni duży, pusty wiklinowy kosz.

Kobieta sprawiała wrażenie jednocześnie zaskoczonej i dezorientowanej.

— No cóż, skoro pan tak twierdzi. Ale nie mogę rzec, że cokolwiek rozumiem. — Przyjrzała się kwiatom. — Co mam teraz zrobić?

Najniższy z mężczyzn sięgnął do kosza i wyjął parę zaśniedziałych srebrnych nożyc.

— Nożyce, pani burmistrz — powiedział.

Odebrała mu je i zaczęła ścinać pęki kwiatów. Wraz z mężczyznami napełniali nimi kosze.

Po jakimś czasie pani Caraway albo pani burmistrz powiedziała z irytacją:

— To absolutnie śmieszne.

— To tradycja — odparł tłusciuch.

— Absolutnie śmieszna — powtórzyła pani Caraway, nadal jednak ścinała białe kwiaty i wrzucała je do wiklinowych koszy. Gdy napełnili pierwszy, spytała: — Nie wystarczy?

— Musimy zapełnić wszystkie kosze — rzekł najniższy z mężczyzn. — A potem rozdać po kwiecie każdemu mieszkańcowi starego miasta.

— Co to niby za tradycja? — rzuciła pani Caraway. — Pytałam mojego poprzednika burmistrza i odparł, że nigdy o niej nie słyszał. — A potem dodała: — Nie macie wrażenia, że ktoś nas obserwuje?

— Co? — odezwał się dotąd milczący trzeci mężczyzna. Miał brodę i turban. — Chce pani powiedzieć: duchy? Nie wierzę w duchy.

— Nie duchy — zaprotestowała pani Caraway. — Po prostu mam wrażenie, że ktoś na nas patrzy.

Nik zwalczył ochotę wciśnięcia się głębiej w gąszcz bluszczu.

— Nic dziwnego, że poprzedni burmistrz nie wiedział o tej tradycji — oznajmił tłusty mężczyzna, którego kosz był już niemal pełen. — Zimowe kwiaty rozkwitły po raz pierwszy od osiemdziesięciu lat.

Mężczyzna z brodą i turbanem, który nie wierzył w duchy, rozglądał się nerwowo.

— Każdy w starym mieście dostaje kwiat — dodał najniższy. — Mężczyzna, kobieta i dziecko. — A potem wyrecytował powoli, jakby próbował sobie przypomnieć coś, czego nauczył się bardzo dawno temu: — Kto żyw, martwy, kto umiera, wszyscy tańczą Makabrela.

Pani Caraway pociągnęła nosem.

— Bajdy i bzdury — mruknęła, nadal ścinając kwiaty.

\*\*\*

Tego popołudnia zmierzch zapadł wcześniej i o wpół do piątej światem zawładnęła noc. Nik krążył ścieżkami cmentarza, szukając kogoś, z kim mógłby pogadać, ale nikogo nie dostrzegł. Odwiedził pole garncarza, sprawdzając, czy jest tam Liza Hempstock, lecz nie zastał nikogo. Wrócił do grobowca Owensów i odkrył, że także stoi pusty. Jego ojciec i pani Owens zniknęli.

Wówczas ogarnęła go panika, z początku jedynie kielkująca. W swym dziesięcioletnim życiu Nik po raz pierwszy czuł się opuszczony w miejscu, które zawsze uważał za swój dom. Pobiegł w dół zbocza do starego kościoła, gdzie czekał na Silasa.

Silas się nie zjawił.

Może się minęliśmy? — pomyślał Nik, ale sam w to nie uwierzył. Wrócił na wzgórze, na szczyt i się rozejrzał. Gwiazdy jaśniały na mroźnym niebie, w dole rozciągała się misterna siatka światła miasta, latarni, reflektorów samochodowych i innych ruchomych obiektów. Powoli ruszył na dół, aż do bramy cmentarza. Tam przystanął.

Słyszał muzykę.

Nik słuchał różnej muzyki: słodkich dzwonek furgonetki z lodami, piosenek puszcanych w radiach robotników, melodii, które Claretty Jake wygrywał na zakurzonych skrzypkach. Nigdy jednak nie słyszał niczego podobnego: była to seria niskich crescendo, niczym muzyka na początku czegoś, może preludium albo uwertura.

Prześliznął się przez zamkniętą bramę i pomaszerował w dół, do starego miasta. Po drodze minął panią burmistrz, stojącą na rogu. Na jego oczach wyciągnęła rękę i przypięła mały biały kwiatek do kłapy przechodzącego biznesmena.

— Nie daję datków na cele dobroczynne — oznajmił mężczyzna. — Zajmuje się tym moje biuro.

— To nie akcja dobroczynna — odparła pani Caraway. To miejscowa tradycja.

— Ach. — Mężczyzna wypiął pierś, demonstrując światu mały biały kwiatek, i odszedł, dumny jak paw.

Za nim pojawiła się młoda kobieta, pchająca dziecinnie wózek.

— O co chodzi? — spytała podejrzliwie, gdy zbliżyła się pani burmistrz.

— Jeden dla ciebie, jeden dla małego — odparła burmistrz.

Przypięła kwiatek do zimowego płaszcza młodej kobiety, po czym taśmą przykleiła drugi do kurteczki dziecka.

— Ale po co? — spytała kobieta.

— To zwyczaj ze starego miasta — odparła ogólnikowo pani burmistrz. — Jakaś tradycja. Nik poszedł dalej. Wszędzie wokół widział ludzi noszących białe kwiaty. Na kolejnych rogach minął mężczyzn, którzy towarzyszyli pani burmistrz na cmentarzu; każdy trzymał w dłoni kosz i rozdawał kwiaty. Nie wszyscy je brali, ale większość owszem.

Muzyka wciąż grała, gdzieś na skraju świadomości, poważna i niezwykła. Nik przekrzywił głowę, próbując zlokalizować jej źródło. Bez powodzenia. Dźwięczała w powietrzu dokoła, w łopocie flag i markiz, szumie odległych samochodów, postukiwaniu obcasów na suchych płytach chodnika...

I obserwując ludzi zmierzających do domów, zauważył coś niezwykłego.

Maszerowali w rytm muzyki.

Mężczyźni z turbanem i brodą niemal skończyły się kwiaty. Nik podszedł do niego.

— Przepraszam — rzekł.

Mężczyzna wzdrygnął się.

— Nie zauważyłem cię — rzucił oskarżycielsko.

— Przepraszam — odparł Nik. — Czy ja też mógłbym dostać kwiatek?

Mężczyzna w turbanie przyjrzał mu się podejrzliwie.

— Mieszkasz tutaj? — spytał.

— O tak — odparł Nik.

Tamten wręczył mu biały kwiatek. Nik wziął go, po czym rzucił „Au!”, bo coś ukłuło go w podstawę kciuka.

— Przypnij go do płaszcza — polecił mężczyzna. — Uważaj na szpilkę.

Na kciuku Nika pojawiła się szkarłatna kropla, wyssał ją. Tymczasem mężczyzna przypięł kwiatek do jego swetra.

— Nigdy cię tu nie widziałem — powiedział.

— Ja tu mieszkam, naprawdę — odparł Nik. — Po co te kwiaty?

— To taka tradycja ze starego miasta — wyjaśnił mężczyzna — nim nowe rozrosło się wokół niego. Kiedy zimowe kwiaty rozkwitają na cmentarzu na wzgórzu, ścina się je i rozdaje wszystkim, mężczyznom i kobietom, starym i młodym, bogatym i biednym.

Muzyka dźwięczała głośniej. Nik zastanawiał się, czy słyszy ją lepiej, bo nosi kwiat — teraz wyczuwał też rytm, niczym granie odległych bębnów i fletów, nieśmiałą melodię, która sprawiała, że miał ochotę uderzać obcasami i maszerować w rytm.

Nik nigdy dotąd nie przechadzał się swobodnie po świecie zewnętrznym.

Zapomniał o zakazie opuszczania cmentarza. Zapomniał, że dziś wieczór na cmentarzu zniknęli wszyscy zmarli. Myślał jedynie o starym mieście i maszerował przez nie aż do ogrodów publicznych przed starym ratuszem. (Obecnie mieściło się tam muzeum i ośrodek informacji turystycznej; sam ratusz przeniósł się do znacznie okazalszego, choć nowszego i nudniejszego biurowca w innej części miasta).

Wokół krążyli już ludzie, spacerujący po ogrodach obecnie, zimą, pozostały w nich jedynie duże, porośnięte trawą pola, na których tu i tam można się natknąć na schodki, krzak czy posąg.

Zafascynowany Nik słuchał muzyki. Na plac napływali kolejni ludzie, pojedynczo i dwójkami, samotni i całe rodziny. Nigdy nie widział tak wielu żywych naraz, musiało ich być setki i wszyscy oddychali, każdy z nich równie żywy jak on sam, każdy z białym kwiatem.

Czy to właśnie robią żywi, zastanawiał się Nik. Wiedział jednak, że nie.

Czymkolwiek to było, stanowiło wyjątek.

Młoda kobieta, którą widział wcześniej pchającą przed sobą wózek, stała obok niego, trzymając w objęciach dziecko i kołysząc głową w rytm muzyki.

— Jak długo będzie grać ta muzyka? — spytał Nik.

Ona jednak nie odpowiedziała, tylko cały czas się uśmiechała i kołysała. Nikowi nie wydawało się, by zazwyczaj zbyt wiele się uśmiechała. W pewnej chwili rzekła:

— Tam do licha, czuję się jak w Boże Narodzenie. — Nie kierowała tych słów do nikogo konkretnie. Zachowywała się, jakby śniła, jakby oglądała samą siebie z zewnątrz. Potem nie do końca obecnym tonem dodała: — Przypomina mi siostrę mojej babci, ciocie Clare. W noc przed Gwiazdką chodziliśmy do niej po śmierci babci, a ona grała na starym pianinie i czasami śpiewała. A my jedliśmy czekoladki i orzechy. Lecz ta muzyka jest jak wszystkie jej piosenki zagrane jednocześnie.

Dziecko chyba spało, oparłszy główkę o jej ramię. Lecz nawet ono kołysało łagodnie dłońmi w rytm muzyki.

A potem muzyka ucichła i na placu zapadła cisza, stłumiona, niczym cisza towarzysząca padającemu śniegowi. Noc i ciała na placu pochłonęły wszelkie dźwięki, nikt nie tupał ani nie szurał, wszyscy ledwie oddychali.

Nieopodal zaczął bić zegar: dwanaście uderzeń, północ.

I wtedy przyszli.

Zeszli ze wzgórza w powolnej procesji, stąpając uroczyście, wszyscy razem.

Podążali dziesiątkami, wypełniając całą drogę. Nik znał ich wszystkich, czy niemal wszystkich. W pierwszym szeregu rozpoznał Mateczkę Slaughter i Josiaha Worthingtona oraz starego hrabiego, który został ranny w krucjatach i wrócił do domu, by umrzeć, i doktora Trefusisa. Wszyscy wyglądali poważnie i uroczyście.

Zebrani na placu ludzie sapnęli na widok pochodu, ktoś się rozplakał, powtarzając: „Panie, miej litość, to Dzień Sądu, o tak, Dzień Sądu”. Ale większość po prostu się gapiała, jakby to wszystko działo się we śnie.

Martwi szli dalej, szereg za szeregiem. W końcu dotarli na plac.

Josiah Worthington zatrzymał się przed panią Caraway, panią burmistrz. Wyciągnął rękę i rzekł tak głośno, by usłyszał go cały plac: Noc ta dziś mnie tak ośmiela — pójdźmy tańczyć Makabrela.

Pani Caraway zawahała się, zerknęła na stojącego obok mężczyznę, jakby czekała na wskazówki. Mężczyzna miał na sobie szlafrok i kapcie, do jednej z klap szlafroka był przypięty biały kwiat. Uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Oczywiście.

Pani Caraway wyciągnęła rękę. Gdy jej palce zetknęły się z palcami Josiaha Worthingtona, muzyka znów zabrzmiała, i jeśli melodia słyszana wcześniej przez Nika była preludium, to ta już nie. To była muzyka, za którą tu przyszedł. Melodia porywająca do tańca stopy i palce.

Brali się za ręce — żywi i umarli — i tańczyli. Nik ujrzał Mateczkę Slaughter tańczącą z mężczyzną w turbanie, biznesmen tańczył z Luisą Bartleby. Pani Owens uśmiechnęła się do Nika, ujmując dłoń starego sprzedawcy gazet, a pan Owens chwycił za rękę małą dziewczynkę, bez cienia wzgardy, ona zaś zareagowała, jakby całe życie czekała na to, by z nim zatańczyć. Potem Nik przestał patrzeć, bo ktoś chwycił go za rękę i zaczął się taniec.

Liza Hempstock uśmiechnęła się szeroko.

— To bardzo miłe — rzekła, gdy zaczęli stawiać razem taneczne kroki.

A potem zaśpiewała na melodię muzyki:

Zwrot i krok, i zapach ziela,  
Tak tańczymy Makabrela.

Muzyka wypełniała głowę i piersi Nika gwałtowną radością, jego stopy poruszały się, jakby znały wszystkie kroki. Znały je od zawsze.

Tańczył z Lizą Hempstock, a potem odkrył, że za rękę chwyta go Fortenbras Bartleby, i zatańczył z Fortenbrasem, mijając szeregi tańczących, szeregi, które się rozstępowały, gdy się zbliżali.

Nik ujrzał Abanazera Bulgera tańczącego z panną Borrows, jego dawną nauczycielką. Widział żywych tańczących z umarłymi. A potem pary zamieniły się w długie szeregi ludzi stąpających razem, kroczących i unoszących nogi (Lalala ump! Lalala upm!) we wspólnym tańcu, który już tysiąc lat wcześniej był stary.

Teraz tańczył obok Lizy Hempstock.

— Skąd się bierze ta muzyka? — spytał.

Wzruszyła ramionami.

— Kto sprawia to wszystko?

— Zawsze się tak dzieje — odparła. — Żywi nie pamiętają, ale my tak... Spójrz! — zawołała podekscytowana.

Nik nigdy wcześniej nie widział prawdziwego konia, jedynie na kartkach książek obrazkowych. Lecz siwek zbliżający się ku nim ulicą zupełnie nie przypominał wierzchowców, jakie chłopiec sobie wyobrażał. Był znacznie większy, miał poważny, długi pysk. Na nagim grzbiecie konia jechała kobieta odziana w długą szarą suknię, która zwisała i migotała w promieniach grudniowego księżyca niczym oblepione rosą pajęczyny.

Kobieta dotarła na plac. Koń się zatrzymał, a jego pasażerka zsunęła się zręcznie i stanęła na ziemi naprzeciw nich wszystkich, żywych i martwych razem.

Dygnęła.

A oni jak jeden mąż skłonili się bądź dygnęli i taniec znów się zaczął.

Szara Pani w noc wesela  
dziś prowadzi Makabrela.

— zaśpiewała Liza Hempstock, a potem taniec porwał ją daleko od Nika. Tupali w rytm muzyki, stąpali, unosili nogi i kopali, a Pani tańczyła z nimi, z entuzjazmem stąpając, tupiąc i kopiąc. Nawet siwy koń kołysał głową i dreptał w rytm.

Muzyka przyspieszyła, tancerze także. Nik ciężko chwycił powietrze, nie mógł sobie jednak wyobrazić, by taniec miał kiedyś ustać: makabrel, taniec żywych i umarłych, taniec ze śmiercią. Uśmiechał się, podobnie jak inni.

I gdy tak wirował i tupał w ogrodach publicznych, od czasu do czasu kątem oka dostrzegł damę w szarej sukni.

Wszyscy, pomyślał, wszyscy tańczą! I kiedy tylko ta myśl uformowała mu się w głowie, zrozumiał, że się myli. Pośród cieni obok starego ratusza stał mężczyzna odziany w czerń. Nie tańczył. Przyglądał im się.

Nik zastanawiał się, czy to, co ujrzał na twarzy Silasa, to tęsknota, smutek, czy coś innego. Nie potrafił rozpoznać nastroju opiekuna.

— Silas! — zawołał, mając nadzieję, że opiekun przyjdzie do nich, dołączy do tańca, będzie się bawił wraz z innymi.

Jednakże na dźwięk swego imienia Silas cofnął się pomiędzy cienie i zniknął mu z oczu.

— Ostatni taniec! — zawołał ktoś i muzyka zwolniła, wygrywając poważną, powolną, ostateczną melodię.

Każdy z tancerzy wybrał sobie partnera, żywi umarłych, umarli żywych. Nik wyciągnął rękę i odkrył, że dotyka palców i spogląda w szare oczy Pani w pajęczynowej sukni.

Uśmiechnęła się do niego.

— Witaj, Nik — rzekła.

— Witaj — odparł, tańcząc z nią. — Nie wiem, jak masz na imię.

— Imiona nie są takie ważne.

— Strasznie mi się podoba twój koń, jest taki wielki! Nigdy nie sądziłem, że konie mogą być takie wielkie.

— Jest dość łagodny, by ponieść najpotężniejszych z was na swym szerokim grzbiecie, i dość silny, by zabrać dodatkowo najmniejszych.

— Mógłbym się na nim przejechać? — spytał Nik.

— Pewnego dnia — odparła, a jej pajęczynowa spódnica zamigotała. — Pewnego dnia każdy to robi.

— Obiecujesz?

— Obiecuję.

Gdy to rzekła, taniec dobiegł końca. Nik skłonił się nisko swej partnerce, a potem, dopiero wtedy, poczuł ogromne zmęczenie. Czuł się, jakby przetańczył wiele godzin, bolały go wszystkie mięśnie. Głośno chwycił powietrze.

Zegar w pobliżu zaczął wybijać godzinę, Nik liczył. Dwanaście uderzeń.

Zastanawiał się, czy tańczyli dwanaście godzin, czy może dwadzieścia cztery, czy też taniec ów w ogóle nic nie trwał.

Wyprostował się i rozejrzał. Martwi zniknęli, podobnie Szara Pani. Pozostali tylko żywi,



którzy właśnie rozchodzili się do domów — zaspani, opuszczali rynek, sztywno, jak ludzie wyrwani z głębokiego snu, nie do końca przebudzeni.

Cały rynek był zasypany małymi białymi kwiatami. Wyglądał, jakby padał śnieg.

\*\*\*

Następnego dnia Nik obudził się w grobowcu Owensów. Czuł się, jakby poznał wielką tajemnicę, zrobił coś ważnego i nie mógł się doczekać rozmowy.

— Wczorajsza noc była niesamowita! — rzekł, gdy tylko pani Owens wstała.

— Ach tak? — spytała pani Owens.

— Tańczyliśmy — rzekł Nik. — My wszyscy. W starym mieście.

— Czyżby? — Pani Owens prychnęła. — Tańczyliśmy, tak? Wiesz przecież, że nie wolno ci chodzić do miasta.

Nik wiedział doskonale, że nie warto rozmawiać z matką, gdy jest w takim humorze. Wymknął się z grobu. Na dworze zapadał zmierzch.

Chłopiec ruszył na wzgórze, do czarnego obelisku i nagrobka Josiaha Worthingtona w naturalnym amfiteatrze. Patrzył stamtąd na stare miasto i otaczającą je feerię świateł.

Obok niego stał Josiah Worthington.

— Pan rozpoczął taniec — powiedział Nik. — Z panią burmistrz. Tańczył pan z nią.

— Josiah Worthington patrzył na niego bez słowa.

— Naprawdę — upierał się Nik.

— Martwi i żywi nie mieszają się ze sobą, chłopcze — rzekł jego towarzysz. — Nie jesteśmy już częścią ich świata ani oni nie są częścią naszego. Gdyby się zdarzyło, że zatańczylibyśmy z nimi danse macabre, taniec śmierci, nie rozmawialibyśmy o tym, a już z całą pewnością nie z żywymi.

— Ale ja jestem jednym z was.

— Jeszcze nie, chłopcze, nie, przez całe życie.

— I Nik pojął, czemu tańczył jako jeden z żywych, a nie członek grupy, która zeszła ze wzgórza.

— Rozumiem — mruknął. — Chyba.

Pobiegł na dół, tak szybko, że o mało nie potknął się o Digby'ego Poole'a (1785-1860. To, co mnie spotkało, spotka i ciebie), jedynie najwyższym wysiłkiem woli utrzymał równowagę i wpadł do starego kościoła, przerażony, że minie się z Silasem, że opiekun zdąży już odejść.

Usiadł na ławce. Obok niego coś się poruszyło, choć nie usłyszał żadnego dźwięku.

— Dzień dobry, Niku — powiedział opiekun.

— Byłeś tam zeszłej nocy — rzucił Nik. — Nie próbuj mi wmawiać, że nie ani nic takiego, bo wiem, że tam byłeś.

— Tak — odparł Silas.

— Tańczyłem z nią. Z Panią na siwym koniu.

— Naprawdę?

— Widziałeś! Patrzyłeś na nas! Na żywych i umarłych! Tańczyliśmy. Dlaczego nikt nie chce o tym rozmawiać?

— Bo istnieją pewne tajemnice. Bo istnieją rzeczy, których nie pamiętają.

— Ale ty o tym mówisz. Rozmawiamy o Makabrelu.

— Ja go nie tańczyłem — przypomniał Silas.

— Ale widziałeś.

— Nie wiem, co widziałem — odparł opiekun.

— Tańczyłem z Panią, Silasie! — wykrzyknął Nik.

Na twarzy jego opiekuna na moment odbił się tak przejmujący ból, że Nik przestraszył się niczym dziecko, które zbudziło śpiącą panterę.

— To już koniec tej rozmowy — rzekł jedynie Silas.

Nik już miał coś powiedzieć — na usta cisnęły mu się setki słów, może nawet niemądrych — gdy coś odciągnęło jego uwagę: szelest, cichy i delikatny i chłodne muśnięcie na twarzy.

Wszelkie myśli o tańcu zniknęły, strach zastąpiły zachwyt i radość. Po raz trzeci w życiu widział coś podobnego.

— Popatrz, Silasie, pada śnieg! — Jego pierś i głowę przeppełniła radość, nie pozostawiając miejsca na nic innego. Naprawdę pada śnieg.

## INTERLUDIUM

### Synod

Mała tabliczka w holu hotelowym informowała wszem wobec, że Sala Waszyngtona jest tego wieczoru zamknięta, bo odbywa się w niej prywatne przyjęcie, lecz nie znalazła się na niej informacja, o jakie przyjęcie chodzi. Prawdę mówiąc, gdybyście mieli okazję przyjrzeć się gościom, zebranych tego wieczoru w Sali Waszyngtona, z pewnością także nie zorientowałibyście się, co się dzieje, choć już na pierwszy rzut oka dostrzeglibyście, że nie ma tam żadnych kobiet. Zebrani, wyłącznie mężczyźni, siedzieli przy zastawionych stołach, właśnie kończyli deser.

Była ich jakaś setka, bez wyjątku odzianych w uroczyste czarne garnitury. Lecz tylko stroje stanowiły wspólny, łączący ich element. Niektórzy mieli siwe włosy, inni czarne, jasne, rude bądź w ogóle żadnych. Przyjazne twarze sąsiadowały z nieprzyjawnymi, pogodne z nadąsanymi, szczerze z zaciętymi, brutalne z wrażliwymi.

Większość miała różową skórę, ale byli też czarno — i brązowoskórzy, Europejczycy, Afrykanie, Hindusi, Chińczycy, Południowi Amerykanie, Filipińczycy, Amerykanie.

Między sobą i z kelnerami rozmawiali po angielsku, lecz ich akcenty były tak samo zróżnicowane, jak sami dżentelmeni. Przybyli z całej Europy i całego świata.

Mężczyźni w czarnych garniturach siedzieli przy stołach. Tymczasem na podeście jeden z nich — rosły, pogodny człek — ogłaszał listę Dokonanych Dobrych Uczynków. Biedne dzieci wywożono na egzotyczne wakacje. Kupiono autobus dla ludzi potrzebujących go na wycieczki.

Mężczyzna imieniem Jack siedział przy środkowym stole w pierwszym rzędzie, obok eleganckiego człowieka o srebrzystobiałych włosach. Czekali właśnie na kawę.

— Czas ucieka — rzekł srebrnowłoso — i żaden z nas nie młodnieje.

— Tak się zastanawiam — odparł Jack. — Wydarzenia w San Francisco parę lat temu...

— Były wielce niefortunne, owszem, lecz jak kwiaty kwitnące wiosną, tralala, nie miały absolutnie nic wspólnego z tą sprawą. Zawiodłeś, Jack. Miałeś załatwić ich wszystkich. To obejmowało także dziecko. Zwłaszcza dziecko. „Prawie” liczy się tylko w rzucie

podkową i granatem.

Kelner w białym smokingu nalał kawy wszystkim siedzącym przy stole: drobnemu mężczyźnie z cieniutkim czarnym wąsikiem, wysokiemu blondynowi, dość przystojnemu, by być gwiazdą filmową bądź modelem, i ciemnoskóremu gościowi o wielkiej głowie, który patrzył na świat gniewnie niczym rozwścieczony byk. Wszyscy ci mężczyźni demonstracyjnie udawali, że nie słuchają rozmowy Jacka. Zamiast tego skupili uwagę na mówcy, od czasu do czasu nawet klaszcząc. Srebrnowłosey wsypał do swej kawy kilka czubatych łyżeczek cukru i zamieszał szybko.

— Dziesięć lat — powiedział. — Czas i życie nie czekają na nikogo. Dziecko wkrótce dorośnie. A wtedy co?

— Nadal mam czas, panie Dandysie — zaczął mężczyzna imieniem Jack, lecz siwowłosey uciszył go, unosząc w jego stronę duży różowy palec.

— Miałeś czas. Teraz masz nieprzekraczalny termin. Musisz działać mądrze. Nie możemy pozwolić ci na bierność, już nie. Mamy dosyć czekania, każdy obecny tu Jack.

Jack przytaknął krótko.

— Mam pewne tropy — oznajmił.

Siwowłosey siorbnął kawę.

— Naprawdę?

— Naprawdę. I powtarzam: uważam, że to się wiąże z problemami, jakie mieliśmy w San Francisco.

— Rozmawiałeś o tym z sekretarzem? — Pan Dandys wskazał mężczyznę na podium, który właśnie opowiadał im o sprzęcie szpitalnym, zakupionym w zeszłym roku dzięki ich szczodrości. („Nie jeden, nie dwa, lecz trzy aparaty do dializ” — mówił. Zebrani uprzejmie nagrodzili oklaskami swą własną hojność).

Mężczyzna imieniem Jack przytaknął.

— Wspominałem o tym.

— I?

— Nie jest zainteresowany, pragnie tylko wyników. Chce, żebym dokończył to, co zacząłem.

— Wszyscy chcemy, słońce — rzekł siwowłosey. — Chłopiec nadal żyje. A czas nie jest już naszym sprzymierzeńcem.

Pozostali goście przy stole, którzy dotąd udawali, że nie słuchają, zaczęli pomrukiwać i przytakiwać.

— Jak powiedziałem — zakończył beznamiętnie pan Dandys — zegar tyka.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

Szkolne lata Nikta Owensa

Na cmentarzu padał deszcz i odbicie światła rozmazało się na powierzchni kałuż. Nik siedział ukryty przed wszystkimi, którzy mogliby go szukać, żywymi i umarłymi, pod łukiem oddzielającym Egipską Ścieżkę i ciągnącą się za nią północno-zachodnią głąsę od reszty cmentarza, i czytał książkę.

— Tam do krośset! — dobiegł go krzyk ze ścieżki. — Do krośset, mości panie, i niech cię dunder świśnie! Kiedy cię złapię, a uczynię to na pewno, sprawię, że pożałujesz dnia, w

którym przyszło ci się narodzić!



Nik westchnął, opuścił książkę i wychylił się na tyle, by ujrzeć Thackeraya Porringera (1720-1734, syn powyższego) maszerującego gniewnie śliską ścieżką.

Thackeray był dużym chłopcem — kiedy umarł, miał czternaście lat i właśnie zaczynał termin u mistrza malarza. Dostał osiem miedziaków i kazano mu nie wracać bez pół galona czarno-białej pasiastej farby do malowania fryzjerskich słupków. Pewnego mokrego styczniowego ranka Thackeray przez pięć godzin krążył po mieście, słuchając drwin w każdym kolejnym odwiedzonym kramie i wędrując do następnego; gdy zrozumiał, że sobie z niego zadrwiono, z wściekłości dostał apopleksji, która zabiła go po tygodniu. Zmarł, patrząc gniewnie na resztę czeladników, a także na pana Horrobina, mistrza malarskiego, który wycierpiał tak wiele gorszych rzeczy podczas swego terminu, że nie pojmował, o co to całe zamieszanie.

Toteż Thackeray Porringer zmarł w gniewie, ściskając w dłoni swojego „Robinsona

Crusoe”. Książka ta, oprócz srebrnej sześciopensówki ze spiłowanymi brzegami i ubrania, które wcześniej nosił, stanowiła jego jedyny dobytek. Na prośbę matki pogrzebano go z nią. Śmierć nie złagodziła wcale jego charakteru.

— Wiem, że gdzieś tu jesteś! — krzyczał teraz. — Wychodź po swoją karę, ty, ty złodzieju! Nik zamknął książkę.

— Nie jestem złodziejem, Thackerayu. Tylko ją pożyczyłem. Obiecuję, że oddam ci książkę, kiedy skończę.

Thackeray uniósł głowę i ujrzał Nika przycupniętego obok posągu Ozyrysa.

— Powiedziałem: nie!

Nik westchnął.

— Ale tu jest tak mało książek i właśnie dotarłem do najlepszej części. Znalazł odcisk stopy. Ale nie swojej. To oznacza, że na wyspie jest ktoś jeszcze!

— To moja książka — rzekł z uporem Thackeray Porringer. — Oddaj mi ją. — Nik był gotów spierać się albo negocjować, dostrzegł jednak ból na twarzy Thackeraya i ustąpił. Zsunął się bokiem z łuku i zeskoczył na ziemię. Wyciągnął przed siebie rękę z książką.

— Proszę.

Thackeray wziął ją niezgrabnie. Nadal patrzył gniewnie.

— Mógłbym ci ją przeczytać — zaproponował Nik. Mógłbym to zrobić.

— Mógłbyś też wsadzić swój łeb do pieca — odparł Thackeray i zamachnął się, celując w ucho Nika. Cios był celny i bolesny, choć, widząc wyraz twarzy Thackeraya Porringera, Nik uznał, że tamten musiał poczuć równie mocny ból w pięści.

Rosły chłopak odmaszerował ścieżką. Nik odprowadził go wzrokiem. Bolało go ucho, oczy piekły. Potem ruszył w deszczu zdradliwą, porośniętą bluszczem ścieżką. W pewnym momencie pośliznął się i otarł kolano, rozdzierając dżinsy.

Przy murze rosła kępa wierzb. Nik niemal wpadł na pannę Eufemię Horsfall i Toma Sandsa, którzy spotykali się od wielu lat. Tom został pogrzebany tak dawno, że jego kamień zamienił się w zwietrzały gład. Żył i umarł w czasie stu lat wojny z Francją. Natomiast panna Eufemia (1861-1883, Śpi tylko, o tak, Śpi z Aniołami) trafiła tutaj w epoce wiktoriańskiej, po tym jak cmentarz został powiększony i rozbudowany, i przez jakieś pięćdziesiąt lat był całkiem zyskownym przedsięwzięciem. Miała dla siebie cały grobowiec za czarnymi drzwiami przy wierzbowej dróżce. Parze najwyraźniej nie przeszkadzała różnica czasów, z których pochodzili.

— Powinieneś zwolnić, młody Niku — rzekł Tom. — Zrobisz sobie krzywdę.

— Już zrobiłeś — dodała panna Eufemia. — Ojej, Niku, nie wątpię, że twoja matka będzie ci miała sporo do powiedzenia. Nie zdołamy łatwo naprawić tych pantalonów.

— Uhm. Przepraszam — rzekł Nik.

— Poza tym opiekun cię szukał — dodał Tom.

Nik spojrzał w szare niebo.

— Ale wciąż mamy dzień — zaprotestował.

— Wstał chyżo — odparł Tom, które to słowo, Nik wiedział, oznaczało szybko, wcześniej

— i kazał ci powiedzieć, że chce się z tobą widzieć. Gdybyśmy cię zobaczyli.

Nik przytaknął.

— W gąszczu za pomnikiem Littlejohnsów — dodał Tom z uśmiechem, jakby chciał złagodzić cios — są już dojrzałe orzechy laskowe.

— Dziękuję.

Nik puścił się szaleńczym biegiem w deszczu krętą ścieżką w dół cmentarza. Nie zwolnił dopóki nie dotarł do starej kaplicy.

Drzwi stały otworem. Silas, który nie przepadał ani za deszczem, ani za resztkami dziennego światła, stał w środku wśród cieni.

— Słyszałem, że mnie szukasz — rzucił Nik.

— Tak — odparł Silas i dodał: — Wygląda na to, że rozdarłeś spodnie.

— Biegłem — wyjaśnił Nik. — Uhm. Wdałem się w bójkę w Thackerayem Porringerem, bo chciałem przeczytać „Robinsona Crusoe”, to książka o człowieku na łodzi — to coś, co pływa po morzu, dużej wodzie jak olbrzymia kałuża i o tym, jak statek się rozbił na wyspie, czyli miejscu na morzu, na którym można stanąć, i...

— Minęło jedenaście lat, Niku — przerwał mu Silas. — Jedenaście lat, odkąd jesteś z nami.

— No tak — rzekł Nik. — Skoro tak twierdzisz.

Silas zmierzył swego podopiecznego wzrokiem. Chłopiec był szczupły, a jego szarobure włosy lekko pociemniały z wiekiem.

Wnętrze starej kaplicy zasnuwały cienie.

— Myślę — powiedział Silas — że już czas pomówić o tym, skąd się tu wzięłeś.

Nik odetchnął głęboko.

— To nie musi być teraz — rzekł. — Nie, jeśli nie chcesz. — Powiedział to tak lekko, jak tylko zdołał, lecz serce waliło mu w piersi.

Cisza. Słyszał jedynie bębnienie deszczu i szum wody spływającej z rynien. Cisza ciągnęła się, aż w końcu Nik miał wrażenie, że zaraz się złamie.

— Wiesz, że jesteś inny — powiedział w końcu Silas. — Że żyjesz. Że cię przyjęliśmy — oni cię przyjęli — a ja zgodziłem się zostać twoim opiekunem.

Nik milczał. Silas przemawiał dalej głosem jak aksamit.

— Miałeś rodziców. Starszą siostrę. Zostali zabici. Uważam, że ty także miałeś zginąć, i fakt, że ocalałeś, zawdzięczasz przypadkowi i interwencji Owensów.

— I twojej — dodał Nik, który przez lata słyszał opis owych wydarzeń od wielu ludzi. Część z nich nawet przy tym była. Dla mieszkańców cmentarza była to pamiętna noc.

— Gdzieś na świecie pozostał człowiek, który zabił twoją rodzinę. Uważam, że wciąż cię szuka, nadal zamierza zamordować.

Nik wzruszył ramionami.

— I co z tego? To tylko śmierć. No wiesz, wszyscy moi najlepsi przyjaciele są martwi.

— Tak. — Silas się zawahał. — Istotnie. I w większości pokończyli już to, co mieli do zrobienia na tym świecie. Ale ty nie, ty jesteś żywy, Nik. To znaczy, że masz nieskończony potencjał, możesz zrobić, co tylko zechcesz, stworzyć, co zechcesz, marzyć, o czym zechcesz. Jeśli zmienisz świat, świat się zmieni. Potencjał. Gdy umrzesz, to wszystko przeminie. Dobiegnie końca. Stworzysz już wszystko, co miałeś stworzyć, wyśnisz swój sen, zapiszesz swoje imię. Możesz zostać tu pogrzebany, możesz nawet krążyć po cmentarzu, ale twój potencjał się wyczerpie.

Nik się zastanowił. Brzmiało to bardzo prawdziwie, choć natychmiast przyszły mu do głowy wyjątki — choćby adoptujący go rodzice. Lecz wiedział, że żywi i umarli różnią się od siebie, nawet jeśli sympatyzował z umarłymi.

— A co z tobą? — spytał Silasa.

— Co ze mną?

— No, ty nie żyjesz, a jednak chodzisz i robisz różne rzeczy.

— Ja — odparł Silas — jestem dokładnie tym, czym jestem, i niczym więcej. Jak sam powiedziałaś, nie żyję. Jeśli jednak spotka mnie koniec, po prostu przestanę istnieć. Tacy jak ja istnieją bądź nie. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Nie do końca.

Silas westchnął. Deszcz przestał padać i pochmurne popołudnie przeistoczyło się w prawdziwy zmierzch.

— Niku — rzekł — istnieje wiele powodów, dla których ważne jest zapewnienie ci bezpieczeństwa.

— Ten człowiek, który skrzywdził moją rodzinę. Ten, który chce mnie zabić. Jesteś pewien, że wciąż tam jest? — Rozmyślał nad tym od jakiegoś czasu i dobrze wiedział czego chce.

— Tak, wciąż tam jest.

— W takim razie... — Po chwili Nik rzekł coś niewyobrażalnego: — Chcę pójść do szkoły. Silas nie zareagował. Świat mógł się skończyć, a on nawet by się nie zdziwił. Otworzył jednak usta i zmarszczył lekko brwi.

— Co takiego? — spytał.

— Wiele się nauczyłem na tym cmentarzu — ciągnął Nik. — Umiem Znikać i Nawiedzać, potrafię otworzyć ghoulową bramę i znam wszystkie gwiazdozbiory. Ale tam, na zewnątrz, istnieje inny świat, w którym są morza, wyspy, wraki statków i świnie. Jest tam pełno rzeczy, których nie znam. Tutejsi nauczyciele dużo mnie nauczyli, ale potrzebuję więcej. Jeśli kiedyś mam tam przetrwać.

Silasa nie przekonały jego słowa.

— Nie ma mowy. Tu możemy zapewnić ci bezpieczeństwo, na zewnątrz może się wydarzyć wszystko. Jak mamy cię tam chronić?

— Tak — zgodził się Nik. — To właśnie potencjał, o którym wspominałaś. — Umilkł, a potem rzekł: — Ktoś zabił moją matkę, mojego ojca i siostrę.

— Owszem. Ktoś to zrobił.

— Człowiek?

— Człowiek, mężczyzna.

— Co oznacza — podjął Nik — że zadajesz niewłaściwe pytanie.

Silas uniósł brew.

— To znaczy?

— Jeśli wyjdę poza bramę cmentarza, pytanie nie brzmi: kto ochroni mnie przed tym człowiekiem.

— Nie?

— Nie. Tylko: kto ochroni jego przede mną.

Gałazki postukiwały o wysokie okna, jakby chciały, żeby je wpuścić. Silas strącił nieistniejącą drobinę kurzu z rękawa paznokciem ostrym niczym klinga noża.

— Będziemy musieli znaleźć szkołę dla ciebie — powiedział.

\*\*\*

Nikt nie zauważył chłopca, przynajmniej z początku. Nikt nie zorientował się nawet, że go nie dostrzegają. Siedział w połowie klasy, rzadko odpowiadał, chyba że zadano mu



pytanie wprost, i nawet wtedy jego odpowiedzi były krótkie, bezbarwne, nieciekawe. Znikał z umysłu i pamięci.

— Sądysz, że jego rodzina jest bardzo religijna? — spytał pan Kirby w pokoju nauczycielskim. Oceniał właśnie wypracowania.

— Czyja rodzina? — zdziwiła się pani McKinnon.

— Owensa z ósmej be.

— Tego wysokiego, pryszczatego?

— Nie wydaje mi się, jest średniego wzrostu.

Pani McKinnon wzruszyła ramionami.

— I co z nim?

— Wszystko pisze ręcznie — powiedział pan Kirby. — Ma piękne pismo, kiedyś nazywano je kaligraficznym.

— I to ma dowodzić, że jest religijny? Bo?

— Mówi, że nie mają komputera.

— I?

— Nie ma też telefonu.

— Nie rozumiem, jaki to ma związek z religią. — Pani McKinnon, która, odkąd w pokoju nauczycielskim zakazano palenia, zajęła się szydełkowaniem, siedziała i dziergała na szydełku kołderkę dla dziecka. Sama nie wiedziała, dla kogo ją przeznaczy.

Pan Kirby wzruszył ramionami.

— To bystry dzieciak, ale jest sporo rzeczy, których nie wie. A na historii dorzuca drobne, wymyślone detale, rzeczy, których nie znajdziesz w książkach.

— Jakie na przykład?

Pan Kirby skończył oceniać wypracowanie Nika i odłożył na stos. Gdy już nie miał go przed sobą, cała sprawa nagle wydała mu się mętna i nieciekawa.

— Po prostu — mruknął i zapomniał o wszystkim. Tak jak zapomniał wpisać nazwisko Nika do dziennika. Tak jak jego nazwiska nie można było znaleźć również w szkolnej bazie danych.

Chłopiec uczył się wzorowo i wszyscy łatwo o nim zapominali. Większość wolnego czasu spędzał na tyłach pracowni języka angielskiego pośród regałów ze starymi książkami, a także w szkolnej bibliotece, wielkim pomieszczeniu pełnym książek i antycznych foteli, w których odczytywał historie z równym entuzjazmem, z jakim niektóre dzieci jedzą.

Nawet koledzy o nim zapominali. Nie kiedy siedział przed nimi: wówczas go pamiętali. Ale gdy chłopak Owensów zniknął z oczu, zniknął też z serc. Nie myśleli o nim. Nie musieli. Gdyby ktoś poprosił wszystkich uczniów VIII B, by zamknęli oczy i wymienili nazwiska dwudziestu pięciu osób, chłopców i dziewczyn, chodzących z nimi do klasy, syn Owensów nie znalazłby się na ich listach. Niemal przypominał zjawę. Oczywiście, kiedy był na miejscu, sprawy wyglądały inaczej.

Mick Farthing miał dwanaście lat, ale można go było wziąć — i czasem brano — za szesnastolatka. Wysoki chłopak o krzywym uśmiechu, niemal pozbawiony wyobraźni, zajmował się głównie rzeczami praktycznymi. Świetnie sobie radził z kradzieżami sklepowymi, a od czasu do czasu lubił komuś przywalić. Nie obchodziło go, czy cieszy się sympatią, byle tylko inne dzieci, zwłaszcza te mniejsze, robiły to, co im kazał. Poza tym miał przyjaciółkę. Nazywała się Maureen Quilling, lecz wszyscy mówili jej Mo. Była szczupła, miała jasną skórę i jasnozłote włosy, wodniste, niebieskie oczy i szpiczasty,

wścibski nos. Mick lubił kraść w sklepach, ale to Mo mówiła mu, co ma zwinąć. Mick umiał pobić i zastraszyć, lecz to Mo wskazywała mu ludzi, których należało nastraszyć. Tworzyli, jak czasem mawiała, idealny zespół.

Siedzieli właśnie w kącie biblioteki, dzieląc się zebranych od siódmoklasistów kieszonkowym. Mieli ośmiu czy dziewięciu jedenastolatków przyuczonych tak, by co tydzień oddawali im pieniądze.

— Singh jeszcze się nie wypłacił — oznajmiła Mo. — Będziesz go musiał znaleźć.

— Tak — odparł Mick. — Zapłaci.

— Co takiego zwędził? Płyte?

— Mick skinął głową.

— Uświadom mu, że popełnił błąd — poleciała Mo, która bardzo chciała brzmieć jak twarde z telewizji.

— Łatwizna — mruknął Mick. — Jesteśmy świetnym zespołem.

— Jak Batman i Robin — rzekła Mo.

— Bardziej jak doktor Jekyll i pan Hyde — rzucił ktoś, kto czytał przy oknie, po czym wstał i wyszedł.

Paul Singh siedział na parapecie w szatni, z rękami w kieszeniach, pogrążony w ponurych myślach. Wyciągnął jedną rękę, rozprostował palce i przyjrzał się kilku funtowym monetom. Potem pokręcił głową i znów zacisnął dłoń.

— Czy to na to czekają Mick i Mo? — spytał ktoś.

Paul podskoczył, rozsypując pieniądze po podłodze.

Drugi chłopak pomógł mu je pozbierać i oddał. Był starszy, Paulowi wydało się, że już go gdzieś widział, ale nie miał pewności.

— Jesteś z nimi? — spytał. — Z Mickiem i Mo?

Tamten pokręcił głową.

— Nie, uważam, że są obrzydliwi. — Zawahał się, po czym dodał: — Prawdę mówiąc, przyszedłem żeby udzielić ci rady.

— Tak?

— Nie płać im.

— Łatwo ci mówić.

— Bo mnie nie szantażują?

Chłopak spojrzał na Paula i ten zawstydzony odwrócił wzrok.

— Bili cię albo grozili tak długo, że w końcu ukradłeś dla nich płytę. A potem powiedzieli, że jeśli nie oddasz im kieszonkowego, opowiedzą o wszystkim. Jak to załatwili? Sfilmowali cię?

Paul przytaknął.

— Po prostu powiedz: nie — rzekł chłopak. — Nie rób tego.

— Oni mnie zabiją. I mówili...

— Powiedz im, że uważasz, że policję i władze szkolne znacznie bardziej zainteresuje parka dzieciaków, którzy zmuszają młodszych do tego, by dla nich kradli, a potem wyciągają od nich kieszonkowe, niż jeden chłopak przymuszony wbrew swojej woli do kradzieży płyty. Że jeśli jeszcze raz cię tkną, zadzwonisz na policję. I dodaj, że opisałeś to wszystko i jeśli coś ci się stanie, cokolwiek, jeśli nawet podbiją ci oko, twoi przyjaciele automatycznie wyślą wszystko władzom szkolnym i policji.

— Ale... — zaczął Paul. — Ja. Nie mogę.

— W takim razie oddawaj im kieszonkowe do końca nauki w tej szkole. I wciąż się ich bój.

Paul się zastanowił.

— Czemu po prostu nie zadzwonić na policję? — spytał.

— Jeśli chcesz, możesz.

— Najpierw spróbuję po twojemu. — Paul się uśmiechnął.

Nie był to duży uśmiech, ale za to prawdziwy. Jego pierwszy od trzech tygodni.

Zatem Paul Singh wyjaśnił Mickowi Farthingowi, jak i dlaczego nie będzie już mu płacił, i odszedł, podczas gdy Mick Farthing stał bez słowa, zaciskając i rozluźniając pięści. Następnego dnia pięciu kolejnych jedenastoletków znalazło go na boisku i oznajmiło, że życzą sobie zwrotu pieniędzy, wszystkich kieszonkowych, które oddali przez ostatni miesiąc, albo pójdą na policję, i Mick Farthing stał się wyjątkowo nieszczęśliwym młodzieńcem.

— To był on — mruknęła Mo. — To on to zaczął. Gdyby nie on... sami nigdy by na to nie wpadli. To jemu musimy dać nauczkę, wtedy znów zaczną się słuchać.

— Komu? — spytał Mick.

— Temu, który stale czyta, temu z biblioteki. Nickowi Owensowi. Jemu.

Mick przytaknął powoli.

— A który to? — spytał.

— Pokażę ci — obiecała Mo.

\*\*\*

Nik przywykł do bycia niedostrzeganym, do życia w cieniu. Kiedy spojrzenia naturalnie przemykają po tobie, to natychmiast czujesz na sobie czyjś wzrok, i że inni zerkają w twoją stronę, obserwują. A kiedy ledwie istniejesz w ludzkich umysłach, fakt, że ktoś pokazuje cię komuś i cię śledzi... takie sytuacje zwracają twoją uwagę.

Szli za nim ze szkoły, drogą obok kiosku na rogu i przez most kolejowy. Nie śpieszył się, pilnując, by śledząca go dwójka, rosły chłopak i jasnowłosa dziewczyna o ostrych rysach, nie zgubiła śladu. Potem skręcił na teren niewielkiego miejscowego kościoła na końcu drogi, z miniaturowym cmentarzem, i zaczął przy grobie Rodericka Perrsona i jego żony Amabelli, a także drugiej żony, Portunii, Zasnęli, by Znów się Zbudzić.

— To ty — powiedziała dziewczyna. — Nick Owens. Masz naprawdę przerąbane, Nicku Owensie.

— Tak naprawdę nazywam się Nik — rzekł Nik i spojrzął na nich. — Przez samo k. A wy jesteście Jekyll i Hyde.

— To byłeś ty — ciągnęła dziewczyna. — Ty rozmawiałeś z siódmoklasistami.

— Udzielimy ci lekcji. — Mick Farthing uśmiechnął się bez cienia rozbawienia.

— Bardzo lubię lekcje — rzekł Nik. — Gdybyście bardziej przykładali się do swoich, nie musielibyście szantażować młodszych dzieci i odbierać im kieszonkowego.

Mick zmarszczył czoło.

— Już nie żyjesz, Owens — rzucił.

Nik pokręcił głową i machnął ręką.

— Ja nie, ale oni owszem.

— Jacy oni? — spytała Mo.

— Tutejsi — odparł Nik. — Posłuchajcie, przyprowadziłem was tutaj, żeby dać wam wybór.

— Nie przyprowadziłeś nas — wtrącił Mick.

— Jesteście tu — przypomniał — chciałem, żebyście tu trafili. Przyszedłem tu, a wy za mną. To to samo.

Mo rozejrzała się nerwowo.

— Masz tu przyjaciół?

— Obawiam się, że nie rozumiesz. Obydwoje musicie przestać. Przestańcie się zachowywać tak, jakby inni się nie liczyli. Przestańcie krzywdzić ludzi.

Mo uśmiechnęła się drapieżnie.

— Na miłość boską — rzekła do Micka — walnij go.

— Dałem wam szansę — rzekł Nik.

Rosły chłopak zamachnął się pięścią, ale Nika już tam nie było i jego pięść rąbnęła w bok nagrobka.

— Gdzie on się podział? — spytała Mo. Mick kłął i potrząsał ręką. Rozejrzała się zdumiona po pograżonym w cieniu cmentarzu. — Był tutaj. Wiesz, że był.

Jej towarzysz nie dysponował zbytnią wyobraźnią i nie zamierzał zaczynać myśleć.

— Może uciekł? — podsunął.

— Nie uciekł. Po prostu już go tu nie ma. — Mo miała wyobraźnię; to ona podsuwała wszystkie pomysły. Siedzieli na upiornym cmentarzu, zapadał zmierzch, a jej włosy na karku zjeżyły się nagle. — Coś jest bardzo, bardzo nie tak — mruknęła, po czym dodała wysokim, spanikowanym głosem: — Musimy stąd uciekać.

— Znajdę tego dzieciaka — oznajmił Mick Farthing. — Pobię go tak, że nie wstanie.

Żołądek Mo ścisnął się nagle, cienie wokół nich jakby się poruszały.

— Mick — powiedziała — boję się.

Strach jest zaraźliwy, potrafi się udzielić. Czasami wystarczy, by ktoś powiedział, że się boi, i strach staje się prawdziwy. Mo była przerażona i teraz Mick także.

Nie odpowiedział, po prostu puścił się biegiem. Mo pędziła tuż za nim. A gdy tak biegli w stronę swego świata, na ulicy zapalały się latarnie, zamieniając zmierzch w noc, a cienie w plamy ciemności, w których wszystko mogło się czaić.

Biegli tak, dopóki nie dotarli do domu Micka. Weszli do środka i zapalili wszystkie światła. Mo zadzwoniła do swojej mamy i niemal płacząc, zażądała, by ta przyjechała po nią i zawiozła ją do domu, bo tej nocy nie wyjdzie sama na dwór.

Nik z zadowoleniem odprowadził ich wzrokiem.

— Bardzo dobrze, mój drogi — powiedziała stojąca za nim wysoka kobieta w bieli.

— Najpierw bardzo ładne Zniknięcie. A potem Strach.

— Dziękuję — odparł Nik. — Nie próbowałem dotąd Strachu na żywych. To znaczy znałem teorię, ale... No cóż.

— Zdziałało jak złoto — rzuciła radośnie. — Jestem Amabella Persson.

— Nik. Nikt Owens.

— Żywy chłopiec? Z wielkiego cmentarza na wzgórzu? Naprawdę?

— Uhm. — Nik nie zdawał sobie sprawy, że ktokolwiek poza mieszkańcami jego cmentarza słyszał o nim. Amabella tymczasem stuknęła w nagrobek.

— Rody? Portunia? Chodźcie, zobaczcie kto przyszedł!

A potem była ich trójka. Amabella przedstawiała Nika, a on ścisnął kolejne dłonie,

mówiąc „niezmiernie mi miło”, ponieważ potrafił powitać kogoś uprzejmie wedle najlepszych manier ostatnich dziewięciu stuleci.

— Ten tu mości Owens przeraził parkę dzieci, które bez wątpienia na to zasłużyły — wyjaśniła Amabella.

— Dobra robota — rzekł Roderick Persson. — Łapserdaki zachowujące się nagannie, he?

— Zastraszali słabszych — wytłumaczył Nik. — Zmuszali, by oddawali im swoje kieszonkowe, takie rzeczy.

— Przerażenie to niewątpliwie dobry początek — oznajmiła Portunia Persson, przysadzista kobieta, znacznie starsza od Amabelli. — A co zaplanowałeś, gdyby się nie udało?

— Tak naprawdę nie zastanawiałem się... — zaczął Nik, lecz Amabella mu przerwała.

— Sugerowałabym Wędrowkę w Snach, jako najskuteczniejsze remedium. Umiesz Wędrować, prawda?

— Nie jestem pewien — przyznał Nik. — Pan Pennyworth pokazał mi jak, ale tak naprawdę... Cóż, są rzeczy, które znam tylko w teorii i...

— Wędrowka w Snach to świetna sprawa — rzekła Portunia Persson. — Ale osobiście sugerowałabym porządne Nawiedzenie. To jedyny język, jaki niektórzy rozumieją.

— Och — mruknęła Amabella. — Nawiedzenie? Portunia, moja droga, naprawdę nie myślę...

— Istotnie, nie myślisz. Na szczęście jednej z nas się to zdarza.

— Muszę już wracać do domu — oznajmił Nik. — Będą się o mnie martwić.

— Oczywiście — odparła rodzina Perssonów. — I jakże miło było cię poznać. I dobrego wieczoru, młodzieńcze.

Amabella Persson i Portunia Persson patrzyły na siebie gniewnie.

— Wybacz, że pytam — rzekł Roderick Persson — ale twój opiekun dobrze się miewa?

— Silas? Tak, doskonale.

— Pozdrów go, proszę. Obawiam się, że na małym cmentarzu, takim jak nasz, nigdy nie spotkamy prawdziwego członka Gwardii Honorowej. Dobrze jednak wiedzieć, że są w pobliżu.

— Dobranoc — odparł Nik, który nie miał pojęcia, o czym mówi tamten, ale to zapamiętał. — Powtórzę mu.

Podniósł torbę z podręcznikami i ruszył do domu, kryjąc się wśród cieni.

\*\*\*

Zajęcia z żywymi nie oznaczały końca lekcji z umarłymi. Noce były długie, czasami Nik przeproszał i śmiertelnie zmęczony kładł się przed północą. Zwykle jednak jakoś sobie radził.

Pan Pennyworth nie miał się na co uskarżać. Nik przykładał się do nauki i zadawał mnóstwo pytań. Tego wieczoru wypytywał go o Nawiedzenia, coraz bardziej szczegółowo. Pan Pennyworth, który sam nigdy nie zajmował się podobnymi rzeczami, odpowiadał z rosnącym zakłopotaniem.

— Jak dokładnie mam wywołać chłodny krąg w powietrzu? — pytał. — Chyba już opanowałem Strach, ale jak przejść wyżej, do Grozy?

Pan Pennyworth wzdychał, chrumkał i starał się jak mógł najlepiej wyjaśnić. Nim

skończyli, minęła czwarta rano.

Następnego dnia w szkole Nik był bardzo zmęczony. Na pierwszej lekcji, historii — który to przedmiot lubił, choć często musiał walczyć z pokusą mówienia, że coś nie wydarzyło się tak jak w podręczniku, przynajmniej według ludzi, którzy w tym uczestniczyli — oczy same mu się zamykały.

Starał się usilnie skupić na lekcji, toteż nie zwracał uwagi na otoczenie. Myślał o królu Karolu I, o swoich rodzicach, o pani i panu Owensie i drugiej rodzinie, tej, której nie pamiętał, gdy ktoś zastukał do drzwi. Cała klasa i pan Kirby spojrzeli, kto to (pierwszoklasista, którego przysłano po podręcznik). Gdy się odwrócili, Nik poczuł, jak coś ukuło go mocno w grzbiet dłoni. Nie krzyknął, jedynie uniósł wzrok.

Mick Farthing uśmiechał się do niego. W ręce trzymał zaostrzony ołówek.

— Nie boję się ciebie — wyszeptał.

Nik przyjrzał się swojej ręce. W miejscu, gdzie grafit przebił skórę, zebrała się mała kropla krwi.

Tego popołudnia Mo Quilling minęła Nika na korytarzu. Oczy miała otwarte tak szeroko, że widział białka otaczające tęczę.

— Jesteś dziwny — rzekła. — Nie masz żadnych przyjaciół.

— Nie przychodzę tu szukać przyjaciół — odparł szczerze — tylko się uczyć.

Jej nos drgnął.

— Wiesz, jakie to dziwaczne? Nikt nie chodzi do szkoły, żeby się uczyć. Przychodzisz tu, bo musisz.

Nik wzruszył ramionami.

— Nie boję się ciebie — oznajmiła. — Nie wiem, jaką sztuczkę wczoraj wyciąłeś, ale mnie nie przestraszyłeś.

— Dobra — odrzekł i odszedł w głąb korytarza.

Zastanawiał się, czy zaangażowanie się w tę sprawę było pomyłką. Bez wątpienia popełnił błąd w ocenie. Mo i Mick zaczęli o nim gadać, pewnie siódmoklasiści także. Inne dzieci patrzyły na niego, pokazywały go sobie. Stawał się obecnością, nie nieobecnością, i nie czuł się z tym dobrze. Silas ostrzegał, by się nie wychylał. Radził, by przechodził przez szkołę w półZniknięciu, lecz teraz wszystko się zmieniło.

Tego wieczoru podczas rozmowy z opiekunem opowiedział mu o wszystkim. Nie spodziewał się pozytywnej reakcji Silasa.

— Trudno mi uwierzyć, że mogłeś być taki, taki... głupi. Mówiłem ci przecież, że masz pozostać niewidzialny. A ty stałeś się tematem rozmów w całej szkole?

— A co niby miałem zrobić?

— Nie to — uciął Silas. — Czasy się zmieniły. Teraz mogą cię obserwować, Nik, mogą cię znaleźć. — Wyraźnie walczył z gniewem, opanowywał go. Niewzruszona twarz była niczym twarda skorupa skalna, kryjąca rozpaloną lawę.

Nik wiedział, jak wściekły jest teraz Silas, tylko dlatego, że dobrze go znał. Przełknął ślinę.

— Co mam robić? — spytał z prostotą.

— Nie wrócisz tam — odparł Silas. — Cały ten pomysł ze szkołą stanowił eksperyment. Przyznajmy po prostu, że zakończył się niepowodzeniem.

Nik milczał krótką chwilę.

— Nie chodzi tylko o naukę — rzekł w końcu — ale o inne sprawy. Wiesz, jak miło jest

być w pomieszczeniu pełnym ludzi, którzy oddychają?

— Sam nigdy się tym nie rozkoszowałem — uciał Silas. Czyli jutro nie wracasz do szkoły.

— Ja nie ucieknę. Nie przed Mo ani Mickiem, ani szkołą. Prędzej opuszczę to miejsce.

— Zrobisz to, co ci każe, chłopcze. — Silas wezbrał w ciemności gniewem niczym aksamitny wulkan.

— Albo co? — Nika zapiekły policzki. — Co zrobisz, żeby mnie tu zatrzymać? Zabijesz?

Odwrócił się na pięcie i ruszył ścieżką wiodącą do bramy i poza cmentarz.

Silas zaczął go wołać, potem umilkł i został sam w mroku.

Zazwyczaj z jego twarzy nic nie dawało się odczytać, teraz przypominała księgę zapisaną już dawno zapomnianym alfabetem. Silas opatulił się cieniami niczym kocem, patrząc w ślad za odchodzącym chłopcem. Nawet nie próbował pójść za nim.

\*\*\*

Mick Farthing leżał w łóżku. Spał i śnił o piratach na słonecznym błękitnym morzu, kiedy wszystko zaczęło się psuć. W jednej chwili był kapitanem swego własnego pirackiego okrętu — radosnego statku z załogą posłusznych jedenastolatków i dziewczyn, które bez wyjątku były rok czy dwa starsze od Micka i wyglądały prześlicznie w swych pirackich kostiumach; w następnej stał samotnie na pokładzie, a w jego stronę pędził potężny, mroczny okręt wielkości tankowca, z poszarpanymi czarnymi żaglami i czaszką osadzoną na dziobie.

A potem, jak to bywa w snach, znalazł się na czarnym pokładzie nowego statku.

Ktoś patrzył na niego z góry.

— Nie boisz się mnie — rzekł stojący nad nim mężczyzna.

Mick uniósł wzrok. Bał się we śnie, bał owego mężczyzny o martwej twarzy, odzianego w piracki strój, z dłonią na rękojeści szabli.

— Myślisz, że jesteś piratem, Mick? — spytał jego prześladowca i nagle coś w nim wydało mu się znajome.

— Ty jesteś tym chłopakiem — rzekł. — Nickiem Owensem.

— Ja — odparł prześladowca — jestem Nikt. A ty musisz się zmienić, odsłonić nową kartę, naprawić swe błędy i tak dalej. Albo zrobi się bardzo źle.

— Źle? Jak?

— Źle w twojej głowie — odparł król piratów, który teraz był tylko chłopcem z jego klasy. Znajdowali się w sali gimnastycznej, nie na pokładzie statku pirackiego, choć burza nie ustąpiła i podłoga falowała i kołysała się niczym okręt na morzu.

— To tylko sen — rzekł Mick.

— Oczywiście, że to sen — odparł tamten chłopak. — Musiałbym być potworem, by umieć zrobić coś takiego na jawie.

— Co możesz mi zrobić we śnie? — Mick się uśmiechnął. — Nie boję się ciebie. Wciąż masz ślad po moim ołówku. — Wskazał grzbiet dłoni Nika i czarny punkcik pozostawiony przez grafit.

— Miałem nadzieję, że nie będę musiał tego robić — powiedział tamten. Przechylił głowę, jakby nasłuchiwał. — Są głodne — dodał.

— Ale co?

— Stwory w piwnicy. Czy może pod pokładem, zależy, czy to szkoła, czy statek, prawda?

Mick poczuł załóżki paniki.

— To nie... pająki... prawda?

— Możliwe — odparł tamten. — Wkrótce się dowiesz, czyż nie?

Mick pokręcił głową.

— Nie — rzekł. — Proszę, nie.

— Cóż — odparł chłopak — wszystko zależy od ciebie. Zmień się albo trafisz do piwnicy.

Hałas stał się głośniejszy — chór szmerów, szelestów, tupotów. I choć Mick Farthing nie miał pojęcia co to, był absolutnie, całkowicie, stuprocentowo pewien, że czymkolwiek by się okazało, byłaby to najstraszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widział — i zobaczy — w życiu...

Obudził się z krzykiem.

\*\*\*

Nik usłyszał ów krzyk, wrzask grozy, i ogarnęło go zadowolenie z dobrze wykonanej pracy.

Stał na chodniku przed domem Farthingów, twarz miał wilgotną od gęstej nocnej mgły. Był zachwycony i wyczerpany, ledwie panował nad Wędrowaniem w Snach i cały czas zdawał sobie sprawę, że w owym śnie nie ma niczego prócz Micka i jego samego, a Mick wystraszył się jedynie dźwięku.

Nik czuł jednak zadowolenie. Chłopak zawaha się, nim znów zacznie dręczyć młodsze dzieci.

A teraz?

Wsunął ręce do kieszeni i ruszył naprzód, niepewny, dokąd zmierza. Opuści szkołę, pomyślał, tak jak opuścił cmentarz. Uda się gdzieś, gdzie nikt go nie zna, całymi dniami będzie siedział w bibliotece, czytał książki i słuchał oddechów ludzi.

Zastanawiał się, czy na świecie wciąż istnieją bezludne wyspy, takie jak ta, na której rozbił się Robinson Crusoe. Mógłby zamieszkać na jednej z nich.

Nie patrzył w górę. Gdyby to zrobił, ujrzałby parę wodnistobłękitnych oczu, obserwujących go uważnie z okna sypialni.

Skręcił w alejkę. Czuł się lepiej z dala od światła.

— A zatem uciekasz? — spytał dziewczęcy głos.

Nik nie odpowiedział.

— To właśnie różnica między żywymi i umarłymi, nieprawdaż? — dodał głos. Nik wiedział, że należy do Lizy Hempstock, choć nie widział samej czarownicy. — Umarli cię nie zawodzą. Przeżyli już swoje życie, zrobili to co zrobili. My się nie zmieniamy, żywi natomiast zawsze zawodzą. Spotykasz chłopca, dzielnego i szlachetnego, a kiedy dorasta, ucieka.

— To niesprawiedliwe — zaprotestował Nik.

— Nikt Owens, którego znam, nie uciekłby z cmentarza, nie pożegnawszy się z tymi, którym na nim zależy. Złamiesz serce pani Owens.

Nik o tym nie pomyślał.

— Pokłóciłem się z Silasem — oznajmił.

— I co?

— Chce, żebym wrócił na cmentarz. Przestał chodzić do szkoły. Uważa, że to zbyt



niebezpieczne.

— Czemu? Twoje zdolności wraz z moimi zaklęciami wystarczą, by ledwie cię zauważali.

— Zacząłem się angażować. Była tam parka dzieciaków zastraszających innych. Chciałem, żeby przestali. Zwróciłem na siebie uwagę...

Teraz widział już Lizę, mglistą postać w alejce, dotrzymującą mu kroku.

— On gdzieś tu jest i chce, żebyś zginął — odparła. — Ten, który zabił twoją rodzinę. My, na cmentarzu, chcemy, żebyś pozostał przy życiu. Chcemy, żebyś nas zaskoczył i zawiódł, zdumiał i zadziwił. Wracaj do domu, Nik.

— Ja... powiedziałem coś Silasowi. Będzie zły.

— Gdybyś go nie obchodził, nie wpadłby w złość — odparła jedynie.

Stopy Nika ślizgały się na zaścielejących uliczkę jesiennych liściach. Mgła rozmazywała krawędzie świata. Nic nie było tak wyraźne, jak sądził jeszcze parę minut wcześniej.

— Wędrowałem w Snach — rzekł.

— I jak ci poszło?

— Dobrze. No, w porządku.

— Powinieneś powiedzieć panu Pennyworthowi. Ucieszy się.

— Masz rację — przyznał. — Powinienem.

Dotarł do końca alejki i zamiast skręcić w prawo, jak zamierzał, skręcił w lewo, na główną ulicę wiodącą z powrotem do Dunstan Road i na wzgórze, na cmentarz.

— I co? — spytała Liza Hempstock. — Co teraz robisz?

— Wracam do domu — wyjaśnił. — Tak jak mówiłaś.

Wokół płonęły sklepowe światła. Nik czuł w powietrzu woń rozgrzanego tłuszczu z frytkami na rogu. Kamienne płyty połyskiwały.

— To dobrze — odparła Liza Hempstock, znów niewidoczna, a potem dodała: -

Uciekaj! Albo Zniknij! Coś jest nie tak!

Nik miał jej właśnie powiedzieć, że wszystko w porządku, że to niemądre z jej strony, gdy wielki samochód z błyskającym na dachu światłem zawrócił gwałtownie z przeciwnej strony ulicy i zatrzymał się przed nim. Ze środka wysiadło dwóch mężczyzn.

— Przepraszam, młody człowieku — rzekł jeden — policja. Mógłbym spytać, co robisz tak późno na dworze?

— Nie wiedziałem, że prawo tego zabrania — odparł Nik.

Wyższy z policjantów otworzył tylne drzwi samochodu.

— Czy to jest młody człowiek, którego widziałaś, panienko?

Mo Quilling wysiadła z samochodu, spojrzała na Nika i się uśmiechnęła.

— To on — oznajmiła. — Był w naszym ogrodzie i rozbijał różne rzeczy. A potem uciekł.

— Popatrzyła Nikowi prosto w oczy. — Widziałam cię z sypialni — dodała. — Myślę, że to on stłukł okna w sąsiedztwie.

— Jak się nazywasz? — spytał niższy z policjantów. Miał rude wąsy.

— Nikt — odparł Nik, a potem: — Au!

Rudy policjant chwycił jego ucho między kciuk i palec wskazujący i ścisnął mocno.

— Tylko bez takich tekstów — rzekł. — Odpowiadaj uprzejmie na pytania. Jasne?

Nik milczał.

— Gdzie dokładnie mieszkasz? — naciskał policjant.

Nik milczał. Próbował Zniknąć, lecz Znikanie — nawet wzmocnione zaklęciem więdźmy

— wymaga, by uwaga ludzi skupiała się na czymś innym, a w tym momencie spojrzenia

wszystkich — nie mówiąc o parze silnych dłoni — koncentrowały się na nim.

— Nie możecie mnie aresztować za to, że nie podam wam nazwiska ani adresu — powiedział.

— Nie — odparł policjant. — Nie mogę. Ale mogę cię zabrać na komisariat i zatrzymać, dopóki nie podasz nam nazwiska rodzica, opiekuna, odpowiedzialnego dorosłego, któremu możemy cię przekazać.

Wciągnął Nika na tylne siedzenie, gdzie siedziała Mo Quilling z uśmiechem kota, który właśnie zjadł kanarka.

— Zobaczyłam cię z frontowego okna — powiedziała cicho — i zadzwoniłam na policję.

— Nic nie robiłem — odparł Nik. — Nie było mnie nawet w twoim ogrodzie. I dlaczego właściwie zabrali cię, żebyś mnie znalazła?

— Cicho tam! — warknął wyższy policjant.

Wszyscy umilkli. Wóz zajechał przed dom, który musiał należeć do Mo. Wyższy policjant otworzył przed nią drzwi, a ona wysiadła.

— Zadzwonimy jutro, damy znać twoim rodzicom, czego się dowiedzieliśmy — oznajmił wysoki policjant.

— Dzięki, wujku Tamie. — Mo się uśmiechnęła. — Spełniłam tylko swój obowiązek.

W milczeniu jechali z powrotem przez miasto. Nik starał się z całych sił Zniknąć; bez powodzenia. Czuł się nieszczęśliwy. W ciągu jednego wieczoru po raz pierwszy naprawdę pokłócił się z Silasem, próbował uciec z domu, nie udało mu się uciec, a teraz nie udało mu się wrócić. Nie mógł powiedzieć policjantom, gdzie mieszka, ani podać nazwiska.

Resztę życia spędzi w policyjnej celi albo w więzieniu dla dzieci. Czy istnieją więzienia dla dzieci? Nie miał pojęcia.

— Przepraszam? Czy macie więzienia dla dzieci? — spytał mężczyzn na przednim siedzeniu.

— A co, zaczynasz się bać? — odpowiedział pytaniem wujek Mo. — Nie dziwię ci się. Wy, dzieciaki, i te wasze szaleństwa. Niektóre z was zasłużyły na zamknięcie.

Nik nie był pewien, czy oznacza to tak, czy nie. Wyjrzał przez okno. Coś wielkiego leciało w powietrzu nad samochodem, z boku, coś ciemniejszego i większego niż największy ptak. Coś wielkości człowieka, co migotało i trzepotało przy każdym ruchu, niczym stroboskopowy lot nietoperza.

— Kiedy dojedziemy na komisariat — powiedział rudy policjant — najlepiej od razu podaj nam nazwisko i powiedz, kogo powiadomić. Zadzwonimy tam, powiemy, że porządnie cię ochrzaniiliśmy, i zabiorą cię do domu. Rozumiesz? Ty będziesz współpracował, a nam będzie łatwiej, mniej roboty papierkowej. W końcu jesteśmy przyjaciółmi.

— Za bardzo mu odpuszczasz. Noc w celi nie jest taka straszna — wtrącił wysoki policjant. Potem obejrzał się na Nika. — Chyba że to akurat ciężka noc i będziemy musieli wsadzić cię razem z pijakami. Potrafią być paskudni.

On kłamie, pomyślał Nik. Robią to specjalnie: jeden miły, drugi twardy.

I wtedy samochód policyjny skręcił i rozległ się huk. Coś wielkiego przeturlało się przez maskę i poleciało na bok. Zapiszczały hamulce, samochód zatrzymał się gwałtownie, a rudy policjant zaczął kłąć pod nosem.

— Gość po prostu wybiegł na drogę! — rzucił. — Widziałeś!

— Nie jestem pewien, co widziałem — odparł wysoki. Ale z pewnością w coś uderzyłeś.

Wysiedli z wozu i zaczęli świecić latarkami.

— Był ubrany na czarno — mówił rudzielec. — Nic nie widać.

— Jest tam! — krzyknął wysoki.

Obaj pośpieszyli do leżącego na ziemi ciała, unosząc latarki.

Nik sprawdził klamki z tyłu. Nie działały, a tylne siedzenie od przedniego odgradzała metalowa krata. Nawet gdyby Zniknął, wciąż tkwiłby uwięziony na tylnym siedzeniu policyjnego samochodu.

Wychylił się jak tylko mógł, wyciągając szyję i próbując zobaczyć, co się dzieje, co leży na drodze.

Rudy policjant przykucnął obok ciała, przyglądał mu się. Drugi, ten wyższy, stał nad nim, oświetlając latarką twarz.

Nik spojrzał na ową twarz i zaczął rozpaczliwie, gorączkowo tłuc pięściami o szybę.

Wysoki policjant podszedł do wozu.

— Co jest? — spytał rozdrażniony.

— Potrąciliście mojego... mojego tatę! — odparł Nik.

— Żartujesz.

— Wygląda jak on. Mógłbym się przyjrzeć?

Wysoki policjant się zgarbił.

— Ej! Simon, dzieciak twierdzi, że to jego ojciec.

— Chyba, kurna, żartujesz.

— Myślę, że mówi serio. — Wysoki policjant otworzył drzwi, Nik wysiadł.

Silas leżał na ziemi na plecach, w miejscu gdzie odrzucił go samochód. Był śmiertelnie nieruchomy.

Nika zapiekły oczy.

— Tato? — powiedział. — Zabiliście go!

Nie kłamie, dodał w duchu — nie tak naprawdę.

— Wezwałem już karetkę — odparł Simon, policjant o rudym wąsie.

— To był wypadek — dodał drugi.

Nik przykucnął obok Silasa, uściśnął jego zimną dłoń. Jeśli naprawdę wezwali karetkę, nie mieli zbyt wiele czasu.

— To już koniec waszej kariery.

— To był wypadek, widziałeś!

— Wskoczył na...

— Chcecie wiedzieć, co widziałem? — odparł gniewnie Nik. — Widziałem, że zgodził się pan zrobić przysługę siostrzenicy i nastraszyć dzieciaka, z którym pokłóciła się w szkole. Aresztował mnie pan bez nakazu za to, że byłem późno poza domem. A potem, kiedy mój tato wybiegł na drogę, próbując was zatrzymać albo dowiedzieć się o co chodzi, specjalnie go przejechaliście.

— To był wypadek — powtórzył Simon.

— Klóciłeś się w szkole z Mo? — spytał wuj Mo.

— Oboje chodzimy do ósmej be, w szkole w starym mieście — odparł Nik. — A wy zabiliście mojego tatę.

W oddali słyszał syrenę.

— Simon — rzucił wysoki mężczyzna — musimy o tym pogadać.

Przeszli na drugą stronę wozu, pozostawiając Nika samego, wśród cieni, z nieruchomym

Silasem. Nik słyszał, jak dyskutują gorączkowo.

Wśród wielu słów padły takie, jak „twoja cholerna siostrzenica” oraz „gdybyś tylko patrzył na drogę!”. Simon dźgnął palcem Tama w pierś.

— Nie patrz na nas — wyszeptał Nik. — Teraz! — I Zniknął.

Coś zawirowało w ciemności i ciało leżące dotąd na ziemi stało teraz obok niego.

— Zabiorę cię do domu — powiedział Silas. — Złap mnie za szyję.

Nik posłuchał, przywierając mocno do opiekuna. Pomknęli przez noc, zmierzając w stronę cmentarza.

— Przepraszam — powiedział Nik.

— Ja też przepraszam — odparł Silas.

— Czy to bolało? Kiedy dałeś się potrącić?

— Tak. Powinieneś podziękować swojej przyjaciółce czarownicy. Przyszła i mnie znalazła. Powiedziała, że masz kłopoty, i jakie dokładnie.

Wylądowali na cmentarzu. Nik spojrzał na swój dom, jakby go ujrzał po raz pierwszy.

— To, co się dziś stało, było głupie, prawda? To znaczy naraziłem nas na niebezpieczeństwo.

— Nie tylko nas, młody Nikcie Owensie.

— Miałeś rację — przyznał Nik. — Już tam nie wrócę. Nie do tej szkoły i nie w ten sposób.

\*\*\*

Maureen Quilling przeżywała najgorszy tydzień swego życia: Mick Farthing już z nią nie rozmawiał, jej wuj Tam nakrzyczał na nią z powodu Owensa, a potem zabronił wspominać komukolwiek o wydarzeniach tamtego wieczoru, inaczej mógłby stracić pracę, a wówczas nie chciałby być w jej skórze; rodzice byli na nią wściekli, czuła się zdradzona przez cały świat, nawet siódmoklasiści już się jej nie bali. Coś okropnego. Chciała, by ów Owens, którego winiła za wszystko, co ją spotkało, zwijał się z bólu i strachu. Jeśli sądził, że aresztowanie to coś strasznego... Zaczynała snuć skomplikowane plany zemsty, rozbudowane i paskudne. Tylko one sprawiały, że czuła się lepiej. Ale nawet te myśli nie do końca pomagały.

Jeśli istniało coś, czego Mo się bała, to sprzątanie pracowni przyrodniczej — odstawianie na miejsce palników Bunsena, sprawdzanie, czy wszystkie próbówki, szalki Petriego, nieużywane papierowe filtry i tak dalej trafiły tam gdzie powinny.

Ścisłe przestrzegany system rotacyjny sprawiał, że musiała to robić raz na dwa miesiące. Logiczne jednak, że wizyta w pracowni, w dodatku samotna, przypadła właśnie na ten tydzień, najgorszy tydzień jej życia.

Przynajmniej pani Hawkins, ucząca nauk przyrodniczych, wciąż tam była. Zgarniała papiery i zbierała swoje rzeczy, jak to pod koniec dnia pracy. Obecność drugiego człowieka dodawała Mo otuchy.

— Dobrze ci idzie, Maureen — powiedziała pani Hawkins.

Biały wąż w słoju z formaliną patrzył na nie ślepymi oczyma.

— Dziękuję — odparła Mo.

— Czy nie powinno was być dwoje? — spytała pani Hawkins.

— Miałam to robić z Owensem, ale od kilku dni nie zjawia się w szkole.

Nauczycielka zmarszczyła brwi.

— Który to? — spytała z roztargnieniem. — Nie mam go na liście.

— Nick Owens. Dość ciemne włosy, trochę za długie, małowówny. To on potrafił nazwać wszystkie kości na klasówce. Pamięta pani?

— Niespecjalnie — przyznała pani Hawkins.

— Musi pani pamiętać! Dlaczego nikt go nie pamięta?! Nawet pan Kirby!

Pani Hawkins wsunęła do torby resztę kartek i wstała.

— Cóż, doceniam, że robisz to sama, moja droga. Nie zapomnij przed wyjściem przetrzeć wszystkich blatów. I zniknęła, zamykając za sobą drzwi.

Pracownie naukowe były stare, stały w nich długie stoły z ciemnego drewna, z wbudowanymi zaworami gazu, kranami i zlewami, a także ciemne, drewniane regały, na których ustawiono okazy w wielkich budach. Stworzenia pływające w owych butlach nie żyły, i to od bardzo dawna. W kącie pomieszczenia stał nawet poźółkły ludzki szkielet. Mo nie wiedziała, czy był prawdziwy, czy nie, ale w tej chwili budził w niej dreszcz.

Każdy, nawet najśłabszy dźwięk odbijał się echem od ścian. Zapaliła wszystkie lampy, łącznie z tą nad tablicą, po to by poczuć się lepiej. W pokoju zrobiło się zimno, pożałowała, że nie może podkreślić ogrzewania. Podeszła do jednego z dużych metalowych kaloryferów i dotknęła. Niemal parzył. Ona jednak drżała z zimna.

Puste pomieszczenie niepokoiło samą swoją pustką. Mo miała wrażenie, że nie jest sama, że ktoś ją obserwuje. Oczywiście, że mnie obserwują, pomyślała. Sto martwych stworzeń w słojach i wszystkie na mnie patrzą, nie mówiąc już o szkielecie.

Zerknęła na półki. I wtedy martwe stworzenia w słojach zaczęły się poruszać. Wąż o ślepych, mlecznobiałych oczach zwijał się w słoju z alkoholem. Pozbawione pyska kolczaste morskie stworzenie obracało się w swym płynnym domu. Kociak, martwy od dziesięcioleci, odsłonił zęby i zaczął drapać szkło.

Mo zamknęła oczy. To się nie dzieje naprawdę, powiedziała w duchu. Tylko to sobie wyobrażam.

— Nie boję się — oznajmiła głośno.

— To dobrze — odparł ktoś stojący w cieniu obok tylnych drzwi. — Strach to paskudne uczucie.

— Nikt z nauczycieli cię nie pamięta — rzekła.

— Ale ty mnie pamiętasz — odparł chłopak odpowiedzialny za wszystkie jej nieszczęścia. Podniosła szklaną zlewkę i cisnęła w niego. Nie trafiła jednak i naczynie roztrzaskało się o ścianę.

— Jak tam Mick? — spytał chłopak jak gdyby nigdy nic.

— Wiesz jak — warknęła. — Nie odzywa się do mnie, siedzi tylko w klasie, a potem wraca do domu i odrabia zadania. Pewnie w wolnym czasie buduje sobie makietę kolejki.

— To dobrze — mruknął.

— A ty? Od tygodnia nie było cię w szkole. Masz poważne kłopoty, Nicku Owensie. Niedawno była u mnie policja, szukali cię.

— To mi przypomina... Jak tam twój wuj Tam?

Mo nie odpowiedziała.

— W pewnym sensie — rzekł — wygrałaś. Nie wrócę do szkoły. W innym jednak przegrałaś. Czy byłaś kiedyś nawiedzona, Maureen Quilling? Spojrzałaś kiedyś w lustro, zastanawiając się, czy patrzące na ciebie oczy należą do ciebie? Siedziałaś kiedyś w pustym pokoju i nagle uświadomiłaś sobie, że nie jesteś sama? To mało przyjemne.

— Zamierzasz mnie nawiedzać? — Głos jej zadrział.

Nik milczał i tylko patrzył na nią. W przeciwległym kącie pokoju coś trzasnęło, jej torba zsunęła się z krzesła na podłogę. Gdy Mo się obejrzała, przekonała się, że jest sama. A przynajmniej nie ma z nią nikogo, kogo by widziała. Jej droga do domu miała być bardzo długa i bardzo ciemna.

\*\*\*

Chłopiec i jego opiekun stali na szczycie wzgórza, spoglądając na ciągnące się w dole światła miasta.

— Nadal cię boli? — spytał chłopiec.

— Odrobinę — odparł opiekun. — Ale moje rany szybko się goją. Wkrótce będę zupełnie zdrow.

— Czy to cię mogło zabić? No wiesz, kiedy rzuciłeś się pod samochód?

Opiekun pokręcił głową.

— Istnieją sposoby na zabicie takich jak ja, ale nie używa się do tego samochodów. Jestem bardzo stary i bardzo odporny.

— Myliłem się, prawda? — rzekł Nik. — Chodziło o to, żeby nikt mnie nie zauważył, ale ja musiałem wtrącić się do spraw innych dzieciaków i nim się obejrzałem, zjawiała się policja i inne takie. Bo byłem samolubny.

Silas uniósł brwi.

— Nie byłeś samolubny. Musisz przebywać wśród swoich. To zrozumiałe. Tyle że tam, w świecie żywych, jest trudniej i nie możemy tak łatwo cię chronić. Chciałem, żebyś był bezpieczny, ale dla takich jak ty istnieje tylko jedno absolutnie bezpieczne miejsce. Nie dotrzesz w nie, dopóki twoje przygody nie dobiegną końca i nie będą już miały znaczenia.

Nik potarł dłonią o nagrobek Thomasa R. Stauta (1817-1851. Żegnany z głębokim żalem przez wszystkich, którzy go znali), czując mech kruszący się pod palcami.

— On wciąż tam jest — rzekł. — Człowiek, który zabił moją pierwszą rodzinę. Nadal muszę się dowiedzieć jak najwięcej o ludziach. Powstrzymasz mnie przed wyjściem z cmentarza?

— Nie, to był błąd i od tego czasu obaj się czegoś nauczyliśmy.

— A zatem co?

— Postaramy się zaspokoić twoją ciekawość historii, książek i świata. Istnieją jeszcze biblioteki i inne sposoby. A także wiele miejsc, w których możesz znaleźć się wśród innych żywych ludzi, na przykład w teatrze czy kinie.

— Co to takiego? Coś jak piłka nożna? W szkole podobało mi się, jak w nią grali.

— Piłka nożna. Hm. To zwykle nieco za wcześnie jak na mnie — odparł Silas. — Ale panna Lupescu mogłaby zabrać cię na mecz, kiedy znów się tu zjawi.

— Bardzo bym chciał — przyznał Nik.

Ruszyli razem w dół zbocza.

— W ciągu ostatnich kilku tygodni — rzekł Silas — obaj zostawiliśmy po sobie zbyt wiele wspomnień i śladów. Oni wciąż cię szukają, wiesz?

— Już mi mówiłeś — odparł Nik. — Ale skąd ty wiesz? I kim oni są? I czego chcą?

Silas jedynie pokręcił głową i nie zdradził niczego więcej. Na razie Nik musiał się

zadowolić tym, co już wiedział.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

A imię ich Jack

Przez ostatnie kilka miesięcy Silas był bardzo zajęty. Znikał z cmentarza na kilka dni, czasem nawet tygodni. W okresie świąt panna Lupescu zastępowała go trzy tygodnie i Nik jadał z nią posiłki w małym mieszkanku w starym mieście. Zabrała go nawet na mecz piłkarski, tak jak obiecał Silas, ale potem, uszczypnąwszy policzki Nika i nazwawszy go Nimini, swym ulubionym zdrobnieniem, musiała wracać do miejsca, które nazywała „Starym Krajem”.

Teraz nie było ani Silasa, ani panny Lupescu. Państwo Owens siedzieli w grobowcu Josiaha Worthingtona, rozmawiając z gospodarzem. Żadne nie wyglądało na uszczęśliwione.

— Chcecie powiedzieć, że nie uprzedził nikogo z was, dokąd się wybiera i jak macie zająć się dzieckiem? — spytał Josiah Worthington. Gdy Owensowie pokręcili głowami, mruknął: — Gdzie on się podziewa?

Żadne z nich nie potrafiło odpowiedzieć.

— Nigdy dotąd nie zniknął na tak długo — rzekł pan Owens. — A kiedy dziecko się zjawilo, przyrzekł nam. Przyrzekł, że tu będzie albo przyśle kogoś, kto pomoże nam się nim zająć. Przyrzekł.

— Obawiam się, że coś musiało mu się stać. — Pani Owens była bliska łez. A potem ogarnął ją gniew. — To okropne z jego strony! Czy nie istnieje jakiś sposób, by go znaleźć, przywołać z powrotem?

— Nie znam żadnego — przyznał Josiah Worthington. Ale przypuszczam, że zostawił w krypcie pieniądze na jedzenie dla chłopca.

— Pieniądze! — prychnęła pani Owens. — Po co komu pieniądze?

— Będą potrzebne Nikowi, jeśli ma pójść kupić sobie coś do jedzenia — zaczął pan Owens, lecz żona odwróciła się do niego.

— Jesteś równie okropny jak on!

Opuściła grobowiec Worthingtona i ruszyła na poszukiwania syna, którego zgodnie z oczekiwaniami znalazła na szczycie wzgórza. Spoglądał w dół na miasto.

— Grosik za twoje myśli — zagadnęła.

— Nie masz grosika — odparł Nik. Skończył już czternaście lat i był wyższy od matki.

— Mam dwa w trumnie. Pewnie nieco zaśniedziały, ale nadal tam są.

— Myślałem o świecie — powiedział Nik. — Skąd w ogóle wiemy, że człowiek, który zabił moją rodzinę, nadal żyje? Że wciąż tam jest?

— Silas mówi, że tak.

— Ale Silas nie mówi nam niczego innego.

— Chce dla ciebie jak najlepiej — rzekła pani Owens. Wiesz o tym.

— Dzięki — odparł obojętnie Nik. — W takim razie gdzie jest?

Pani Owens nie odpowiedziała.

— Widziałaś człowieka, który zabił moją rodzinę, prawda? W dniu, gdy mnie adoptowałaś.

Pani Owens skinęła głową.

— Jaki on był?

— Patrzyłam wtedy głównie na ciebie. Pomyślmy... Miał ciemne włosy, bardzo ciemne. I bałam się go. Miał ostre rysy twarzy, w oczach głód i jednocześnie wściekłość. Silas go wyprowadził.

— Czemu po prostu go nie zabił? — zapytał gwałtownie Nik. — Powinien był go wtedy zabić.

Pani Owens musnęła grzbiet dłoni Nika zimnymi palcami.

— On nie jest potworem, Niku.

— Gdyby Silas wtedy go zabił, byłbym teraz bezpieczny. Mógłbym pójść dokądkolwiek.

— Silas wie o tych rzeczach więcej niż ty czy ktokolwiek z nas. Wie też dużo o życiu i śmierci — dodała. — To nie takie łatwe.



— Jak się nazywał? — naciskał Nik. — Człowiek, który ich zabił.

— Nie powiedział. Nie wtedy.

Nik przekrzywił głowę, wpatrując się w nią oczami szarymi jak gradowe chmury.

— Ale ty wiesz, prawda?

— Nic nie możesz zrobić — odparła pani Owens.

— Owszem mogę. Mogę się uczyć, mogę nauczyć się wszystkiego, co muszę wiedzieć, wszystkiego co zdołam. Uczyłem się o gbulowych bramach, nauczyłem się Wędrować w Snach. Panna Lupescu nauczyła mnie obserwować gwiazdy, Silas nauczył mnie ciszy. Potrafię Nawiedzać i Znikać. Znam każdy cal tego cmentarza.

Pani Owens dotknęła ramienia syna.

— Pewnego dnia... — zaczęła i się zawahała. Pewnego dnia nie będzie mogła go dotknąć, pewnego dnia on ich opuści. Pewnego dnia. Po chwili podjęła decyzję i zakończyła: — Silas powiedział mi, że człowiek, który zabił twoją rodzinę, nazywał się Jack.

Nik przez chwilę milczał, w końcu pokiwał głową.

— Matko?

— O co chodzi, synu?

— Kiedy Silas wróci?

Z północy powiał zimny nocny wiatr.

Pani Owens nie była już zła. Bała się o syna.

— Chciałabym wiedzieć, mój kochany chłopcze — mruknęła jedynie. — Chciałabym wiedzieć.

\*\*\*

Scarlett Amber Perkins miała piętnaście lat. W tym momencie siedziała na górnym pokładzie starego piętrowego autobusu, kipiąc gniewem. Nienawidziła rodziców za to, że się rozeszli. Nienawidziła matki za to, że ta wyprowadziła się ze Szkocji. Nienawidziła ojca, bo nie obchodziło go, że wyjechała. Nienawidziła tego miasta, bo całkowicie różniło się od Glasgow, w którym dorastała, i ponieważ od czasu do czasu skręcała za róg, dostrzegła coś i świat wokół nagle stawał się boleśnie, straszliwie znajomy.

Tego ranka nie wytrzymała i naskoczyła na matkę.

— W Glasgow przynajmniej miałam przyjaciół! — rzuciła, nie do końca krzycząc, nie do końca płacząc. — Już nigdy ich nie zobaczę.

— Przynajmniej jesteś gdzieś, gdzie już kiedyś byłeś — odparła matka. — To znaczy mieszkaliśmy tu, kiedy byłeś mała.

— Nie pamiętam — warknęła Scarlett. — Poza tym, nikogo tu nie znam. Chcesz, żebym odszukała przyjaciół z czasów, kiedy miałam pięć lat? Czy tego właśnie chcesz?

— Ja cię nie powstrzymuję — rzekła matka.

Scarlett odbębniła dzień w szkole, nadal wściekła. Wciąż czuła gniew.

Nienawidziła szkoły, nienawidziła świata, a w tej chwili nienawidziła zwłaszcza miejskich autobusów.

Co dzień po szkole autobus 97 do centrum zawoził ją spod bramy na koniec ulicy, przy której jej matka wynajęła niewielkie mieszkanie. Owego wietrznego kwietniowego dnia czekała na przystanku niemal pół godziny i nie zjawiono się 97. Gdy zatem zobaczyła 121 z napisem Centrum, wsiadła. Lecz w miejscu, gdzie jej autobus zawsze skręcał w prawo,

ten skręcił w lewo, w głąb starego miasta, mijając ogrody publiczne, na rynek, obok pomnika Josiaha Worthingtona, baroneta, po czym zaczął wspinać się krętą drogą na wzgórze. Po obu stronach sterczały wysokie domy. Na ich widok złość Scarlett zniknęła, zastąpił ją żal nad sobą.

Zeszła na dół, przesunęła się naprzód, przyjrzała tabliczce zabraniającej rozmów z kierowcą w czasie jazdy, po czym rzekła:

— Przepraszam, chciałam się dostać na Acacia Avenue.

Autobus prowadziła rosła kobieta o skórze ciemniejszej nawet niż skóra Scarlett.

— Powinnaś była zatem wsiąść w dziewięćdziesiąt siedem.

— Ale ten też jedzie do centrum.

— Owszem, ale kiedy tam dotrzesz, nadal będziesz musiała się cofnąć. — Kobieta westchnęła. — Najlepiej, żebyś wysiadła tutaj i zeszła ze wzgórza. Przed ratuszem zobaczysz przystanek, zatrzymuje się tam numer cztery i pięćdziesiąt osiem. Oba dowiozą cię prawie na Acacia Avenue. Możesz wsiąść przy ośrodku sportowym i stamtąd pójść pieszo. Zapamiętałaś?

— Czwórka albo pięćdziesiątka ósemka.

— Wypuszczę cię tutaj. — To był przystanek na żądanie, na zboczu, tuż obok wielkiej otwartej żelaznej bramy. Wyglądał niezachęcająco i ponuro. Scarlett stała w otwartych drzwiach autobusu, dopóki kobieta jej nie ponagliła: — No dalej, wyskakuj.

Zeszła na chodnik. Autobus wypuścił obłok czarnego dymu i odjechał z rykiem.

Wiatr kołysał drzewami po drugiej stronie muru.

Scarlett ruszyła na dół. Oto dlaczego potrzebuję komórki, pomyślała. Jeśli spóźniała się nawet pięć minut, matka wpadała w szał, ale nadal nie chciała kupić Scarlett telefonu. No cóż. Będzie musiała znieść kolejny wybuch, nie pierwszy i nie ostatni.

Zrównała się z otwartą bramą. Zajrzała do środka i...

— To dziwne — rzekła na głos.

Istnieje taki zwrot, *déjà vu*, oznaczający, że czujemy się, jakbyśmy coś, co nas spotyka, już kiedyś przeżyli, w jakiś sposób wyśnili to sobie bądź doświadczyli tego w umyśle. Scarlett знаła to uczucie — pewność, że nauczycielka zaraz im powie, że spędziła wakacje w Inverness, albo że ktoś upuścił już kiedyś w identyczny sposób łyżkę. Teraz to uczucie jednak się różniło. To nie było wrażenie, że już odwiedziła to miejsce — to było prawdziwe.

Przeszła przez bramę i znalazła się na cmentarzu.

Niemal spod nóg umknęła jej sroka i wleciała w błysku czerni, bieli i migotliwej zieleni, po czym usiadła na gałęzi cisu, śledząc każdy krok dziewczyny. Za rogiem, pomyślała Scarlett, jest kościół, a przed nim ławka. Skręciła za róg i ujrzała go — znacznie mniejszy niż ten w jej pamięci — złowieszczą, masywną gotycką budowlę z szarego kamienia ze sterczącą w górę wieżą. Przed nią stała zbieleła ze starości drewniana ławka. Scarlett podeszła do niej, usiadła i zaczęła wymachiwać nogami jak mała dziewczynka.

— Halo? Uhm, halo — usłyszała za plecami czyjś głos. Wiem, że to okropnie niegrzeczne z mojej strony, ale zechciałabyś to przytrzymać? Potrzebuję drugiej pary rąk, jeśli to nie kłopot.

Scarlett obejrzała się i ujrzała mężczyznę w płowym płaszczu przeciwdeszczowym, przykucniętego przed nagrobkiem. W rękach trzymał dużą kartkę papieru, która falowała na wietrze. Podeszła do niego.

— Przytrzymaj tutaj — poprosił mężczyzna. — Jedną ręką tu, drugą tam. O tak. Zdaje sobie sprawę, że to okropna śmiałość z mojej strony, i jestem niewiarygodnie wdzięczny. Na ziemi obok siebie ustawił puszkę po herbatnikach. Wyjął z niej coś, co wyglądało jak kredka wielkości niewielkiej świeczki. Zaczął trzeć nią po kamieniu zręcznymi, wyćwiczonymi ruchami.

— No proszę — rzekł wesoło. — I oto jest... Ups, ten zawijas na dole, to pewnie ma być bluszcz: w czasach wiktoriańskich uwielbiali umieszczać go na wszystkim, na czym się dało. To miał być wiele mówiący symbol, rozumiesz... I już, możesz puścić.

Wstał i przeczesał ręką szpakowate włosy.

— Au, muszę się wyprostować, mam mrówki w nogach wyjaśnił. — No i co na to powiesz?

Nagrobek pokrywały zielono-żółte plamy porostów, kamień był tak zwietrzały, że niemal nie dało się odcyfrować napisu. Lecz na kartce widniał wyraźnie.

— Majella Godspeed, Panna z tej Parafii, 1791-1870, Żyje już tylko we Wspomnieniach — odczytała na głos Scarlett.

— I zapewne w nich też już nie — uzupełnił mężczyzna o rzednących włosach.

Uśmiechnął się nieśmiało i mrugnął do niej zza małych okrągłych okularów, które upodabniały go nieco do sympatycznej sowy.

Wielka kropla deszczu chlapnęła na kartkę. Mężczyzna zwinął ją pośpiesznie i chwycił puszkę z kredkami. Do pierwszej kropli dołączyły kolejne. Scarlett wzięła opartą o pobliski grób teczkę, którą wskazał mężczyzna, i podążyła za nim na niewielki ganek kościółka, gdzie deszcz nie mógł ich zmoczyć.

— Ogromnie dziękuję — powiedział mężczyzna. — Nie sądzę, by miało zbytnio padać, dzisiejsza prognoza przepowiadała słoneczną pogodę.

Jakby w odpowiedzi powiał lodowaty wiatr i deszcz rozpadał się na dobre.

— Wiem o czym myślisz — rzekł mężczyzna kopiujący nagrobki.

— Wie pan? — mruknęła. Myślała właśnie: mama mnie zabije.

— Myślisz sobie: czy to kościół, czy kaplica pogrzebowa? A odpowiedź brzmi: z tego, co udało mi się stwierdzić, w tym miejscu istotnie stał kiedyś mały kościół. Pierwotny cmentarz powstał wokół niego, było to około osiemsetnego, dziewięćsetnego roku naszej ery. Później kilkakrotnie przebudowywano go i powiększano, ale w latach dwudziestych dziewiętnastego wieku wybuchł tu pożar. W tamtych czasach cmentarz stał się już za mały dla całego miasta. Miejscowi chodzili do Świętego Dunstana w wiosce. Był to ich kościół parafialny, więc kiedy przyszli odbudować tutejszy, wzniesli kaplicę pogrzebową, zachowując wiele pierwotnych elementów — witrażowe okna w najdalszej ścianie są ponoć oryginalne.

— Szczerze mówiąc — odparła Scarlett — myślałam właśnie, że mama mnie zabije. Wsiadłam do złego autobusu i jestem już spóźniona.

— Dobry Boże, biedactwo — zatroskał się mężczyzna. — Posłuchaj, mieszkam niedaleko, przy tej ulicy. Zaczekaj tu. — To rzekłszy, wcisnął jej w ręce swoją teczkę, puszkę z kredkami i zwiniętą płachtę papieru, po czym ruszył truchcikiem w stronę bramy, zgarbiony w deszczu. Parę minut później Scarlett ujrzała reflektory samochodu i usłyszała klakson.

Pobiegła do wyjścia i zobaczyła samochód, stare mini. Mężczyzna, z którym rozmawiała, siedział za kierownicą. Opuścił szybę.

— Wsiadaj — rzekł. — Dokąd dokładnie mam cię zawieźć?

Po plecach Scarlett spływał deszcz.

— Nie przyjmuję propozycji podwózki od nieznajomych — oznajmiła.

— I bardzo słusznie — zgodził się mężczyzna. — Ale na przysługę odpowiadam przysługą... Sama wiesz. Proszę, wrzucić rzeczy na tylne siedzenie, nim przemokną. — Otworzył drzwi od strony pasażera. Scarlett zajrzała do środka i jak najdelikatniej ułożyła wszystko na tylnej kanapie. Powiem ci coś — rzekł. — Może zadzwonisz do matki — jeśli chcesz skorzystaj z mojego telefonu — i podaj jej mój numer rejestracyjny. Możesz to zrobić, siedząc w samochodzie, inaczej przemokniesz do suchej nitki.

Scarlett się zawahała. Deszcz moczył jej włosy, które zaczynały lepić się do czaszki. Było zimno.

Mężczyzna wyciągnął rękę i wręczył jej komórkę. Scarlett przyjrzała jej się, uświadomiła sobie, że bardziej boi się zadzwonić do matki niż wsiąść do samochodu.

— Mogłabym też zadzwonić na policję, prawda? — rzekła.

— Oczywiście, możesz. Albo pójść pieszo do domu, albo po prostu zadzwonić do matki i poprosić, żeby przyjechała po ciebie.

Scarlett wsiadła do wozu od strony pasażera, zamknęła drzwi. Nadal trzymała w ręce telefon mężczyzny.

— Gdzie mieszkasz? — spytał.

— Naprawdę pan nie musi. To znaczy, może pan mnie wysadzić na przystanku.

— Zawiozę cię do domu. Adres?

— Acacia Avenue sto dwa a. To w bok od głównej drogi, kawałek za ośrodkiem sportowym.

— Faktycznie daleko zajechałaś. No dobrze, jedziemy. Zwolnił hamulec ręczny, zawrócił i skierował się w dół zbocza. — Długo tu mieszkacie?

— Nie, wprowadziłyśmy się tuż po świętach. Ale mieszkaliśmy tu, kiedy miałam pięć lat.

— Czyżbym wyczuwał w twym głosie północny akcent?

— Dziesięć lat spędziłyśmy w Szkocji. Tam mówiłam jak wszyscy. A potem przyjechałam tutaj i teraz wyróżniam się jak wróbel wśród gołębi. — Chciała, by to zabrzmiało jak żart, ale już w chwili, gdy wymawiała te słowa, pojęła, że są prawdą. Dźwięczała w nich gorycz. Mężczyzna zajechał na Acacia Avenue, zaparkował przed domem, po czym uparł się, że odprowadzi ją do drzwi frontowych. Kiedy się otworzyły, powiedział:

— Ogromnie przepraszam, pozwoliłem sobie przywieźć pani córkę. Niewątpliwie dobrze ją pani nauczyła, nie powinna przyjmować propozycji podwiezienia od obcych. Ale pada deszcz, a ona wsiadła w zły autobus i wylądowała po drugiej stronie miasta. Okropne zamieszanie. Mam nadzieję, że znajdzie pani w sercu litość i wybaczy. Jej i, uhm, mnie.

Scarlett spodziewała się, że matka zacznie na nich wrzeszczeć. Ze zdumieniem i ulgą odkryła, że ta powiedziała jedynie: „W dzisiejszych czasach trzeba zachować ogromną ostrożność. Czy pan, uhm, jest nauczycielem? Może napiłby się pan herbaty?”

„Pan Uhm” odparł, że nazywa się Frost, ale może mu mówić Jay. Pani Perkins uśmiechnęła się i powiedziała, że ma na imię Noona, po czym nastawiła wodę.

Przy herbacie Scarlett opowiedziała matce przygodę z pomyłonymi autobusami i o tym, jak znalazła się na cmentarzu i spotkała pana Frosta obok kościółka...

Pani Perkins upuściła filiżankę.

Siedzieli przy stole w kuchni, toteż filiżanka nie poleciała daleko i nie stłukła się. Pani

Perkins przeprosiła niezręcznie i poszła po ścierkę, by wytrzeć kałużę.

— Mówisz o cmentarzu na wzgórzu w starym mieście?

— Mieszkam niedaleko — odparł pan Frost. — Kopiuję tam nagrobki. Wiesz, że technicznie rzecz biorąc, to rezerwat?

— Wiem. — Pani Perkins zacisnęła wargi. — Dziękuję bardzo, że podwiozłeś Scarlett do domu. — Każde słowo przypominało kostkę lodu. — Chyba powinienes już iść.

— Ależ nie przesadzaj — odparł pogodnie Frost. — Nie chciałem cię urazić. Powiedziałem coś nie tak? Kopiuję nagrobki w ramach programu historii lokalnej, nie wykopuję kości ani niczego takiego.

Przez jedną krótką chwilę Scarlett wydawało się, że matka uderzy pana Frosta, który jedynie przybrał zmartwioną minę. Potem jednak pokręciła głową.

— Przepraszam, to historia rodzinna, nie twoja wina. Z wyraźnym wysiłkiem spróbowała się uśmiechnąć. — Wiesz, Scarlett bawiła się kiedyś na tym cmentarzu, gdy była mała. Jakieś, och, dziesięć lat temu. Miała też wymyślonego przyjaciela. Małego chłopca imieniem Nikt.

Kącik ust pana Frosta uniósł się w uśmiechu.

— Duszka?

— Nie wydaje mi się, po prostu tam mieszkał. Pokazała mi nawet grób, w którym sypiał. Przypuszczam zatem, że faktycznie był duchem. Pamiętasz, skarbie?

— Scarlett pokręciła głową.

— Musiałam być dziwnym dzieckiem.

— Z pewnością nie byłaś, uhm, nikim takim — zaprotestował pan Frost. — Wychowałeś świetną dziewczynę, Noono. I cóż za pyszna herbata. Zawsze się cieszę, poznając nowych przyjaciół. Będę już uciekał, muszę sobie przyrządzić obiad, a potem mam spotkanie miejscowego towarzystwa historycznego.

— Sam sobie przyrządzasz obiad? — zdziwiła się pani Perkins.

— Tak, przyrządzam. To znaczy odmrażam. Jestem też mistrzem dań gotowych. Jedzenie dla jednej osoby. Mieszkam sam, no wiesz, zatwardziały stary kawaler. Choć zwykle w gazetach to oznacza geja. Nie jestem gejem, po prostu nie poznałem jeszcze właściwej kobiety. — Przez chwilę wyglądał naprawdę smutno.

Pani Perkins, która nie znosiła gotować, oznajmiła, że w weekendy zawsze gotuje za dużo. I gdy odprowadzała pana Frosta do przedpokoju, Scarlett usłyszała, jak mężczyzna mówi, że z rozkoszą wpadnie na obiad w sobotę.

— Mam nadzieję, że odrobiłaś lekcje — rzekła jedynie pani Perkins po powrocie.

\*\*\*

Tej nocy, leżąc w łóżku, Scarlett rozmyślała o wydarzeniach popołudnia. Zza okna dobiegał szum samochodów przejeżdżających główną drogą. Faktycznie, w dzieciństwie była na tym cmentarzu, to dlatego wszystko wydawało jej się takie znajome.

I gdy tak wspominała i wyobrażała sobie, gdzieś po drodze osunęła się w sen.

Lecz we śnie nadal wędrowała ścieżkami cmentarza. Była noc, ale widziała wszystko równie wyraźnie jak za dnia. Znalazła się na zboczu — był tam chłopiec mniej więcej w jej wieku. Stał zwrócony do niej plecami i spoglądał na światła miasta.

— Chłopcze? — zagadnęła Scarlett. — Co robisz?

Obejrzał się, najwyraźniej miał problemy ze skupieniem wzroku.

— Kto to powiedział? — I po chwili dodał: — A już cię widzę, mniej więcej. Wędrujesz w Snach?

— Chyba po prostu śnię.

— Nie do końca to miałem na myśli — rzekł chłopak. Witaj. Jestem Nik.

— A ja Scarlett.

Przyjrzał jej się ponownie, jakby widział ją po raz pierwszy.

— Oczywiście, że tak! Wiedziałem, że wyglądasz znajomo. Byłaś dziś na cmentarzu z tym człowiekiem, tym z papierami.

— Z panem Frostem — odparła. — Jest bardzo miły, podwiózł mnie do domu. Widziałeś nas?

— Tak, mam oko na większość tego, co się dzieje na cmentarzu.

— Co to za imię Nik?

— Skrót od Nikt.

— Oczywiście! To o to chodzi w tym śnie. Jesteś moim wymyślonym przyjacielem z czasów, kiedy byłam mała. Tylko że dorosłam.

Skinął głową.

Był wyższy od niej, ubrany na szaro, choć nie potrafiła opisać jego stroju. Miał zbyt długie włosy i pomyślała, że od dawna nikt go nie strzygł.

— Byłaś bardzo dzielna — powiedział. — Zeszliśmy głęboko pod wzgórze i zobaczyliśmy Niebieskiego Człowieka. I spotkaliśmy Swija.

I wtedy w jej głowie coś się stało, nagle fala szumu, wir ciemności, zderzenie obrazów.

— Pamiętam — odparła Scarlett. Powiedziała to jednak do ciemności własnej sypialni. W odpowiedzi usłyszała jedynie niski warkot odległej ciężarówki, jadącej przez noc.

\*\*\*

Nik przechowywał w krypcie zapasy niepsującego się jedzenia, a także dodatkowe w kilku chłodniejszych grobowcach, kryptach i mauzoleach. Silas tego dopilnował. Miał dość jedzenia, by przeżyć kilka miesięcy. Dopóki Silas bądź panna Lupescu się nie zjawią, nie zamierzał opuszczać cmentarza.

Tęsknił za światem poza jego bramami, ale wiedział, że nie jest tam bezpieczny. Jeszcze nie. Cmentarz natomiast był jego światem i królestwem, Nik szczycił się nim i kochał go tak, jak tylko może cokolwiek kochać czternastolatek.

A jednak...

Na cmentarzu nikt się nie zmieniał. Dzieci, z którymi się bawił, gdy sam był mały, wciąż pozostały dziećmi. Fortynbras Bartleby, niegdyś jego najlepszy przyjaciel, teraz był cztery, pięć lat młodszy i za każdym kolejnym spotkaniem mieli mniej wspólnych tematów; Thackeray Porringer dorównywał mu wzrostem i traktował go znacznie milej; wieczorami spacerował z Nikiem i opowiadał o strasznych rzeczach, które spotkały jego przyjaciół. Zazwyczaj opowieści te kończyły się powieszeniem, aż do śmierci, bez żadnych przyczyn, z powodu błędów sędziego, choć czasami jedynie zsyłano ich do amerykańskich kolonii i nie musieli umierać, o ile nie wrócili.

Liza Hempstock, przyjaciółka Nika przez ostatnie sześć lat, zachowywała się dziwnie w innym sensie. Rzadziej czekała na niego, kiedy schodził do niej między pokrzywy, a kiedy

już się zjawiała, była złośliwa, nieuprzejma i kłóciła się o wszystko.

Nik spytał o to pana Owensa.

— Takie po prostu są kobiety i już — odparł ojciec po chwili zastanowienia. — Lubiała cię jako chłopca i nie jest pewna, kim stajesz się teraz, gdy dorastasz. Ja sam bawiłem się co dzień z pewną dziewczynką przy kaczym stawie. Kiedy jednak była w twoim wieku, rzuciła w moją głowę jabłkiem i nie odezwała się do mnie, dopóki nie skończyłem siedemnastu lat.

Pani Owens pociągnęła głośno nosem.

— To była gruszka — rzekła cierpko. — I rozmawiałam z tobą całkiem niedługo potem, bo tańczyliśmy razem na weselu twojego kuzyna Neda. Działo się to zaledwie dwa dni po twych szesnastych urodzinach.

— Oczywiście, masz rację, moja duszko. — Mrugnął do Nika na znak, że nie mówi poważnie, i wypowiedział bezdźwięcznie słowo siedemnaście, na znak, że się nie pomylił. Nik nie pozwolił sobie na szukanie przyjaciół wśród żywych. Już w czasie krótkiego szkolnego epizodu zrozumiał, że to tylko kłopot. Pamiętał jednak Scarlett, tęsknił za nią przez wiele lat po jej wyjeździe i już dawno pogodził się z faktem, że nigdy jej nie zobaczy. A teraz była tu, na jego cmentarzu, a on jej nie poznał...

Zapуścił się głębiej w płataninę bluszczu i drzew, która sprawiała, że północno-zachodnia część cmentarza była tak niebezpieczna. Znaki ostrzegały zwiedzających, by omijali ten teren. Nie były jednak potrzebne. Gdy człowiek znalazł się poza kłębowiskiem bluszczu, na końcu Egipskiej Ścieżki, i zostawił za sobą czarne drzwi w fałszywych egipskich ścianach, prowadzące do miejsc ostatniego spoczynku, zaczynał czuć się niepewnie i niesamowicie. Na północnym zachodzie natura odzyskiwała cmentarz już od prawie stu lat. Nagrobki pochylały się, zapomniane groby znikwały pod kłębowiskami bluszczu i stosami liści z ostatnich pięćdziesięciu lat. Ścieżki zarastały, stawały się niedostępne.

Nik szedł ostrożnie. Dobrze znał okolicę i wiedział, jaka może być niebezpieczna.

Miał dziesięć lat i zwiedzał tę część swego świata, kiedy ziemia ustąpiła mu pod nogami i wpadł do dziury głębokiej na niemal siedem metrów. Grób był głęboki, tak by pomieścił wiele trumien, nie miał jednak nagrobka i tylko jedną trumnę, na samym dole, kryjącą szczątki egzaltowanego medyka, dżentelmena nazwiskiem Carstairs, którego zachwyciło przybycie Nika i który się uparł, że sam zbada jego przegub (Nik zwichnął go podczas upadku, chwytając się korzenia), nim w końcu chłopiec przekonał go, by poszedł po pomoc.

Teraz przedzierał się przez północno-zachodnią część cmentarza, brnąc w stertach liści i płataninie bluszczu, pośród którego gnieździły się lisy, a upadłe anioły patrzyły ślepo, poczuł bowiem potrzebę, by pomówić z poetą.

Poeta nazywał się Nehemiah Trot, jego nagrobek pod warstwą zieleni wyglądał następująco:

Tu spoczywają doczesne szczątki

NEHEMIAHA TROTA

POETY

1741-1774

ŁABĘDZIE ŚPIEWAJĄ PRZED ŚMIERCIĄ.

— Panie Trot — zagadnął Nik. — Mógłbym prosić o radę?

Nehemiah Trot uśmiechnął się słabo.

— Oczywiście, mój dzielny chłopcze, rada poetów jest jak łaska królów! Jak mógłbym namaścić mirrą... nie, nie mirrą. Jak miałbym złagodzić balsamem twój ból?

— Tak naprawdę nie cierpię bólu, po prostu... Kiedyś znałem pewną dziewczynę. Sam nie wiem, czy powinienem ją odszukać i porozmawiać z nią, czy też po prostu o niej zapomnieć.

Nehemiah Trot wyprostował się na swą pełną wysokość, choć nadal był niższy od Nika. Podniecony, przycisnął dłonie do piersi.

— Och! — wykrzyknął. — Musisz udać się do niej i błagać ją. Musisz nazwać ją swoją Terpsychorą, swoją Echo, swoją Klitajmnestrą. Musisz pisać dla niej wiersze, poruszające ody — pomogę ci w tym — i w ten oto sposób, i tylko ten, podbijesz jej serce.

— Tak naprawdę nie chcę podbijać jej serca, nie jest moją ukochaną — wyjaśnił Nik — tylko kimś, z kim chciałbym porozmawiać.

— Ze wszystkich narządów — kontynuował Nehemiah Trot — najniezwyklejszy jest język, używamy go bowiem zarówno do smakowania słodkiego wina i gorzkiej trucizny, jak i do wypowiedzania słów zarówno słodkich, jak i cierpkich. Idź do niej! Pomów z nią!

— Nie powinienem.

— Powinieneś, mój panie! Musisz! Napiszę o tym, gdy już przegrasz i zwyciężysz w bitwie.

— Ale jeśli pokażę się jednej osobie, innym łatwiej będzie mnie dostrzec.

— Ach, słuchaj mnie, mój młody Leandrze, młody bohaterze, Aleksandrze — rzucił Nehemiah Trot. — Jeśli na nic się nie odważysz, gdy minie dzień, niczego nie zyskasz.

— Dobrze powiedziane.

Nik był bardzo zadowolony z siebie. Cieszył się, że poprosił o radę poetę.

Doprawdy, pomyślał, jeśli u poety nie zasięgniemy rozsądnej porady, to u kogo? To mu przypomniało...

— Panie Trot — zagadnął — proszę mi opowiedzieć o zemście.

— Najlepiej smakuje na zimno — odparł Nehemiah Trot. Nie daj się ponieść zapałowi chwili, zamiast tego odczekaj do właściwej pory. Przy Grub Street mieszkał pewien pismak nazwiskiem O'Leary — winienem dodać, że krwi irlandzkiej — który ważył się napisać o mym pierwszym skromnym tomiku poezji Bukieciak piękna zebrany przez dżentelmena szlachetnego urodzenia, że jest to nic niewarta kupa łajna, — a papier, na którym go wydrukowano, lepiej posłużyłby... Nie, nie mogę tego powiedzieć. Zgódźmy się po prostu, że było to niezwykle wulgarnie stwierdzenie.

— Ale zemściłeś się na nim. — Nik słuchał z rosnącą ciekawością.

— Na nim i wszystkich jego przeklętych pobratymcach! O tak, zemściłem się, panie Owens, a moja zemsta była straszna. Napisałem i opublikowałem list, który przykleiłem do drzwi wszystkich londyńskich gospód, które nawiedzała żałosna skryberska brać. I wyjaśniłem w nim, że ze względu na kruchość ducha poezji od tej pory nie będę pisał dla nich, lecz jeno dla siebie i potomności i że póki żyję nie opublikuję żadnego więcej wiersza — dla nich. Pozostawiłem tedy instrukcję, by po mojej śmierci me wiersze pogrzebać wraz ze mną, nieopublikowane, i dopiero gdy potomność pojmie mój geniusz i uświadomi sobie, że straciła setki — setki! — moich poematów, dopiero wówczas



trumna zostanie wykopana, wiersze wyjęte z mej zimnej, martwej dłoni, by w końcu ukazać się drukiem ku aprobachie i rozkoszy wszystkich. Straszną jest rzeczą wyprzedzić swe czasy.

— I czy po śmierci wykopali cię i wydali twoje wiersze?

— Nie, jeszcze nie. Ale nadal mam mnóstwo czasu. Potomność jest ogromna.

— Zatem... To była twoja zemsta?

— W istocie, i to niezwykle potężna i przebiegła.

— Ta-ak — mruknął Nik, nieprzekonany.

— Najlepiej. Smakuje. Na. Zimno — rzekł z dumą Nehemiah Trot.

— Nik opuścił północno-zachodnią część cmentarza, powrócił Egipską Ścieżką między łatwiejsze, porządniejsze dróżki i kiedy zapadł zmierzch, skierował swe kroki do starej kaplicy — nie dlatego, że liczył na to, że Silas wrócił z podróży, lecz ponieważ całe życie odwiedzał kaplicę o zmierzchu i uważał, że dobrze jest mieć stały rytm działania. Poza tym był głodny.

Prześliznął się przez drzwi krypty do środka, przesunął kartonowe pudło pełne poskręcanych i wilgotnych dokumentów parafialnych i wyciągnął karton soku pomarańczowego, jabłko, pudełko paluszków i kawał sera. Zjadł, zastanawiając się, jak i czy w ogóle ma odnaleźć Scarlett mógłby powędrować w jej sny, skoro w ten właśnie sposób przyszła do niego...

Ruszył na zewnątrz i już miał usiąść na szarej drewnianej ławie, gdy coś ujrzał i się zawahał. Ktoś już tam był, siedział na ławce. Czytała kolorowe pismo.

Nik Zniknął jeszcze bardziej, stał się częścią cmentarza, nie ważniejszą niż cień czy gałązka. Ona jednak uniosła wzrok i spojrzała wprost na niego.

— Nik? — zapytała. — To ty?

Milczał.

— Dlaczego ty mnie widzisz? — spytał w końcu.

— O mało co bym cię nie zobaczyła. Z początku wzięłam cię za cień czy coś takiego, ale wyglądasz jak w moim śnie i powoli twój obraz się wyostrzył.

Podszedł do ławki.

— Możesz tu czytać? Nie jest za ciemno?

Scarlett zamknęła pismo.

— To dziwne. Można by sądzić, że jest za ciemno, ale czytałam bez żadnych problemów.

— Czy ty... — Urwał, niepewny o co chciał spytać. — Jesteś tu sama?

Skinęła głową.

— Po szkole pomogłam panu Frostowi skopiować kilka nagrobków. Potem powiedziałam mu, że chcę tu trochę posiedzieć i pomyśleć. Obiecałam, że kiedy skończę, wpadnę do niego na herbatę. Potem odwiezie mnie do domu.

Nie pytał nawet dlaczego. Odparł tylko, że on też uwielbia siedzieć na cmentarzach i uważa, że to najspokojniejsze miejsca na świecie. — Spojrzała na niego. — Mogłabym cię uścisnąć?

— A chcesz?

— Tak.

— No to... — Zastanowił się. — Nie mam nic przeciw temu.

— Moje ręce przez ciebie nie przejdą ani nic takiego? Naprawdę tu jesteś?

— Nie przejdiesz przeze mnie — odparł, a ona zarzuciła mu ramiona na szyję i ścisnęła

go tak mocno, że ledwo mógł oddychać. — To boli — mruknął.

— Przepraszam. — Scarlett go puściła.

— Nie, było miłe. To znaczy. Po prostu ścisnęłaś bardziej niż się spodziewałem.

— Chciałam wiedzieć, czy jesteś prawdziwy. Przez te wszystkie lata myślałam, że wymyśliłam sobie ciebie, że siedziałeś w mojej głowie. A potem tak jakby o tobie zapomniałam. Ale cię nie wymyśliłam i wróciłeś, jesteś w mojej głowie, ale też w świecie rzeczywistym.

Nik się uśmiechnął.

— W tamtych czasach nosiłaś kurtkę, była pomarańczowa. Za każdym razem, gdy widziałem ten szczególny odcień, myślałem o tobie. Nie przypuszczam, żebyś wciąż ją miała.

— Nie — odparła — już od bardzo dawna. Teraz byłaby na mnie o wiele za mała.

— Tak — rzekł. — Oczywiście.

— Powinam wracać do domu — oznajmiła Scarlett. Pomyślałam jednak, że może zjawię się w weekend. — A potem, dostrzegłszy wyraz twarzy Nika, dodała szybko: — Dziś mamy środę.

— Bardzo bym chciał.

Odwróciła się do wyjścia.

— Jak cię znajdę następnym razem? — spytała.

— Ja cię znajdę. Nie martw się. Po prostu bądź sama i cię znajdę.

Kiwnęła głową i zniknęła.

Nik wrócił na cmentarz i poszedł na górę aż do mauzoleum Frobisherów. Nie wszedł do środka. Wdrapał się na mur budynku, przytrzymując się gęstego bluszczu, i usiadł na kamiennym dachu, spoglądając na świat poza bramami cmentarza.

Przypomniał sobie, jak to było, gdy Scarlett go przytuliła, jak bezpieczny czuł się przez moment i jak dobrze byłoby krążyć bez lęku po krainach poza cmentarzem. A także, jak dobrze jest być panem swego własnego małego świata.

\*\*\*

Scarlett oznajmiła, że dziękuje za filiżankę herbaty i ciasteczko czekoladowe.

Pan Frost się zatroskał.

— Szczerze mówiąc — rzekł — wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. Właściwie cmentarz to niezłe miejsce na spotkanie z nimi, gdybyś miała taki zamiar. Jedna z moich ciotek twierdziła kiedyś, że jej papuga jest nawiedzona. Szkarłatna ara. To znaczy papuga. Ciotka była architektem. Nigdy nie znałem szczegółów tej historii.

— Nic mi nie jest — odparła Scarlett. — Po prostu miałam ciężki dzień.

— W takim razie podrzucę cię do domu. Masz pojęcie, co tu jest napisane?

Łamię sobie nad tym głowę od pół godziny. — Wskazał leżącą na stoliku odbitkę, przyciśniętą w narożnikach słoikami. — To nazwisko to Gladstone? Jak myślisz? Może to krewny premiera? Nie potrafię odczytać niczego innego.

— Obawiam się, że nie — odparła Scarlett. — Przyjrzę się jeszcze w sobotę, dobrze?

— Czy zjawi się też twoja matka?

— Mówiła, że podrzuci mnie tu rano. Potem musi pojechać zrobić zakupy na nasz obiad. Przyrządza pieczeń.

— Sądziś — spytał z nadzieją pan Frost — że będą też pieczone ziemniaczki?

— Tak podejrzewam, owszem.

Pan Frost się rozpromienił.

— To znaczy, nie chciałbym, żeby wysilała się specjalnie dla mnie.

— Jest zachwycona — powiedziała szczerze Scarlett. Dziękuję, że podwiezie mnie pan do domu.

— Ależ proszę bardzo — odparł pan Frost.

Zeszli razem po stopniach wysokiego, wąskiego domu pana Frosta do drzwi wyjściowych na dole.

\*\*\*

W Krakowie na Wzgórzu Wawelskim jest jaskinia zwana Smoczą Jamą, na pamiątkę od dawna nieżyjącego smoka. Wiedzą o niej turyści. Są też jaskinie poniżej, o których turyści już nie wiedzą i których nie odwiedzają. Ciągną się bardzo daleko i są zamieszkałe.

Silas szedł pierwszy, za nim szara, potężna postać panny Lupescu, drepcząca cicho na czterech łapach. Dalej podążał Kandar — owinięta w bandaże asyryjska mumia z rozłożystymi orlimi skrzydłami i oczami jak rubiny — trzymając pod pachą małe prosię.

Pierwotnie było ich czworo, lecz stracili Haruna w jaskini powyżej, kiedy ifryt, z natury zbyt pewny siebie, jak cała jego rasa, wkroczył w miejsce okolone trzema lustrami z polerowanego brązu i został przez nie pochłonięty w rozbłysku metalicznego światła. Po chwili widzieli go już tylko w zwierciadłach, nie w rzeczywistości. W lustrach ogniste oczy miał szeroko otwarte, a jego usta poruszały się, jakby krzyczał, by uciekali i się strzegli. Potem rozplynął się i zniknął.

Silas, który nie miał problemu z lustrami, zakrył jedno z nich płaszczem, unieszkodliwiając pułapkę.

— A zatem zostało nas troje.

— I świnka — dodał Kandar.

— Czemu? — spytała panna Lupescu, poruszając wilczym językiem między wilczymi kłami. — Czemu świnka?

— Przynosi szczęście — wyjaśnił Kandar.

Panna Lupescu warknęła nieprzekonana.

— Czy Harun miał świnkę? — zapytał z prostotą Kandar.

— Cii — syknął Silas. — Nadchodzą. Sądząc z odgłosów, jest ich wielu.

— Niech tu przyjdą — wyszeptał Kandar.

Futro panny Lupescu się zjeżyło. Milczała, była jednak gotowa i tylko ogromnym wysiłkiem woli powstrzymała chęć uniesienia głowy i zawycia.

\*\*\*

— Tu jest bardzo pięknie — zauważyła Scarlett.

— Tak — odrzekł Nik.

— A zatem twoja rodzina została zamordowana? Czy wiadomo, kto to zrobił?

— Nie, z tego, co wiem, to nie. Mój opiekun mówi jedynie, że człowiek, który to zrobił,

nadal żyje i że któregoś dnia opowie mi resztę.

— Któregoś dnia?

— Kiedy będę gotów.

— Czego on się boi? Że chwycisz spluwę i wyruszysz wyrzucić zemstę na człowieka, który zabił twoją rodzinę?

Nik przyjrzał jej się z powagą.

— No, oczywiście. Tyle że nie spluwę. Ale tak. Coś w tym stylu.

— Żartujesz.

Nie odpowiedział, mocno zaciskając wargi. Pokręcił głową.

— Nie żartuję — rzekł w końcu.

Było słoneczne sobotnie przedpołudnie. Minęli właśnie wylot Egipskiej Ścieżki i znaleźli się w cieniu sosen i rozłożystej araukarii.

— Ten twój opiekun. On też jest martwy?

— Nie rozmawiam o nim — oznajmił Nik.

Scarlett wyglądała na urażoną.

— Nawet ze mną?

— Nawet z tobą.

— Aha — mruknęła. — To bądź sobie taki.

— Posłuchaj, przepraszam, ja nie chciałem — zaczął Nik, lecz w tej samej chwili Scarlett oznajmiła:

— Obiecałam panu Frostowi, że nie zabawię długo. Muszę już wracać.

— Jasne.

Nik martwił się, że ją uraził, i nie miał pojęcia co powiedzieć, by naprawić sytuację.

Patrzył, jak Scarlett maszeruje krętą ścieżką z powrotem do kaplicy. Tuż obok usłyszał przesycony wzdrganiem znajomy kobiecy głos:

— Spójrz tylko, panna nadęta i wyniosła.

Niestety, Nik nie zobaczył nikogo.

Czując się dziwnie niezręcznie, wrócił na Egipską Ścieżkę. Panny Lilibet i Violet pozwoliły mu ukryć w swej krypcie kartonowe pudła pełne starych książek.

Miał ochotę poczytać.

\*\*\*

Scarlett aż do południa pomagała panu Frostowi kopiować nagrobki. Wówczas przerwali, by zjeść lunch. zaproponował, że w ramach podziękowania kupi jej rybę z frytkami, i ruszyli razem do frytkami na końcu ulicy. Wracając na wzgórze, zajadali wprost z torebek parujące kawałki ryby i ziemniaków, pokropione octem i połyskujące od soli.

— Gdyby chciał się pan dowiedzieć czegoś o morderstwie — spytała Scarlett — gdzie by pan szukał? W Internecie już sprawdzałam.

— Uhm. To zależy. O jakim morderstwie mówimy?

— Chyba o czymś miejscowym. Jakies trzynaście, czternaście lat temu gdzieś tutaj zamordowano całą rodzinę.

— Ojejku — zdziwił się pan Frost. — To się zdarzyło naprawdę?

— O tak. Nic panu nie jest?

— Nie, nie, ale możesz mnie uznać za mięczaka. Nie lubię myśleć o takich rzeczach, o miejscowych, prawdziwych zbrodniach. O tym, że mogły się zdarzyć właśnie tutaj. Nie przypuszczałem, że coś podobnego mogłoby zainteresować dziewczynę w twoim wieku.

— To nie dla mnie — przyznała Scarlett — tylko dla przyjaciela.

Pan Frost skończył jeść smażonego dorsza.

— Chyba w bibliotece. Jeśli nie ma nic w Internecie, to będzie w archiwum gazet. Co skłoniło cię do poszukiwań?

— Och, och... — Scarlett starała się jak najmniej kłamać. Jeden chłopak, którego znam, pytał o to.

— Zdecydowanie biblioteka. Morderstwo. Brr. Aż mnie dreszcz przeszedł.

— Mnie też — przyznała Scarlett. — Odrobinę. — Po czym dodała z nadzieją: — Czy mógłby pan podwieźć mnie dziś po południu do biblioteki?

Pan Frost przegryzł na pół frytkę, przeżuł i zawiedziony przyjrzał się reszcie.

— Frytki strasznie szybko stygną, prawda? W jednej chwili parzą ci usta, w następnej zastanawiasz się, jak mogły tak szybko wystygnać.

— Przepraszam — rzuciła Scarlett — nie powinnam prosić, by wciąż gdzieś mnie pan podwoził.

— Ależ nie, nie. Po prostu zastanawiałem się, jak najlepiej zorganizować to popołudnie i czy twoja matka lubi czekoladki. Butelkę wina czy czekoladki? Sam nie wiem. A może jedno i drugie?

— Sama trafię do domu z biblioteki, a mama uwielbia czekoladki. Ja także.

— W takim razie czekoladki — powiedział z ulgą pan Frost. Dotarli do środka rzędu wysokich szeregowców na wzgórzu i małego zielonego mini zaparkowanego przy wejściu. — Wsiadaj, podrzucę cię do biblioteki.

\*\*\*

Biblioteka mieściła się w kanciastym budynku z cegły i kamienia, pochodzącym z początków zeszłego stulecia. Scarlett rozejrzała się i podeszła do biurka.

— Tak? — spytała siedząca za nim kobieta.

— Chciałabym zobaczyć wycinki ze starych gazet.

— Czy to projekt szkolny?

— Z historii lokalnej — potwierdziła Scarlett, dumna, że nie skłamała.

— Archiwum miejscowej gazety mamy na mikrofilmach — oznajmiła kobieta.

Była wysoka, w uszach miała srebrne kółka. Scarlett czuła, jak wali jej serce, była pewna, że wygląda podejrzanie, lecz bibliotekarka zaprowadziła ją do pokoju pełnego urządzeń przypominających ekrany komputerowe i pokazała jak ich używać, by wyświetlić na ekranie kolejne strony gazet. — W końcu kiedyś wszystko zeskanujemy — rzekła. — O jakie daty ci chodzi?

— Jakieś trzynaście, czternaście lat temu — odparła Scarlett. — Niestety, nie mogę określić dokładniej. Ale kiedy zobaczę te informacje, to je poznam.

Kobieta wręczyła jej niewielkie pudełko zawierające pięć roczników gazety na mikrofilmach.

— Możesz szaleć — rzekła.

Scarlett zakładała, że morderstwo rodziny powinno trafić na pierwszą stronę.

Kiedy jednak w końcu je znalazła, tkwiło niemal całkowicie ukryte na stronie piątej. Stało się to w październiku, czternaście lat wcześniej. Sam tekst nie zawierał żadnych szczegółów, opisów, tylko prostą relację:

„Architekt Ronald Dorian, 36, jego żona Carlotta, 34, wydawca, i ich córka Misty, 7, zostali znalezieni martwi przy Dunstan Road 33. Policja podejrzewa udział osób trzecich. Rzecznik oświadczył, że na tym etapie jest zbyt wcześnie, by komentować stan śledztwa, ale sprawdzają poważne tropy”.

Nie wspomniano o tym, jak zginęła rodzina ani o zaginionym dziecku. Przez następne tygodnie nie wracano do sprawy. Policja nigdy jej nie skomentowała, a przynajmniej Scarlett nie znalazła żadnych śladów.

Ale to było to. Bez wątpienia. Dunstan Road 33. Znała ten dom. Była w nim.

Zaniosła pudełko mikrofilmów do głównej sali, podziękowała bibliotekarce i ruszyła do domu w kwietniowym słońcu. Matka krzątała się w kuchni i sądząc ze smrodu przypalonego garnka unoszącego się w całym mieszkaniu, nie szło jej najlepiej. Scarlett wycofała się do swego pokoju, otworzyła szeroko okna, by go wywietrzyć, po czym usiadła na łóżku i zadzwoniła.

— Halo? Pan Frost?

— Scarlett, wszystko w porządku? Plany na wieczór się nie zmieniły? Jak twoja matka?

— Wszystko jest pod kontrolą — odparła Scarlett, bo tak właśnie odpowiadała na podobne pytania mama. — Uhm, panie Frost, od jak dawna mieszka pan w swoim domu?

— Od jak dawna? Jakies cztery miesiące.

— Jak go pan znalazł?

— Przez agencję nieruchomości. Był pusty i było mnie na niego stać. No, mniej więcej. Poza tym szukałem czegoś w pobliżu cmentarza i nadawał się idealnie.

— Panie Frost... — Scarlett zastanawiała się jak to powiedzieć. — Jakies trzynaście lat temu w pana domu zamordowano trzy osoby. Rodzinę Dorianów.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza.

— Panie Frost? Jest pan tam?

— Uhm. Tak, wciąż tu jestem, Scarlett. Przepraszam. Po prostu nie spodziewałem się usłyszeć czegoś takiego. To stary dom, jasne, i wiadomo, że dawno temu działy się w nim różne rzeczy. Ale nie... Co właściwie się stało?

Scarlett zastanawiała się ile mu powiedzieć.

— Znalazłam krótką notkę w starej gazecie. Podawała jedynie adres i nic więcej. Nie wiem, jak zginęli ani nic takiego.

— No cóż. Wielkie nieba. — Pan Frost sprawiał wrażenie bardziej zaintrygowanego wieściami niż przypuszczała. — Tu, moja młoda Scarlett, zaczyna się rola lokalnych historyków. Zostaw to mnie. Dowiem się wszystkiego, czego zdołam, i opowiem ci.

— Dziękuję — rzekła z ulgą Scarlett.

— Uhm. Zakładam, że dzwoniś teraz dlatego, że gdyby Noona dowiedziała się, że w moim domu doszło do morderstwa, nawet przed trzynastu laty, nigdy już nie puściłaby cię do mnie ani na cmentarz. Zatem, uhm, nie będę o tym wspominał, chyba że ty zaczniesz.

— Dziękuję, panie Frost!

— Do zobaczenia o siódmej. Z czekoladkami.

Obiad okazał się niezwykle przyjemny. Zapach spalenizny zniknął z kuchni. Kurczę było dobre, sałatka jeszcze lepsza, pieczone ziemniaki nieco za chrupkie, lecz zachwycony pan Frost wykrzyknął, że właśnie takie lubi, i wziął solidną dokładkę.

Kwiaty zostały przyjęte ciepło, czekoladki podane na deser okazały się doskonałe, a pan Frost siedział z nimi i rozmawiał, a potem oglądał telewizję aż do dziesiątej, kiedy to oznajmił, że musi wracać do domu.

— Czas, życie i badania historyczne nie czekają na nikogo — rzekł. Uścisnął z entuzjazmem dłoń Noony, mrugnął porozumiewawczo do Scarlett i zniknął.

Tej nocy Scarlett próbowała odnaleźć Nika w swoich snach; myślała o nim, zasypiając, wyobrażała sobie, że spaceruje po cmentarzu i go szuka, lecz zamiast tego przyśniła jej się wędrówka po centrum Glasgow z przyjaciółmi z dawnej szkoły.

Szukali pewnej szczególnej ulicy, a znajdowali jedynie kolejne ślepe zaułki.

\*\*\*

Głęboko pod wzgórzem w Krakowie, w najgłębszej krypcie pod jaskinią zwaną Smoczą Jamą, panna Lupescu potknęła się i upadła.

Silas przykucnął obok i objął jej głowę dłońmi. Na twarzy miała krew. Również swoją.

— Musicie mnie zostawić — rzekła. — Ratuście chłopca. W połowie przemieniona, była pół wilkiem, pół kobietą, lecz twarz miała kobiety.

— Nie — rzekł Silas. — Nie zostawię cię.

Za nimi Kandar tulił prosię, tak jak dziecko tuli lalkę. Jego lewe skrzydło zwisało strzaskane. Nigdy już nie miał wzlecieć, lecz jego brodata twarz pozostawała niewzruszona.

— Oni wrócą, Silasie — wyszeptła panna Lupescu. A wkrótce wszędzie słońce.

— W takim razie — odparł Silas — musimy się z nimi rozprawić, nim będą gotowi do ataku. Dasz radę wstać?

— Da. Jestem jednym z Ogarów Boga — oznajmiła panna Lupescu. — Ustoję.

Pochyliła głowę i rozprostowała palce. Gdy znów się wyprostowała, miała głowę wilka. Postawiła na skale przednie łapy i z wysiłkiem dźwignęła się z ziemi: szara wilczyca większa od niedźwiedzia, z pyskiem i futrem poplamionymi krwią. Uniosła głowę i zawyla z wściekłością, wyzywająco, jej wargi uniosły się, odsłaniając kły.

Powoli opuściła łeb.

— Teraz — warknęła — zakończymy to.

\*\*\*

Późnym niedzielnym popołudniem zadzwonił telefon. Scarlett siedziała na dole, mozolnie przerysowując twarze z czytanej właśnie mangi na kartkę papieru.

Odebrała matka.

— Zabawne, właśnie o tobie rozmawialiśmy — rzekła, choć wcale tak nie było. -

Naprawdę cudownie — ciągnęła matka — świetnie się bawiłam. Wierz mi, to żaden kłopot. Czekoladki? Doskonałe. Naprawdę doskonałe. Mówiłam właśnie Scarlett, że jeśli tylko będziesz miał ochotę na dobry obiad, daj mi znać. Scarlett? Tak, jest tutaj, już ją dają. Scarlett?

— Jestem, mam — odparła Scarlett. — Nie musisz krzyczeć. — Wzięła słuchawkę. — Pan Frost?

— Scarlett? — W jego głosie dźwięczało podniecenie. Chodzi o, uhm, o to, o czym rozmawialiśmy. To, co się stało w moim domu. Powiedz swojemu przyjacielowi, że się dowiedziałem... Uhm. Posłuchaj, kiedy mówiłaś „przyjaciel”, to w sensie „tak naprawdę mowa o tobie” czy też ten ktoś istnieje naprawdę, jeśli wybaczysz mi to pytanie?

— Mam prawdziwego przyjaciela, który chce się dowiedzieć — odrzekła z rozbawieniem Scarlett.

Matka zerknęła na nią pytająco.

— Powiedz swojemu przyjacielowi, że trochę pokopałem, nie dosłownie, raczej grzebałem, to znaczy szukałem, i to całkiem sporo, i chyba dokopałem się do prawdziwych informacji. Natrafiłem na coś ukrytego, nie coś co powinniśmy rozpowiadać, ale... Uhm. Dowiedziałem się pewnych rzeczy.

— Na przykład? — naciskała Scarlett.

— Posłuchaj... Nie myśl tylko, że oszalałem. Ale z tego, co mi wiadomo, zginęły trzy osoby. A jedna — małe dziecko — nie. Rodzina nie liczyła sobie trzech osób, tylko — cztery. Jedynie trzy zginęły. Są też rzeczy, o których wołałbym nie rozmawiać przez telefon. Powiedz mu, temu swojemu przyjacielowi, żeby mnie odwiedził. Opowiem mu wszystko.

— Powtórzę mu — obiecała Scarlett. Odłożyła słuchawkę. Serce waliło jej jak młotem.

\*\*\*

Nik po raz pierwszy od sześciu lat znalazł się na wąskich kamiennych schodach.

Jego kroki odbijały się echem w komnacie wewnątrz wzgórza.

Dotarł na dół i zaczekał, aż pojawi się Swij. Czekał tak i czekał, lecz nic się nie pokazało. Nic nie szeptało, nic się nie poruszyło.

Rozejrzał się wokół. Nie przeszkadzała mu głęboka ciemność, bo widział wszystko wzrokiem umarłych. Podeszedł do płyty ołtarza w podłodze, na której spoczywały kielich, brosza i kamienny nóż.

Wyciągnął rękę i dotknął krawędzi noża. Był ostrzejszy, niż Nik się spodziewał, i skaleczył go w palec.

— TO SKARB SWIJA — wyszeptał potrójny głos, brzmiał jednak ciszej, niż Nik go zapamiętał, mniej pewnie.

— Jesteś najstarszą istotą na cmentarzu — powiedział Nik. — Przyszedłem z tobą porozmawiać. Szukam rady.

Chwila ciszy.

— NIC NIE PRZYCHODZI DO SWIJA PO RADĘ. SWIJ STRZEŻE. SWIJ CZEKA.

— Wiem. Ale Silasa tu nie ma, a ja nie wiem, z kim jeszcze mógłbym porozmawiać.

Brak odpowiedzi, jedynie cisza, w której dźwięczał kurz i samotność.

— Nie wiem co robić — przyznał szczerze Nik. — Chyba mogę się dowiedzieć, kto zabił moją rodzinę. Kto chciał zabić mnie. Oznacza to jednak, że muszę opuścić cmentarz.

Swij milczał. Macki dymu powoli wily się wewnątrz komnaty.

— Nie boję się śmierci — ciągnął Nik. — Tyle że tak wiele osób starało się utrzymać mnie bezpiecznie przy życiu, uczyło mnie, chroniło.



I znów cisza.

A potem powiedział:

– Muszę to zrobić sam.

– TAK.

– W takim razie to wszystko. Przepraszam, że ci przeszkodziłem.

I wówczas w głowie Nika odezwał się głos, oślizgły, sugestywny głos:

– SWIJOWI NAKAZANO STRZEC SKARBU AŻ DO POWROTU NASZEGO MISTRZA. CZY JESTEŚ NASZYM MISTRZEM?

– Nie – odparł Nik.

– CZY ZOSTANIESZ NASZYM MISTRZEM? – W głosie pojawiła się bolesna nadzieja.

– Obawiam się, że nie.

– GDYBYŚ BYŁ NASZYM MISTRZEM, MOGLIBYŚMY NA ZAWSZE ZAMKNAĆ CIĘ W NASZYCH SPLOTACH. GDYBYŚ BYŁ NASZYM MISTRZEM, CHRONILIBYŚMY CIĘ I STRZEGLI AŻ DO KRESU CZASU I NIE POZWOLILI ZNOSIĆ TRUDÓW ŚWIATA.

– Nie jestem twoim mistrzem.

– NIE.

Nik czuł, jak Swij zwija mu się w umyśle.

– W TAKIM RAZIE ODNAJDŹ SWOJE IMIĘ – rzekł.

A potem jego umysł stał się pusty, podobnie komnata, i Nik został sam.

Ostrożnie, lecz szybko wspiał się po schodach. Podjął decyzję i musiał działać, dopóki płonęła w jego głowie.

Scarlett czekała na ławce przy kaplicy.

– I co? – spytała.

– Zrobię to. Chodź.

Ręka w rękę ruszyli ścieżką w stronę bramy.

\*\*\*

Numer 33 okazał się wysokim, zaskakująco wąskim domem pośrodku rzędu szeregowców. Zbudowany z czerwonej cegły, niczym się nie wyróżniał. Nik przyjrzał mu się niepewnie, zdziwiony, że nie wygląda znajomo ani wyjątkowo. To był tylko dom, jak każdy inny. Małe, wybetonowane miejsce przed nim nie zasługiwało na nazwę ogrodu, a na ulicy parkowało zielone mini. Frontowe drzwi pomalowano kiedyś jaskrawobłękitną farbą, która wyblakła z czasem na słońcu.

– I co? – spytała Scarlett.

Nik zastukał do drzwi. Najpierw odpowiedziała cisza, potem tupot stóp na schodach. Drzwi się otwały. Stał w nich mężczyzna w okularach, o rzadziejących siwych włosach, który zamrugał, po czym wyciągnął do Nika rękę i uśmiechnął się nerwowo.

– Ty musisz być tajemniczym przyjacielem panny Perkins. Miło mi cię poznać.

– To jest Nik – przedstawiła Scarlett.

– Nicholas?

– Nik, przez samo k – rzekła. – Niku, to jest pan Frost.

Nik i Frost uścisnęli sobie dłonie.

– Parzę herbatę – oznajmił pan Frost. – Co powiecie na wymianę informacji nad filiżaneczką?

Ruszyli za nim na górę, do kuchni, gdzie gospodarz nalał herbaty do trzech kubków i zaprowadził ich do małego salonu.

— Dom ciągnie się i ciągnie do góry — wyjaśnił. — Na następnym piętrze jest toaleta i mój gabinet, a wyżej sypialnie. Przez te schody przynajmniej nieźle się nagimnastykuje. Usiedli na wielkiej fioletowej kanapie („była tu już, gdy się wprowadziłem”) i zaczęli saczyć herbatę.

Scarlett obawiała się, że pan Frost zasypie Nika pytaniami. Ale nie, sprawiał jedynie wrażenie podekscytowanego, jakby zidentyfikował zaginiony grobowiec kogoś sławnego i desperacko pragnął ogłosić to światu. Cały czas wiercił się niecierpliwie w fotelu, jak gdyby miał im coś ogromnie ważnego do powiedzenia i niewyrzucenie tego z siebie od razu stanowiło niemal fizyczny wysiłek.

— I czego się pan dowiedział? — spytała.

— No cóż, miałaś rację — odparł pan Frost. — To znaczy, to istotnie jest dom, w którym zginęli ludzie, i myślę... Myślę, że zbrodnia ta została... no, nie do końca wyciszona, ale zapomniana... Zlekceważona przez władze.

— Nie rozumiem — przyznała Scarlett. — Morderstw nie zamiata się pod dywan.

— To zamieciono — oświadczył Frost, opróżniając filiżankę. — Pewni ludzie mają duże wpływy. To jedyne możliwe wyjaśnienie sprawy. A także tego, co się stało z najmłodszym dzieckiem.

— To znaczy? — wtrącił Nik.

— Chłopiec przeżył — powiedział Frost. — Jestem tego pewien. Ale nie zorganizowano poszukiwań. W zwykłych okolicznościach zaginiony dwulatek trafiłby do wszystkich gazet. Ale oni, uhm, musieli jakoś to wyciszyć.

— Jacy oni? — naciskał Nik.

— Ci sami, którzy kazali zamordować rodzinę.

— Wie pan coś więcej?

— Tak. No, odrobinę. — Frost urwał. — Przepraszam. Ja. Posłuchaj. Po prostu to wszystko, co odkryłem. To niewiarygodne.

Scarlett zaczęła się denerwować.

— Ale co? Co pan odkrył?

Frost spojrzał na nią zawstydzony.

— Masz rację. Przepraszam. Zaczynam mieć przed wami sekrety. To kiepski pomysł, historycy nie ukrywają prawdy. My ją wydobywamy. Pokazujemy ludziom. Tak. — Zawahał się, po czym rzekł: — Znalazłem list. Na górze. Był ukryty pod obluźowaną deską podłogi. — Odwrócił się do Nika. — Młodzieńcze, czy mam rację, zakładając, że twoje, no cóż, zainteresowanie tą sprawą, tą straszną sprawą, jest natury osobistej?

Nik przytaknął.

— Nie będę pytał więcej. — Pan Frost wstał. — Chodź rzekł do Nika. — Ale nie ty — dodał, zwracając się do Scarlett. — Jeszcze nie. Pokażę to jemu, a jeśli uzna, że mogę, pokażę też tobie. Umowa stoi?

— Stoi — odparła Scarlett.

— To nie potrwa długo — powiedział pan Frost.

Nik wstał, zerknął z troską na Scarlett.

— W porządku. — Uśmiechnęła się do niego, starając się dodać mu otuchy. — Zaczekam tu na was.

Obserwowała ich cienie, gdy wychodzili z pokoju i maszerowali na górę.

Ogarnął ją niepokój. Wyczekując nerwowo, zastanawiała się, czego się dowie Nik, i cieszyła się, że usłyszy to pierwszy. W końcu to była jego historia. Jego prawo.

Na schodach pan Frost prowadził.

Wspinając się na górę, Nik rozglądał się wokół, lecz nic nie wydawało mu się znajome. Wszystko było zupełnie obce.

— Na samiutką górę — mówił pan Frost. Pokonali kolejne piętro. — Ja nie... Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz, ale... Uhm, ty jesteś tym chłopcem, prawda?

Nik milczał.

— To tutaj. — Pan Frost przekręcił klucz w drzwiach u szczytu domu, otworzył je pchnięciem i weszli do środka.

Pokój był mały, pod ukośnym dachem. Trzydzieści lat wcześniej stało w nim łóżeczko, dziś ledwie mieścił się mężczyzna i chłopiec.

— Łut szczęścia, doprawdy — rzekł pan Frost. — Można tak rzec. Pod samym moim nosem. — Przykucnął i pociągnął wyświeconą wykładzinę.

— Wie pan zatem, czemu zamordowano moją rodzinę? — spytał Nik.

— Wszystko jest tutaj — oświadczył pan Frost. Przyłożył rękę do krótkiej deski i zaczął pchać, aż w końcu zdołał ją wyjąć. — Kiedyś mieścił się tu pokój dziecienny. Pokażę ci coś... Tak naprawdę nie wiemy tylko jednego: kto to zrobił. Nie mamy pojęcia. Najmniejszego.

— Wiemy, że ma ciemne włosy — oznajmił Nik w pokoju, który niegdyś należał do niego.

— I wiemy, że nazywa się Jack.

Pan Frost wsunął dłoń w zagłębienie pod deską.

— Minęło już prawie trzydzieści lat — rzekł. — Przez trzydzieści lat włosy mogą zrzednąć i posiwieć. Ale tak, zgadza się. To wciąż Jack.

Wyprostował się. Dłoń, która sięgnęła do skrytki, dzierżyła teraz wielki ostry nóż.

— Już — powiedział mężczyzna imieniem Jack. — Już, chłopcze. Czas to zakończyć.

Nik przyglądał mu się. Sympatyczny gospodarz zniknął bez śladu, zupełnie jakby pan Frost był płaszczem bądź kapeluszem, który przywdział ów mężczyzna, a teraz odrzucił.

Światło odbijało się od jego okularów i od klingi noża.

Z dołu ktoś ich zawołał. Scarlett.

— Panie Frost?! Ktoś puka do drzwi frontowych, mam otworzyć?

Mężczyzna imieniem Jack jedynie na moment odwrócił wzrok, lecz Nik wiedział, że ma tylko tę chwilę, i zniknął, tak całkowicie jak tylko umiał. Gdy mężczyzna znów na niego spojrział, zaczął rozglądać się po pokoju. Na jego twarzy zdumienie walczyło z wściekłością. Postąpił krok w głąb pokoju, obracając głowę tam i z powrotem, niczym stary tygrys próbujący wywęszyć zdobycz.

— Jesteś tu gdzieś — warknął. — Czuję cię.

Za jego plecami małe drzwi sypialni na strychu zatrzasnęły się. Obracając się, usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

Mężczyzna imieniem Jack podniósł głos.

— Zyskałeś kilka chwil, ale to mnie nie powstrzyma, chłopcze! — zawołał przez zamknięte drzwi. Po czym dodał: — Mamy niedokończone sprawy, ty i ja.

\*\*\*

Nik rzucił się ze schodów, odbijając się od ścian, niemal lecąc naprzód, byle tylko jak najszybciej dotrzeć do Scarlett.

— Scarlett! — krzyknął, gdy ją zobaczył. — To on! Chodź!

— Kto? O czym ty mówisz?

— On! Frost. To Jack, próbował mnie zabić!

W tym momencie na górze coś huknęło. To mężczyzna imieniem Jack kopnął drzwi.

— Ale... — Scarlett próbowała zrozumieć to co słyszy. Ale on jest miły.

— Nie. — Nik złapał ją za rękę i pociągnął na dół do przedpokoju. — Nie jest.

Scarlett otworzyła szarpnięciem drzwi.

— Ach, dobry wieczór, młoda damo. — Stojący za nimi mężczyzna spojrzał na nią z góry.

— Szukamy pana Frosta. Mam wrażenie, że mieszka w tej okolicy. — Miał srebrzystoszare włosy i pachniał wodą kolońską.

— Panowie są jego przyjaciółmi? — spytała.

— O tak — odparł drobniejszy mężczyzna stojący za pierwszym. Miał mały czarny wąsik, a na głowie kapelusz.

— Z całą pewnością — dodał trzeci, młodszy, potężny nordycki blondyn.

— Do ostatniego Jacka — rzekł czwarty, rosły, podobny do byka, z masywną głową. Skórę miał brązową.

— On. Pan Frost musiał wyjść — wyjaśniła.

— Ale jego samochód tu jest — zauważył siwowłosy.

— A kim ty jesteś? — spytał jednocześnie blondyn.

— To przyjaciel mojej mamy — odparła Scarlett.

Teraz widziała Nika po drugiej stronie grupki. Gestykulował gorączkowo, by zostawiła mężczyzn i poszła za nim.

— Musiał wyskoczyć na chwilę — rzekła najlżej jak umiała. — Po gazetę, do kiosku na rogu. — Zamknęła za sobą drzwi, ominęła mężczyzn i ruszyła naprzód.

— Dokąd idziesz? — spytał wąsaty.

— Muszę złapać autobus — rzekła.

Maszerowała w górę, w stronę przystanku i cmentarza i z całym rozmysłem ani razu nie obejrzała się za siebie. Nik szedł obok, nawet Scarlett wydawał się tylko niewyraźnym cieniem w zapadającym zmierzchu, jak coś, co niemal nie istnieje, migotanie rozgrzanego powietrza nad asfaltem, kapryśny liść, który przez moment wydał jej się chłopcem.

— Idź szybciej — polecił. — Wszyscy na ciebie patrzą. Ale nie biegnij.

— Kto to? — spytała cicho Scarlett.

— Nie wiem — odparł Nik. — Ale sprawiają dziwne wrażenie. Jakby nie byli prawdziwymi ludźmi. Chcę wrócić i ich posłuchać.

— Oczywiście, że to ludzie. — Scarlett przyspieszyła kroku. Nie miała pewności czy Nik nadal jej towarzyszy.

Czterej mężczyźni stali w drzwiach numeru 33.

— Nie podoba mi się to — oznajmił masywny z byczym karkiem.

— Nie podoba, panie Matros? — odparł siwy. — Żadnemu z nas się to nie podoba. Nie tak, wszystko jest nie tak.

— Kraków zamilkł. Nie odpowiadają. A po Melbourne i Vancouver — zaczął wąsaty — z

tego, co wiemy, zostaliśmy tylko my.

— Ciszej proszę, panie Kacie — rzekł siwowłoso. — Myślę.

— Przepraszam pana — odparł pan Kat i pogładził wąż palcem w rękawiczce.

Spojrzał w górę i zagwizdał przez zęby.

— Myślę, że powinniśmy pójść za nią — oznajmił byczy kark, pan Matros.

— A ja myślę, że powinniście słuchać mnie — uciął siwowłoso. — Powiedziałem „cicho” i macie być cicho.

— Przepraszam, panie Dandysie — mruknął jasnowłoso.

Umilkli. W ciszy usłyszeli łoskot dobiegający z poddasza domu.

— Wchodzę tam — oznajmił pan Dandys. — Panie Matrosie, idzie pan ze mną.

Zręczny i Kat, złapcie tę dziewczynę i sprowadźcie tutaj.

— Żywą czy martwą? — spytał z przebiegłym uśmiechem pan Kat.

— Żywą, kretynie — uciął pan Dandys. — Chcę się dowiedzieć, co ona wie.

— Może to jedna z nich? — podsunął pan Matros. — Tych, którzy nas załatwili w Vancouver, Melbourne i...

— Łapcie ją — przerwał pan Dandys. — Łapcie, i to już.

Jasnowłoso mężczyzna i wążacz w kapeluszu pośpieszyli na wzgórze.

Pan Dandys i pan Matros stali przed drzwiami numeru 33.

— Wyważ — polecił pan Dandys.

Pan Matros przyłożył ramię do drzwi i zaczął napierać całym ciężarem.

— Są wzmocnione — oznajmił. — Chronione.

— To, co jeden Jack napsuł, drugi zawsze zdoła naprawić. — Siwowłoso zdjął rękawiczkę, przytknął dłoń do drzwi i wymamrotał coś w języku starszym niż angielski. — Proszę spróbować teraz — polecił.

Matros oparł się o drzwi, sapnął i pchnął. Tym razem zamek ustąpił i drzwi się otwały.

— Niezła robota — pogratulował pan Dandys.

Wysoko nad nimi, blisko szczytu domu coś huknęło.

Mężczyzna imieniem Jack spotkał się z nimi w połowie schodów. Pan Dandys uśmiechnął się do niego bez rozbawienia, ukazując idealne zęby.

— Witaj, Jacku Mrozie — rzekł. — Sądziłem, że masz chłopaka.

— Miałem — odparł Jack. — Uciekł mi.

— Znowu? — Uśmiech Jacka Dandysa stał się jeszcze szerszy, mroźniejszy i doskonalszy.

— Jeden raz to błąd, Jack. Dwa: katastrofa.

— Dopadniemy go — oznajmił Jack. — To się skończy dzisiaj.

— Lepiej, żeby tak było — mruknął pan Dandys.

— Znajdziemy go na cmentarzu — oznajmił Jack.

Trzej mężczyźni pośpieszyli na dół.

Mężczyzna imieniem Jack powęszył w powietrzu. W nozdrzach czuł zapach chłopaka, u podstawy karku mrowienie. Odnosił wrażenie, jakby to wszystko już się wydarzyło wiele lat wcześniej. Przystanął, naciągnął długi czarny płaszcz wiszący w przedpokoju, kompletnie niepasujący do tweedowej marynarki i płowego płaszcza przeciwdeszczowego pana Frosta.

Drzwi na ulicę były otwarte, dzień dobiegał już kresu. Tym razem Jack wiedział dokładnie, dokąd pójść. Nie przystanął, lecz po prostu wyszedł z domu i ruszył szybkim krokiem w stronę cmentarza.

\*\*\*

Kiedy Scarlett dotarła do bramy cmentarza, odkryła, że jest zamknięta.

Szarpnęła rozpaczliwie, lecz oba skrzydła zabezpieczono już na noc kłódką. A potem obok zjawiał się Nik.

— Wiesz, gdzie jest klucz? — spytała.

— Nie mamy czasu. — Nik przywarł do metalowych prętów. — Obejmij mnie.

— Słucham?

— Po prostu mnie obejmij i zamknij oczy.

Przez chwilę Scarlett wpatrywała się w Nika, jakby rzucała mu wyzwanie. Potem chwyciła go mocno i zacisnęła powieki.

— Dobra.

Nik napał na pręty cmentarnej bramy. One także należały do cmentarza i miał nadzieję, że Swoboda, którą go obdarzono, może choć tym razem obejmie też innych ludzi.

A potem jak dym prześliznął się przez bramę.

— Możesz już otworzyć oczy.

Posłuchała.

— Jak to zrobiłeś?

— To mój dom — rzekł. — Mogę tu robić różne rzeczy.

Usłyszeli tupot butów na chodniku. Dwaj mężczyźni znaleźli się po drugiej stronie bramy, szarpiąc ją i łomocząc.

— Witam, witam. — Jack Kat poruszył wąsikami i uśmiechnął się do Scarlett przez kraty, niczym królik kryjący jakiś sekret. Lewe przedramię owinał czarnym jedwabnym sznurem; teraz szarpał go prawą dłonią w rękawiczce. Zsunął sznur z ręki w dłoń, sprawdził, przekładając z jednej do drugiej, jakby zamierzał upleść kocią kołyskę. — Wyjdź tu, dziewczynko, już w porządku. Nikt cię nie skrzywdzi.

— Chcemy tylko, żebyś odpowiedziała na kilka pytań dodał rosły i jasnowłosy mężczyzna, pan Zręczny. — To sprawa oficjalna. (Skłamał, Jackowie Wszelkich Fachów nie mieli w sobie nic oficjalnego, choć można ich było znaleźć w rządach, policjach i różnych innych miejscach).

— Biegnij! — Nik pociągnął Scarlett za rękę. Pobiegła.

— Widziałeś? — spytał Jack nazywany Katem.

— Co?

— Zobaczyłem z nią kogoś. Chłopca.

— Tego chłopca? — spytał Jack Zręczny.

— Skąd miałbym wiedzieć? Chodź tu i podsadź mnie.

Wyższy mężczyzna wyciągnął ręce, łącząc je i tworząc schodek, a Jack Kat postawił na nich stopę w czarnym buciku. Dźwignięty, wgramolił się na szczyt bramy i zeskoczył na dróżkę, lądując na czworakach niczym żaba. Wstał szybko.

— Znajdź inne wejście — polecił. — Ja idę za nimi. — Popędził krętą dróżką wiodącą na cmentarz.

\*\*\*

— Powiedz mi, co się dzieje? — prosiła Scarlett.

Nik maszerował szybko przez pogrążony w zmierzchu cmentarz, ale nie biegł. Jeszcze nie.

— To znaczy? — zapytał.

— Ten człowiek chyba chciał mnie zabić. Widziałeś, jak bawił się czarnym sznurem?

— Nie wątpię. Tamten Jack — twój pan Frost — zamierzał zabić mnie. Ma nóż.

— To nie jest mój pan Frost. No, może owszem, w pewnym sensie. Przepraszam. Dokąd idziemy?

— Najpierw musimy ukryć cię w bezpiecznym miejscu. Potem się nimi zajmę.

Wokół Nika budzili się i gromadzili mieszkańcy cmentarza, zaniepokojeni i zatroskani.

— Nik? — zagadnął Kajus Pompejusz. — Co się dzieje?

— Źli ludzie — odparł Nik. — Moglibyście mieć na nich oko? Informujcie mnie stale, gdzie są. Musimy ukryć Scarlett. Ktoś ma jakiś pomysł?

— Krypta w kaplicy? — zaproponował Thackeray Porringer.

— Pierwsze miejsce, które sprawdzą.

— Z kim ty rozmawiasz? — Scarlett wpatrywała się w Nika, jakby oszalała.

— Wewnątrz wzgórza? — podsunął Kajus Pompejusz.

Nik zastanawiał się chwilę.

— Tak, dobra myśl. Scarlett, pamiętasz miejsce, w którym znaleźliśmy Niebieskiego Człowieka?

— Mniej więcej, było bardzo ciemno. Pamiętam, że nie było się czego bać.

— Zabieram cię tam.

Pospieszili ścieżką, Scarlett wiedziała, że po drodze Nik z kimś rozmawia, lecz słyszała tylko część dyskusji. Przypominało to słuchanie, jak ktoś rozmawia przez telefon, co jej przypomniało...

— Moja matka wpadnie w szal. Już nie żyję.

— Nie — nie zgodził się Nik. — Wcale nie. Jeszcze nie. I przez bardzo długi czas. — A potem rzucił do kogoś innego: — Teraz jest dwóch razem? Jasne.

Dotarli do mauzoleum Frobisherów.

— Wejście jest za dolną trumną po lewej — poinformował Nik. — Jeśli usłyszysz, że ktoś się zbliża, i to nie będę ja, idź na sam dół. Masz sobie czym poświecić?

— Tak, breloczkiem z diodą przy kluczach.

— Świetnie.

Otworzył drzwi mauzoleum.

— I bądź ostrożna, nie potknij się ani nic takiego.

— Dokąd ty idziesz? — spytała Scarlett.

— To mój dom — oznajmił Nik. — Zamierzam go bronić.

Scarlett nacisnęła breloczek i opadła na czworaki.

Dziura za trumną była ciasna, ale zdołała się precyzyjnie przycisnąć i przyciągnąć za sobą trumnę. W słabym blasku breloczka widziała kamienne stopnie. Stała wyprostowana i z dłonią na ścianie pokonała trzy pierwsze, po czym zatrzymała się, usiadła i czekała. Miała nadzieję, że Nik wie, co robi.

— Gdzie są teraz? — zapytał.

— Jeden przy Egipskiej Ścieżce, szuka cię — odparł jego ojciec. — Jego kolega czeka przy murze. Zmierza tu jeszcze trzech, włożą na mur z wielkich kubłów.

— Chciałbym, żeby tu był Silas, rozprawiłby się z nimi raz dwa. Albo panna Lupescu.  
— Nie potrzebujesz ich — rzekł zachęcająco pan Owens.  
— Gdzie mama?  
— Przy murze.  
— Powiedz jej, że ukryłem Scarlett na tyłach grobowca Frobisherów. Poproś, żeby miała na nią oko, jeśli cokolwiek mi się stanie.  
Nik puścił się biegiem w gęstniejącym mroku. Jedyna droga na północno-wschodnią część cmentarza wiodła przez Egipską Ścieżkę. Aby tam dotrzeć, musiał wyminąć drobnego mężczyznę z czarnym jedwabnym sznurem. Mężczyznę, który go szukał i chciał zabić.  
— Jestem Nikt Owens — rzekł do siebie. Był częścią cmentarza, poradzi sobie.  
O mało nie przeoczył niskiego mężczyzny — Jacka zwanego Katem — wbiegając na Egipską Ścieżkę. Tamten niemal złał się z cieniami.  
Nik wciągnął powietrze. Zniknął jak najlepiej potrafił i przeszedł obok tamtego niczym kurz uniesiony wieczornym wiatrem.  
Szedł zarośniętą bluszczem Egipską Ścieżką, a potem potężnym wysiłkiem woli stał się tak widoczny, jak tylko mógł. Kopnął kamyk.  
Ujrzał, jak cień przy łuku odłącza się od reszty i rusza za nim, niemal tak cicho jak umarli. Nik przesliznął się przez kotarę bluszczu na końcu ścieżki i znalazł się w północno-wschodniej części cmentarza. Będzie musiał dokładnie rozegrać wszystko w czasie. Za szybko i mężczyzna go zgubi. Jeśli jednak poruszy się zbyt wolno, czarny jedwabny sznur oplecie mu szyję, odbierając oddech i wszystkie jutra.  
Przeciskał się hałaśliwie przez gąszcz bluszczu, płosząc jednego z wielu cmentarnych lisów, który odbiegł przez poszycie. Miejsce to porastała prawdziwa dżungla, pełna przewróconych nagrobków i bezgłowych posągów, drzew i krzaków ostrokrzewu, zarośli i śliskich stosów na wpół przegniłych liści. Nik badał tę dżunglę, odkąd był dość duży, by utrzymać się na nogach.  
Teraz szedł szybko, ostrożnie, przeskakując ze splątanych korzeni bluszczu na kamień i ziemię, pewny siebie. To był jego cmentarz. Nik czuł, że on sam próbuje go ukryć, chronić, sprawić, by zniknął, i walczył z tym, starał się pozostać widoczny.  
Zauważył Nehemiaha Trota i się zawahał.  
— Hola, młody Niku! — zawołał Nehemiah. — Dotarły do mnie pogłoski, że pędzisz przez te ziemie niczym kometa przez firmament. Cóż to się stało, mój dobry Niku?  
— Zostań tutaj — poprosił Nik. — Tu gdzie jesteś. Spójrz w stronę, z której przychodzę. Powiedz mi, kiedy ten człowiek się zbliży.  
Ominął porośnięty bluszczem grób Carstairsów, a potem przystanął, dysząc, jakby nie mógł złapać tchu, zwrócony plecami do prześladowcy.  
I czekał. Trwało to tylko kilka sekund, które jednak ciągnęły się jak wieczność.  
(— Jest tutaj, chłopcze — rzekł Nehemiah Trot. — Jakies dwadzieścia kroków za tobą).  
Jack zwany Katem ujrzał przed sobą chłopca i naciągnął między palcami czarny jedwabny sznur. Przez lata oplótł już wiele karków i stał się śmiercią każdego z ludzi, których objął. Był bardzo miękki, bardzo mocny i niewidzialny dla rentgenów na lotniskach.  
Wąsik Kata się poruszył. Mężczyzna widział już ofiarę i nie chciał jej spłoszyć. Zbliżał się bezszelestnie jak cień.



Chłopak się wyprostował.

Jack Kat pomknął naprzód, jego błyszczące czarne buty stąpały niemal bezszelestnie po zgniłych liściach.

(— Nadchodzi, chłopcze! — zawołał Nehemiah Trot).

Chłopak odwrócił się.

Jack Kat skoczył ku niemu... I poczuł, że ziemia rozstępuje mu się pod nogami.

Próbował go chwycić dłonią w rękawiczce, runął jednak w głąb starego grobu, całe siedem metrów, a potem wylądował na trumnie pana Carstairsa. Jej wieko i kostka mężczyzny pękły jednocześnie.

— To jeden — rzekł spokojnie Nik, choć tak naprawdę był daleki od spokoju.

— Elegancko wykonane — pogratulował Nehemiah Trot. Ułożę o tym odę. Chciałbyś zostać i posłuchać?

— Nie mam czasu — odparł Nik. — Gdzie jest reszta?

— Trzej idą południowo-zachodnią ścieżką w górę zbocza — oznajmiła Eufemia Horsfall. A Tom Sands dodał:

— Jest jeszcze jeden, w tej chwili okrąża kaplicę. To on włóczył się po cmentarzu przez ostatni miesiąc, ale teraz wydaje się jakiś inny.

— Miej oko na człowieka w grobie pana Carstairsa. I, proszę, przeproś pana Carstairsa w moim imieniu...

Zanurkował pod wiszącą nisko sosnową gałęzią i zaczął okrążyć wzgórze.

Ścieżkami, gdy mu to odpowiadało, poza ścieżkami, przeskakując z pomnika na nagrobek, kiedy tak było szybciej.

Minął starą jabłoń.

— Wciąż zostało ich czterech — oznajmił cierpki damski głos. — Czterech z nich, bez wyjątku zabójców. A reszta nie robi ci tej grzeczności i nie powpada w otwarte groby.

— Cześć, Lizo. Myślałem, że jesteś na mnie zła.

— Może jestem, a może nie — odparła. Nic więcej, tylko głos. — Ale nie zamierzam pozwolić im cię porznać.

— Zatem podcinaj ich, budź zamęt, spowolnij. Możesz to zrobić?

— Podczas gdy ty znów uciekniesz? Nikcie Owensie, czemu po prostu nie Znikniesz i nie ukryjesz się w przytulnym grobowcu mamy, gdzie nigdy cię nie znajdą? Wkrótce Silas wróci i zajmie się nimi.

— Może wróci, a może nie — odparł Nik. — Spotkamy się przy piorunowym drzewie.

— Wciąż z tobą nie rozmawiam — oświadczył głos Lizy Hempstock, dumny jak paw i żwawy jak wiewiórka.

— A właśnie, że rozmawiasz. No wiesz, rozmawiamy w tej chwili.

— Tylko w razie zagrożenia, potem ani słowa.

Nik zmierzał w stronę piorunowego drzewa, dębu spalonego przez piorun dwadzieścia lat wcześniej, z którego pozostał tylko zwęglony kikut, celujący w niebo.

Miał pomysł, nie do końca ukształtowany i zależący od tego, czy zdoła sobie przypomnieć lekcje panny Lupescu, wszystko co widział i słyszał jako dziecko.

Odnalezienie grobu okazało się trudniejsze niż przypuszczał, ale w końcu się udało — był to brzydki grób przekrzywiony pod osobliwym kątem, zwieńczony bezgłową, ociekającą wodą figurą anioła, przypominającą raczej gigantyczną bryłę grzyba. Dopiero gdy Nik go dotknął i poczuł dreszcz, zyskał pewność.

Usiadł na grobie i zmusił się do pozostania całkowicie widocznym.

— Nie Zniknąłeś — rzekł głos Lizy. — Każdy może cię znaleźć.

— I dobrze — odparł Nik. — Chcę, żeby mnie znaleźli.

— Nazwą Jacka głupcem częściej, niż Jack głupiec myśli mruknęła Liza.

Wschodził księżyc, wielka tarcza wisiała nisko na niebie. Nik zastanawiał się, czy przesadzi, jeśli zacznie gwizdać.

— Widzę go!

Mężczyzna biegł ku niemu, potykając się i chwiejąc. Dwaj inni podążali tuż za nim.

Nik był świadom obecności zgromadzonych wokół umarłych, obserwujących całą scenę.

Zmusił się jednak, by nie zwracać na nich uwagi. Usadził się wygodniej na brzydkim grobie. Czuł się jak przynęta w pułapce i nie było to przyjemne uczucie.

Bykowały mężczyzna pierwszy dotarł do grobu. Za nim pojawił się siwowłoso, który ciągle gadał, i wysoki blondyn.

Nik się nie poruszył.

— Ach — rzekł siwowłoso. — Nieuchwytny chłopak Dorianów, jak sądzę.

Zdumiewające. Nasz Jack Mróz ściga cię po całym kraju, a ty jesteś tutaj, tam gdzie cię zostawił trzynaście lat temu.

— Ten człowiek zabił moją rodzinę — stwierdził Nik.

— W istocie.

— Dlaczego?

— Co to ma za znaczenie? I tak nikomu nie powiesz.

— Ale powiedzenie mnie nic cię nie kosztuje.

Siwowłoso zaśmiał się krótko.

— Ha, zabawny z ciebie chłopak. Ja natomiast chciałbym wiedzieć, jak udało ci się przeżyć trzynaście lat na cmentarzu tak, że nikt się nie zorientował.

— Odpowiem na twoje pytanie, jeśli ty odpowiesz na moje.

— Nie mówi się w ten sposób do pana Dandysa, smarkaczu — warknął byczy kark. — Rozerwę cię, zaraz...

Siwowłoso postąpił krok bliżej grobu.

— Zamilcz, Jacku Matrosie. Zgoda, odpowiedź za odpowiedź. Moi towarzysze i ja jesteśmy członkami bractwa zwanego Jackowie Wszelkich Fachów, a także pod nazwą Łotrzy bądź też pod wieloma innymi. Nasze bractwo jest bardzo, bardzo stare, znamy... pamiętamy rzeczy, które większość zapomniała. Dawną Wiedzę.

— Magię — domyślił się Nik. — Znacie odrobinę magii.

Mężczyzna przytaknął z uśmiechem.

— Jeśli tak chcesz to nazwać. Można ją czerpać od umarłych. Coś opuszcza ten świat, coś innego się na nim pojawia.

— I dlatego zabiliście moją rodzinę? Dla magii? To śmieszne.

— Nie. Zabiliśmy ich dla ochrony. Dawno, dawno temu jeden z naszych ludzi — działał się to w Egipcie w czasach piramid — przepowiedział, że pewnego dnia na świat przyjdzie dziecko, które będzie wędrować na granicy pomiędzy żywymi i umarłymi. I jeśli to dziecko dorośnie, będzie oznaczało koniec naszego zakonu i wszystkiego, w co wierzymy. Nasi ludzie śledzili narodziny, nim jeszcze Londyn został wioską.

Obserwowaliśmy twoją rodzinę, zanim Nowy Amsterdam stał się Nowym Jorkiem. A kiedy przyszedłeś na świat, wysłaliśmy najlepszego, najbystrzejszego i

najniebezpieczniejszego z Jacków, by się z tobą rozprawił. Miał zrobić to jak należy, żebyśmy mogli przejąć złą moc i zmusić ją, by nam służyła. I żeby wszystko działało jak należy przez następne pięć tysięcy lat. Tyle że tego nie zrobił.

Nik spojrzał na trzech mężczyzn.

— W takim razie gdzie jest? Czemu go tu nie ma?

— My się tobą zajmiemy — oznajmił blondyn. — Nasz Jack Mróz ma dobry nos. Jest na tropie twojej przyjaciółki. Nie możemy zostawiać świadków. Nie po czymś takim.

Nik pochylił się, wbił dłonie w splątany perz rosnący na zapuszczonym grobie.

— To mnie złapcie — odparł jedynie.

Blondyn uśmiechnął się szeroko. Byczy kark skoczył naprzód, nawet pan Dandys postąpił kilka kroków ku niemu.

Nik jak najgłębiej wbił palce w perz, uniósł wargi, odsłaniając zęby, i wypowiedział trzy słowa w języku, który był stary, nim narodził się Niebieski Człowiek.

— Skagh! Thegh! Khavaghah!

Otworzył ghulową bramę.

Grób uniósł się niczym kłapa. W głębokiej dziurze poniżej Nik widział gwiazdy, ciemność pełną migotliwych świateł. Byczy kark, pan Matros, będący na skraju dziury, nie zdołał utrzymać równowagi i zdumiony runął w mrok.

Pan Zręczny skoczył ku Nikowi, wyciągając ręce, przeskakując nad dziurą. Nik patrzył, jak tamten zatrzymuje się w powietrzu w najwyższym punkcie skoku, wisi przez moment, a potem zostaje wessany przez ghulową bramę.

Pan Dandys stał na skraju ghulowej bramy, na kamiennej krawędzi. Spojrzał w dół, potem uniósł wzrok ku Nikowi i jego wąskie wargi wygięły się w uśmiechu.

— Nie wiem, co właśnie zrobiłeś — rzekł. — Ale nie zadziałało. — Wyjął z kieszeni dłoń w rękawiczce, trzymał w niej pistolet celujący wprost w Nika. — Powinienem być to zrobić trzynaście lat temu — dodał. — Nie można ufać innym. Jeśli coś jest ważne, trzeba to zrobić samemu.

Z ghulowej bramy powiał pustynny wiatr, gorący i suchy, niosący ze sobą piasek.

— Na dole jest pustynia — powiedział Nik. — Jeśli zaczniesz szukać wody, powinieneś ją znaleźć. Można tam też znaleźć coś do jedzenia, trzeba tylko uważnie poszukać. Ale nie drażnij nocnoskrzydłych. Unikaj Ghelheimu. Ghule mogą wymazać ci wspomnienia i przerobić na jednego z nich albo zaczekać aż zgnijesz i cię pożreć. Tak czy inaczej, istnieją lepsze wyjścia.

Lufa nawet nie drgnęła.

— Dlaczego mi to mówisz? — spytał pan Dandys.

Nik wskazał na drugą stronę cmentarza.

— Przez nich — rzekł. Gdy to powiedział, pan Dandys na moment odwrócił wzrok, a Nik zniknął.

Oczy pana Dandysa poruszały się tam i z powrotem, lecz Nika nie było już obok zniszczonego posągu.

Z głębi dołu dobiegł ich krzyk, niczym samotne skwirzenie nocnego ptaka.

Pan Dandys rozglądał się ze zmarszczonym gniewnie czołem, jego ciało dygotało z wściekłości i niepewności co robić.

— Gdzie jesteś? — warknął. — Niech cię licha! Gdzie jesteś?

Wydało mu się, że słyszy głos.

— Ghulowe bramy mają się otwierać i znów zamykać. Nie można zostawić ich otwartych. Chcą się zamknąć.

Krawędź dołu zadygotała. Pan Dandys był kiedyś świadkiem trzęsienia ziemi, wiele lat wcześniej w Bangladeszu. Teraz wyglądało to podobnie: ziemia dygotała i pan Dandys runął. Runąłby w ciemność, tyle że złapał się zwałonego nagrobka. Oplótł go rękoma i je zacisnął. Nie widział, co jest pod nim, ale nie miał ochoty sprawdzać.

Ziemia znów się zatrzęsła. Pan Dandys poczuł, że nagrobek przesuwa się pod jego ciężarem. Uniósł wzrok. Chłopak tam był, patrzył na niego.

— Zamierzam pozwolić bramie się zamknąć — oznajmił. Myślę, że jeśli nadal będziesz się trzymał, może się zamknąć na tobie i cię zmiażdżyć albo wchłonąć, tak że staniesz się jej częścią. Nie wiem, ale daję ci szansę. To więcej, niż wy daliście mojej rodzinie.

Kolejny wstrząs. Pan Dandys spojrzał w szare oczy chłopca i zaklął.

— Nie możesz wiecznie nam uciekać — rzekł. — Jesteśmy Jackami Wszelkich Fachów. Jesteśmy wszędzie. To jeszcze nie koniec.

— Dla was owszem — odparł Nik. — Koniec wasz i wszystkiego, w co wierzycie. Tak jak przewidział wasz człowiek w Egipcie. Nie zabiliście mnie. Byliście wszędzie, a teraz to już koniec. — Nik się uśmiechnął. — To właśnie robi Silas, prawda? Tam właśnie jest.

Mina pana Dandysa potwierdziła wszystkie jego podejrzenia.

Nik nigdy się nie dowiedział, co mężczyzna mógł jeszcze powiedzieć, bo puścił się nagrobka i runął powoli w głąb otwartej ghulowej bramy.

— Wegh kharados — powiedział Nik.

Brama znów stała się grobem, niczym więcej.

Coś szarpało go za rękaw. Fortynbras Bartleby patrzył na niego.

— Nik! Człowiek z kaplicy! Wspina się na wzgórze.

\*\*\*

Człowiek imieniem Jack podążał za zapachem. Zostawił pozostałych także dlatego, że smród wody kolońskiej Jacka Dandysa zagłuszał wszystkie subtelniejsze wonie.

Nie mógł znaleźć chłopaka po zapachu. Nie tutaj. Chłopak pachniał jak cementarz. Ale dziewczyna pachniała domem jej matki, kroplą perfum, którymi maznęła szyję tego ranka. Pachniała jak ofiara, zimny pot, pomyślał Jack. Jak jego zdobycz. A tam, gdzie była, wcześniej czy później znajdzie się także chłopak.

Jego dłoń zacisnęła się na rękojeści noża. Maszerował w górę zbocza. Dotarł niemal na szczyt, gdy przyszło mu do głowy — i wiedział, że to prawda — że Jacka Dandysa i pozostałych już nie ma. To dobrze, pomyślał, zwolniło się miejsce na szczycie. Jego własny awans w organizacji legł w gruzach, gdy nie zdołał zabić całej rodziny Dorianów. Zupełnie jakby nie mogli mu już ufać. Teraz, wkrótce, wszystko się zmieni.

Na szczycie wzgórze mężczyzna imieniem Jack zgubił trop dziewczyny.

Wiedział jednak, że jest blisko.

Cofnął się, niemal od niechcenia, znów wyczuł jej woń pięćdziesiąt stóp dalej, obok niewielkiego mauzoleum z zamkniętymi metalowymi drzwiami. Pociągnął je i otworzyły się szeroko.

Jej zapach był teraz bardzo silny, czuł, że dziewczyna się boi. Zaczął kolejno zsuwać z półek trumny, zrzucając je na ziemię. Stare drewno pękało, zawartość wysypywała się na

posadzkę. Nie, nie ukryła się w żadnej z nich...

A zatem gdzie?

Zbadał ścianę. Solidna. Opadł na czworaki, wyciągnął ostatnią trumnę i sięgnął. Jego dłoń natrafiła na otwór...

— Scarlett! — zawołał, próbując sobie przypomnieć, jak wymawiał jej imię, gdy był panem Frostem. Nie mógł jednak odnaleźć już tej części siebie: teraz był tylko Jackiem, nikim więcej. Wpełzł na czworakach przez otwór w ścianie.

Gdy Scarlett usłyszała dobiegający z góry łoskot, ruszyła na dół, ostrożnie, lewą ręką dotykając ściany, prawą trzymając mały breloczek z diodą, rzucający dość światła, by widziała, gdzie stawia stopy. Dotarła na sam dół i wycofała się w głąb komory. Serce waliło jej jak oszalałe.

Bała się: bała miłego pana Frosta i jego strasznych przyjaciół; tego pomieszczenia i związanych z nim wspomnień; a nawet, jeśli miała być szczerą, odrobinę bała się Nika. Nie był już cichym chłopcem otoczonym aurą tajemnicy, więzią łączącą ją z dzieciństwem. Był czymś innym, czymś nie do końca ludzkim.

Ciekawe, co w tej chwili myśli sobie mama, pomyślała. Pewnie wydzwania do domu pana Frosta, próbując się dowiedzieć, kiedy wróce. Jeśli ujdę z tego z życiem, zmuszę ją, żeby kupiła mi komórkę. To śmieszne, jestem jedyną osobą w klasie, która nie ma własnego telefonu. Tęsknię za mamą.

Nie sądziła, że jakkolwiek człowiek mógłby poruszać się tak cicho w mroku.

Lecz nagle ręka w rękawicze zamknęła jej usta, a głos jedynie odrobinę podobny do pana Frosta, rzekł beznamiętnie:

— Zrób cokolwiek cwane — w ogóle cokolwiek — i poderżnę ci gardło. Pokiwaj głową, jeśli mnie rozumiesz.

Scarlett kiwnęła głową.

\*\*\*

Nik ujrzał rumowisko na podłodze mauzoleum Frobisherów: zrzucone trumny, rozsypaną zawartość. Wokół zebrało się wielu Frobisherów i Frobyszerów, a także kilkunastu Pettyferów, zdradzających różne poziomy irytacji i konsternacji.

— Już jest na dole — oznajmił Efraim.

— Dziękuję. — Nik wgramolił się przez dziurę do wnętrza wzgórze i ruszył schodami.

Widział tak, jak widzą umarli: stopnie i komnatę na dole. A kiedy pokonał połowę schodów, dostrzegł mężczyznę, Jacka, trzymającego Scarlett. Wykręcił jej rękę za plecy, do szyi przyłożył wielki, paskudny nóż do mięsa.

Mężczyzna imieniem Jack uniósł głowę w ciemności.

— Witaj, chłopcze — rzekł.

Nik milczał, skupił się na Zniknięciu. Postąpił krok.

— Myślisz, że cię nie widzę — rzekł Jack. — I masz rację. Nie widzę. Nie do końca.

Ale czuję zapach twojego strachu. Słyszę, jak się poruszasz i jak oddychasz. A teraz, kiedy wiem już o twojej sprytniej sztuczce ze znikaniem, czuję ciebie. Powiedz coś. Powiedz tak, żebym to usłyszał, albo zacznę odcinać małe kawałki tej młodej damy. Zrozumiałeś?

— Tak — odparł Nik, jego głos odbił się echem w podziemnej komnacie. — Zrozumiałem.

— To dobrze — powiedział Jack. — A teraz chodź tutaj. Porozmawiajmy.

Nik podjął wędrówkę w dół schodów. Skupił się na Strachu, na podnoszeniu poziomu paniki w pomieszczeniu.

Groza zdawała się niemal namacalna...

— Przestań — rzucił mężczyzna imieniem Jack. — Cokolwiek robisz, przestań natychmiast.

Nik posłuchał.

— Myślisz — ciągnął Jack — że możesz mnie częstować swymi magicznymi sztuczkami? Wiesz, czym ja jestem, chłopcze?

— Jesteś Jackiem — odparł Nik. — Zabiłeś moją rodzinę. I powinieneś był zabić mnie. Jack uniósł brew.

— Powiniennem był cię zabić?

— O tak. Stary powiedział, że jeśli pozwolicie mi dorosnąć, wasz zakon zostanie zniszczony. I dorosłem. Zawiodłeś i przegrałeś.

— Mój zakon jest starszy niż Babilon. Nic go nie zniszczy.

— Nie powiedzieli ci, prawda? — Nik stał pięć kroków od Jacka. — To byli ostatni Jackowie. Jak to szło...? Kraków, Vancouver i Melbourne. Wszyscy zniknęli.

— Proszę — wtrąciła Scarlett. — Nik, każ mu mnie puścić.

— Nie martw się — odparł Nik ze spokojem, którego nie czuł. Odwrócił się do Jacka. — Nie ma sensu robić jej krzywdy. Nie ma sensu mnie zabijać. Nie rozumiesz? Zakon Jacków Wszelkich Fachów nie istnieje. Już nie.

Jack skinął z namysłem głową.

— Jeśli to prawda i jeśli jestem teraz jedynym Jackiem, mam doskonały powód, żeby zabić was oboje.

Nik milczał.

— Dumę — ciągnął mężczyzna imieniem Jack. — Dumę z mojej pracy. Dumę każącą skończyć to, co zacząłem. — A potem zapytał: — Co robisz?

Nikowi zjeżyły się włosy, czuł w pomieszczeniu wijące się dymowe zwoje.

— To nie ja — odparł. — To Swij. Strzeże pogrzebanego tu skarbu.

— Nie kłam.

— On nie kłamie — wtrąciła Scarlett. — To prawda.

— Prawda? — zdziwił się Jack. — Ukryty skarb? Nie zmuszajcie mnie...

— SWIJ STRZEŻE SKARBU DLA MISTRZA.

— Kto to powiedział? — Mężczyzna rozejrzał się.

— Słyszałeś? — zdziwił się Nik.

— Słyszałem — odrzekł Jack. — Tak.

— Ja nic nie słyszałam — rzekła Scarlett.

— Co to za miejsce, chłopcze? — spytał mężczyzna imieniem Jack. — Gdzie my jesteśmy? Nim Nik zdążył się odezwać, w komnacie rozbrzmiał głos Swija, odbijając się echem od ścian.

— TO MIEJSCE SPOCZYNKU SKARBU. TO MIEJSCE MOCY. TO TUTAJ SWIJ STRZEŻE I CZEKA NA POWRÓT SWEGO MISTRZA.

— Jack? — zapytał Nik.

Mężczyzna przekrzywił głowę.

— Dobrze jest słyszeć moje imię w twoich ustach, chłopcze. Gdybyś użył go wcześniej, szybciej bym cię znalazł.

— Jack. Jak nazywałem się naprawdę? Jak nazwała mnie moja rodzina?

— Czemu to cię interesuje?

— Swij kazał mi odnaleźć moje imię. Jak ono brzmi?

— Pomyślmy — rzekł Jack. — Może Peter? Albo Paul? Albo Roderick? Wyglądasz jak Roderick. Może nazywałeś się Stephen... — igrał sobie z chłopcem.

— Równie dobrze możesz mi powiedzieć. I tak zamierzasz mnie zabić.

Jack wzruszył ramionami i pokiwał głową w ciemności, jakby chciał odrzec: „Oczywiście”.

— Chcę, żebyś wypuścił dziewczynę — dodał Nik. — Puść Scarlett.

Jack spróbował przeniknąć wzrokiem ciemność.

— To kamienny ołtarz, prawda?

— Chyba tak.

— I nóż? Kielich? I brosza?

Teraz uśmiechał się w ciemności, Nik widział to na jego twarzy: osobliwy, pełen zachwyty uśmiech, który wydawał się nie na miejscu na tym obliczu — uśmiech zrozumienia.

Scarlett widziała jedynie czerni, która od czasu do czasu eksplodowała rozbłyskiem wewnątrz jej oczu, słyszała jednak radość w głosie Jacka.

— Zatem bractwo zostało zniszczone, synod dobiegł końca. A jednak, jeśli nawet nie ma już Jacków Wszelkich Fachów, cóż z tego? Może powstać nowe bractwo, mocniejsze niż poprzednie.

— MOC — powtórzył Swij.

— Doskonale — dodał Jack. — Spójrz tylko, jesteśmy w miejscu, którego moi ludzie szukali przez tysiące lat, ze wszystkim co niezbędne do ceremonii. Po czymś takim można uwierzyć w opatrność albo w połączone modlitwy wszystkich Jacków, którzy umarli przed nami. Bo oto w najmroczniejszej godzinie dostajemy to.

Nik czuł, jak Swij słucha słów Jacka, czuł, jak w komnacie narasta pomruk podniecenia.

— Teraz wyciągnę rękę, chłopcze — oznajmił mężczyzna imieniem Jack. — Scarlett, wciąż trzymam nóż przy twoim gardle, nie próbuj więc uciec, kiedy cię puszcze. Chłopcze, zechcesz włożyć mi w dłoń kielich, nóż i broszę?

— SKARB SWIJA — wyszeptał potrójny głos — ZAWSZE POWRACA. STRZEŻEMY GO DLA MISTRZA.

Nik pochylił się, zdjął przedmioty z kamiennej płyty i wsunął w otwartą dłoń w rękawiczce. Jack uśmiechnął się szeroko.

— Scarlett. Teraz cię puszcze. Kiedy zabiorę nóż, masz się położyć na ziemi twarzą w dół, z rękami na głowie. Jeśli się poruszysz albo czegokolwiek spróbujesz, zabiję cię boleśnie. Zrozumiałaś?

Spróbowała przełknąć ślinę, w ustach miała sucho, lecz postąpiła chwiejny krok naprzód. Prawa ręka wykręcona za plecami wisiała odrętwiała. Scarlett czuła w niej mrówki; poruszyła się, przyciskając policzek do ubitej ziemi.

Już jesteśmy martwi, pomyślała i nie poczuła nawet cienia emocji. Miała wrażenie, jakby oglądała coś, co spotyka innych ludzi, surrealistyczny dramat, który zamienił się właśnie w zabawę w morderstwo w mroku. Usłyszała, jak Jack łapie Nika...

— Puść ją — powiedział Nik.

— Jeśli zrobisz co każe, nie zabiję jej. — Głos Jacka. — Nawet jej nie skrzywdzę.

— Nie wierzę ci. Ona może cię rozpoznać.

— Nie. — Dorosły głos brzmiał pewnie. — Nie może. — A potem dodał: — Dziesięć tysięcy lat, a nóż jest wciąż ostry... Niemal dawało się wyczuć podziw dźwięczący w owym głosie. — Chłopcze. Ukłęknij na kamiennym ołtarzu. Trzymaj ręce za plecami. Już.

— MINEŁO TYLE CZASU — powiedział Swij, lecz Scarlett usłyszała jedynie oślizgły szmer, jakby olbrzymie zwoje oplatały komnatę.

Lecz mężczyzna imieniem Jack usłyszał.

— Chcesz poznać swoje imię, chłopcze, nim przeleję twoją krew na kamieniu?

Nik poczuł na szyi zimne ostrze noża i w tym momencie zrozumiał. Wszystko jakby spowolniło bieg. Wszystko się wyostrzyło.

— Znam swoje imię — odrzekł. — Jestem Nikt Owens. Oto, kim jestem. — I gdy tak klęczał na zimnym kamiennym ołtarzu, wszystko wydało mu się bardzo proste. — Swiju — rzekł, odwracając się do komnaty. — Czy nadal chcesz mieć mistrza?

— SWIJ STRZEŻE SKARBU AŻ DO POWROTU MISTRZA.

— Cóż — zaczął Nik. — Czy nie znalazłeś w końcu mistrza, którego szukałeś?

Czuł, jak Swij się zwija i rozrasta, słyszał dźwięk przypominający szuranie tysiąca uschłych gałązek, jakby coś wielkiego i umięśnionego pełzało po komnacie. A potem po raz pierwszy Nik ujrzał Swija. Potem nie potrafił opisać tego, co zobaczył: coś wielkiego, owszem; coś o ciele olbrzymiego węża, lecz z głową... czego? Było ich po trzy: trzy szyje, trzy głowy o martwych twarzach, jakby ktoś zmontował lalki z części ludzkich i ze zwierzęcych trupów. Oblicza pokrywały sine wzory wytatuowane w niebieskich zwojach, zmieniające martwe twarze w niezwykle, potworne maski.

Twarze Swija ocierały się z wahaniem o powietrze obok Jacka, jakby chciały go pogłodzić, pieścić.

— Co się dzieje? — spytał Jack. — Co to jest? Co robi?

— Nazywa się Swij. Strzeże tego miejsca. Potrzebuje mistrza, by mówił mu co ma robić — wyjaśnił Nik.

Jack zważył w dłoni nóż z krzemienia.

— Pięknie — rzekł do siebie. — Oczywiście. Czekał na mnie. I tak. Bez wątplenia ja jestem jego nowym mistrzem.

Swij okrążył komnatę.

— MISTRZ? — rzekł jak pies, który czekał cierpliwie zbyt długo. — MISTRZ — powtórzył, jak gdyby kosztował to słowo, sprawdzając jak smakuje. I smakowało dobrze, toteż powtórzył raz jeszcze, z westchnieniem tęsknoty i radości: — MISTRZ...

Jack spojrział z góry na Nika.

— Trzydzieści lat temu mi uciekłeś, teraz znów się połączyliśmy. Koniec jednego porządku. Początek następnego. Żegnaj, chłopcze. — Opuścił rękę z nożem i przyłożył ostrze do gardła chłopaka, w drugiej trzymał kielich.

— Nik — rzekł Nik. — Nie chłopiec. Nik. — Podniósł głos: — Swiju. Co zrobisz ze swym nowym mistrzem?

Swij westchnął.

— BĘDIEMY GO CHRONIĆ AŻ DO KRESU CZASU. SWIJ UKRYJE GO W SWYCH ZWOJACH NA ZAWSZE I NIE POZWOLI, BY NARAŻAŁ SIĘ NA NIEBEZPIECZEŃSTWA ŚWIATA.

— Zatem go chroń — powiedział Nik. — Teraz.



— Jestem twoim mistrzem. Będiesz mnie słuchał — oznajmił mężczyzna imieniem Jack.  
— SWIJ CZEKAŁ TAK DŁUGO — zabrzmiał tryumfalnie potrójny głos. — TAK DŁUGO.  
— Swij zaczął oplatać potężnymi, leniwymi splotami mężczyznę.

Jack upuścił kielich. Teraz w obu dłoniach trzymał noże jeden z krzemienia, drugi z czarną kościaną rączką.

— Odejdź! — rzucił. — Nie zbliżaj się do mnie!

Machnął nożem, gdy Swij owijał się wokół niego, a potem jednym miażdżącym ruchem oplótł go całego.

Nik podszedł do Scarlett i pomógł jej wstać.

— Chcę zobaczyć — powiedziała. — Chcę widzieć, co się dzieje. — Wyciągnęła swój breloczek, zapaliła diodę...

To, co zobaczyła, wyglądało inaczej niż to, co widział Nik. Nie ujrzała Swija — całe szczęście. Widziała jednak mężczyznę Jacka. Widziała strach na jego twarzy, sprawiający, że znów wyglądał jak pan Frost. W przerażeniu znowu stał się miłym nauczycielem, który odwoził ją do domu. Unosił się w powietrzu pięć, potem dziesięć stóp nad ziemią, zadając na oślep ciosy dwoma nożami, próbując dźgnąć coś, czego nie widziała, najwyraźniej bezskutecznie.

Pan Frost, mężczyzna zwany Jackiem, kimkolwiek był, oddalał się od nich jak odciągany, ciągnięty w tył, aż w końcu z rozrzuconymi i wymachującymi rękami i nogami przywarł do ściany komnaty.

Scarlett wydało się, że coś wciąga go w ścianę, w skałę, która połyka go powoli.

Teraz pozostała już tylko twarz. Krzyczał szaleńczo, rozpaczliwie, błagając Nika, by odwołał stwora, uratował go, proszę... A potem twarz mężczyzny zagłębiła się w ścianie i głos umilkł.

Nik wstał od ołtarza. Poniósł z ziemi kamienny nóż, kielich i broszę i odłożył na miejsce. Czarny metalowy nóż zostawił tam, gdzie upadł.

— Mówiłeś, że Swij nie może nikogo skrzywdzić — powiedziała Scarlett. — Że potrafi tylko budzić w nas strach.

— Tak — odparł Nik. — Ale pragnął mistrza, którego mógłby chronić. Sam mi powiedział.

— To znaczy, że wiedziałeś. Wiedziałeś, że tak się stanie.

— Owszem. Miałem nadzieję.

Pomógł jej wejść po schodach i przecisnąć się obok pograżonego w chaosie mauzoleum Frobisherów.

— Muszę to wszystko posprzątać — oznajmił spokojnie Nik.

Scarlett próbowała nie patrzeć na leżące na podłodze szczątki.

Wyszli na cmentarz.

— Wiedziałeś, że tak się stanie — powtórzyła tępo.

Tym razem Nik milczał.

Spojrzała na niego, niepewna, co właściwie widzi.

— Czyli wiedziałeś. Że Swij go zabierze. To dlatego ukryłeś mnie tam na dole? Dlatego? Tym właśnie dla ciebie byłam? Przynętą?

— To nie tak — odparł i po chwili dodał: — Poza tym, oboje nadal żyjemy, a on nie będzie nas już nękał.

— Scarlett czuła, jak wzbierają w niej gniew i wściekłość.

Strach zniknął, pozostało tylko pragnienie rzucenia się do gardła, krzyku. Walczyła z nim.

— A co z pozostałymi? Ich też zabiłeś?

— Nikogo nie zabiłem.

— W takim razie gdzie są?

— Jeden leży na dnie głębokiego grobu ze złamaną kostką. Pozostali trzej, cóż... są bardzo daleko stąd.

— Nie zabiłeś ich?

— Oczywiście, że nie — zaprotestował Nik. — To mój dom. Miałbym spowodować, by włączyli się tutaj po kres czasu? Posłuchaj, już wszystko dobrze. Rozprawiłem się z nimi. Scarlett cofnęła się o krok.

— Nie jesteś człowiekiem — powiedziała. — Ludzie tak się nie zachowują. Jesteś równie zły jak on. Potwór.

Nik poczuł, jak krew odpywa mu z twarzy. Po wszystkim, przez co przeszedł tej nocy, po wszystkim co się stało, to okazało się najtrudniejsze.

— Nie. To nie tak.

Scarlett zaczęła się cofać.

Postąpiła krok, dwa i już miała uciec, odwrócić się i puścić szaleńczym, rozpaczliwym biegiem po skąpanym w blasku księżyca cmentarzu, gdy wysoki mężczyzna w czarnym aksamicie położył jej dłoń na ramieniu.

— Lękam się, że niesprawiedliwie potraktowałaś Nika powiedział. — Ale bez wątpienia będziesz szczęśliwsza, jeśli zapomnisz o wszystkim. Przejdźmy się zatem razem, ty i ja, i pomówmy o tym, co się z tobą działo przez ostatnie kilka dni. Co lepiej byłoby zachować, a co zapomnieć.

— Silasie — wtrącił Nik. — Nie możesz. Nie możesz sprawić, by o mnie zapomniała.

— Tak będzie najbezpieczniej — odparł Silas. — Dla niej, jeśli nie dla nas wszystkich.

— Czy moje... moje zdanie się nie liczy?

Silas milczał. Nik zrobił krok w stronę Scarlett.

— Posłuchaj, to już koniec. Wiem, że bolało. Ale... Zrobiliśmy to. Ty i ja. Pokonaliśmy ich.

Jej głowa poruszała się, jakby Scarlett zaprzeczała wszystkiemu co widziała; wszystkiemu czego doświadczyła.

Spojrzała na Silasa.

— Chcę wrócić do domu — powiedziała jedynie. Proszę.

Silas skinął głową. Ruszył z dziewczyną ścieżką wiodącą do wyjścia z cmentarza. Nik patrzył za odchodzącą Scarlett. Miał nadzieję, że się obróci i spojrzy na niego, uśmiechnie się bądź jedynie popatrzy bez strachu w oczach. Lecz Scarlett się nie odwróciła. Po prostu odeszła.

Nik wrócił do mauzoleum. Musiał się czymś zająć, zaczął więc zbierać pozrzucone trumny, sprzątać śmieci, układać w trumnach rozsypane kości. Z zawodem odkrył, że żaden z wielu Frobisherów, Frobysherów i Pettyferów zebranych wokół nie miał absolutnej pewności, które szczątki przynależą do którego pojemnika.

\*\*\*

Jakiś mężczyzna przyprowadził Scarlett do domu. Później matka Scarlett nie mogła sobie dokładnie przypomnieć, co jej powiedział. Przeżyła jednak spory zawód, słysząc, że bardzo miły Jay Frost musiał, niestety, wyjechać nagle z miasta.

Mężczyzna rozmawiał z nimi w kuchni o ich życiu i marzeniach i pod koniec rozmowy matka Scarlett w jakiś sposób podjęła decyzję, że wróca do Glasgow: Scarlett ucieszy się, że będzie blisko ojca i spotka starych przyjaciół.

Silas pozostawił dziewczynę i jej matkę w kuchni. Rozmawiały właśnie o problemach związanych z przeprowadzką do Szkocji, a Noona obiecywała, że kupi Scarlett telefon. Zdążyły już zapomnieć, że Silas kiedykolwiek je odwiedził, i to mu odpowiadało.

Wróciwszy na cmentarz, zastał Nika siedzącego z zaciętą miną w amfiteatrze obok obelisku.

— Co u niej?

— Odebrałem jej wspomnienia — odparł Silas. — Wróca do Glasgow. Ma tam przyjaciół.

— Jak mogłeś sprawić, że mnie zapomniała?

— Ludzie chcą zapominać o tym co niemożliwe. Dzięki temu ich świat staje się bezpieczniejszy.

— Lubilem ją — powiedział Nik.

— Przykro mi.

Nik spróbował się uśmiechnąć, nie zdołał jednak odnaleźć w sobie uśmiechu.

— Ci ludzie... rozmawiali o kłopotach w Krakowie, Melbourne i Vancouver. To byłeś ty, prawda?

— Nie sam — odrzekł Silas.

— Panna Lupescu? — domyślił się Nik, po czym, widząc wyraz twarzy opiekuna, dodał szybko: — Czy z nią wszystko dobrze?

Silas pokręcił głową. Przez chwilę Nik nie mógł patrzeć na jego oblicze.

— Walczyła dzielnie. Walczyła dla ciebie, Niku.

— Swój zabrał tamtego Jacka... Z pozostałych trzech przelecieli przez gholową bramę, a jeden ranny lecz wciąż żywy leży w grobie Carstairsów.

— To ostatni z Jacków — odparł Silas. — Muszę się z nim rozmówić jeszcze przed wschodem słońca.

Wiatr wiejący na cmentarzu był zimny, lecz ani mężczyzna, ani chłopak jakby go nie czuli.

— Ona się mnie bała — rzekł Nik.

— Tak.

— Ale dlaczego? Ocaliłem jej życie. Nie jestem złym człowiekiem. Nie różnię się od niej. Ja też żyję. — Po czym dodał: — Jak zginęła panna Lupescu?

— Dzielnie — odparł Silas. — W bitwie. Chroniąc innych.

Oczy Nika pociemniały.

— Mogłeś ją tu zabrać. Pogrzebać. Wówczas mógłbym z nią rozmawiać.

— To nie było możliwe — wyjaśnił Silas.

Nika zapiekło coś pod powiekami.

— Nazywała mnie Nimini. Nikt inny już nigdy mnie tak nie nazwie.

— Może pójdziemy i poszukamy ci czegoś do jedzenia? — zaproponował Silas.

— Pójdziemy? Chcesz, żebym ci towarzyszył?

— Nikt nie próbuje już cię zabić. Nie teraz. Jest mnóstwo rzeczy, których nikt już nie

będzie robił. Zatem, na co masz ochotę?

Nik zastanawiał się czy nie odpowiedzieć, że nie jest głodny. Ale musiałby skłamać. Czuł lekkie mdłości, zawroty głowy i konał z głodu.

— Pizzę? — podsunął.

Przeszli przez cmentarz aż do bramy. Idąc, Nik widział mieszkańców cmentarza, pozwalali jednak chłopcu i opiekunowi przejść bez słowa. Jedyne patrzyli.

Nik próbował im podziękować za pomoc, wyrazić swą wdzięczność. Lecz martwi milczeli. Światła restauracji z pizzą płonęły jasno, jaśniej niż to Nikowi odpowiadało.

Usiedli z Silasem pod ścianą w głębi lokalu. Silas pokazał mu, jak korzystać z jadłospisu i zamówić jedzenie (sam poprosił o szklankę wody i małą sałatkę; grzebał widelcem w talerzu, lecz ani razu nie uniósł go do ust).

Nik zjadł pizzę palcami, z zapałem i apetytem. Nie zadawał pytań. Wiedział, że Silas wyjaśni wszystko w swoim czasie. Albo nie.

— Wiedzieliśmy o nich... o Jackach... już od bardzo, bardzo dawna. Ale tylko poprzez skutki ich działań. Podejrzewaliśmy, że stoi za nimi organizacja, lecz ukrywali się zbyt zręcznie. A potem przyszli po ciebie i zabili twoją rodzinę. I powoli zdołałem odnaleźć ich ślad.

— To „my” to ty i panna Lupescu? — chciał wiedzieć Nik.

— Owszem, a także inni nam podobni.

— Gwardia Honorowa — domyślił się Nik.

— Gdzie o nas słyszałeś? Zresztą nieważne. Jak to mówią, mały dzbanek ma największe uszy. Tak. Gwardia Honorowa. — Silas uniósł szklankę z wodą, przyłożył ją do ust, zwilżył wargi, po czym odstawił naczynie na błyszczący czarny blat.

Powierzchnia stołu przypominała lustro i gdyby ktokolwiek zerknął, zauważyłby z pewnością, że wysoki mężczyzna nie ma odbicia.

— No tak. A teraz, kiedy już skończyłeś... skończyłeś z tym wszystkim, zamierzasz zostać?

— spytał Nik.

— Dałem słowo — odrzekł Silas. — Będę tu, dopóki nie dorosniesz.

— Już dorosłem.

— Nie. Prawie. Jeszcze nie.

Położył na blacie dziesięciofuntowy banknot.

— Ta dziewczyna... — zaczął Nik. — Scarlett. Dlaczego tak bardzo się mnie bała?

Silas nie odpowiedział i pytanie zawisło w powietrzu. Mężczyzna i młodzieniec wyszli z jasnej restauracji w czekającym na nich mrok i wkrótce pochłonęła ich noc.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

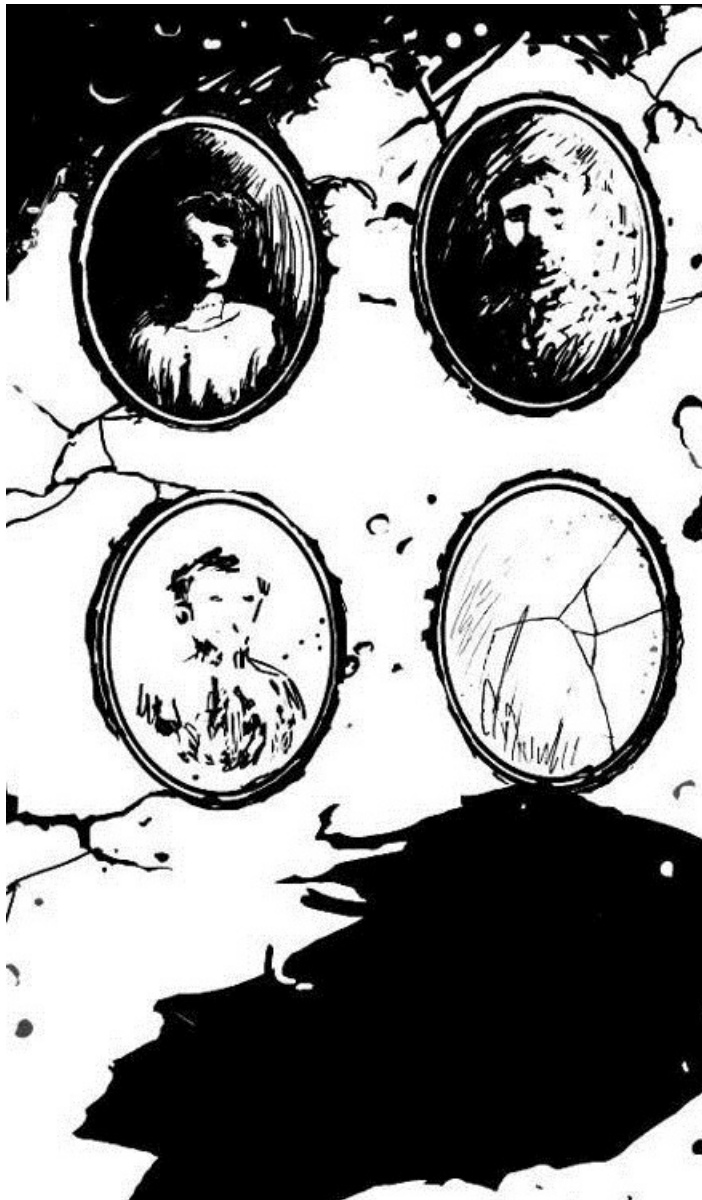
### Rozstania i pożegnania

Czasami nie widział już umarłych. Zaczęło się to miesiąc czy dwa wcześniej, w kwietniu bądź maju. Z początku zdarzało się jedynie od czasu do czasu, teraz coraz częściej.

Świat się zmieniał.

Nik przeszedł na północno-zachodnią część cmentarza, do gęstwiny bluszczu zwisającej z rozłożystego cisu i częściowo przysłaniającej dalszy wylot Egipskiej Ścieżki. Ujrzał rudego lisa i wielkiego czarnego kota z białą obrózką i łapkami, gawędzących pośrodku

ścieżki. Gdy się zbliżył, zaskoczone zwierzęta uniosły głowy, po czym umknęły w poszycie, jakby przyłapał je na spiskowaniu.



Dziwne, pomyślał. Znał lisa od czasów szczeniństwa, a kot krążył po cmentarzu, odkąd Nik pamiętał. Poznawały go. Gdy były w nastroju, pozwalały się nawet pogłaskać.

Zaczął przenikać przez bluszcz, ten jednak zagroził mu drogę. Nik musiał się pochylić, odepchnąć go i się przecisnąć. Ostrożnie stąpał ścieżką, unikając wybojów i dziur. W końcu dotarł do imponującego kamienia, oznaczającego miejsce ostatniego spoczynku Alonso Tomasa Garcii Jonesa (1837-1905, Wędrowcze, Odrzuć Swą Laskę).

Nik przychodził tu co kilka dni od wielu miesięcy: Alonso Jones zwiedził cały świat i z wielką przyjemnością opowiadał chłopcu o swych podróżach. Zaczynał, mówiąc: „Nigdy nie spotkało mnie nic ciekawego”. Po czym dodawał ponuro: „I opowiedziałem ci już wszystkie historie”, a potem jego oczy błyskały i dodawał: „Poza jedną... czy mówiłem ci kiedyś o...?”. I nieważne, czy następne słowa brzmiały: „tym jak uciekłem z Moskwy?” albo: „tym, jak zgubiłem kopalnię złota na Alasce, wartą fortunę”, albo: „o stampede

bydła w pampasach?”. Nik zawsze potrząsał głową, patrzył z wyczekiwaniem i wkrótce w głowie kręciło mu się już od opowieści o wędrówkach i przygodach, o całowanych ślicznotkach i złoczyńcach postrzelonych z pistoletów bądź przebijanych szpadą, o workach złota i diamentach wielkich jak czubek kciuka, zaginionych miastach i olbrzymich górach, parowych pociągach i kliprach, pampasach, oceanach, pustyniach i tundrach.

Nik podszedł do wysokiego, szpiczastego kamienia, na którym wyrzeźbiono odwrócone pochodnie, i czekał, lecz nie dostrzegł nikogo. Zawołał Alonsa Jonesa, zastukał nawet w nagrobek, lecz nikt nie odpowiedział. Nik pochylił się, chcąc wsunąć głowę do grobu i wezwać przyjaciela. Lecz zamiast przeniknąć przez ziemię niczym cień wsiąkający w jeszcze głębszy cień, jego głowa uderzyła o nią z głośnym, bolesnym łupnięciem. Znów zawołał, nie zobaczył jednak nikogo i niczego, toteż ostrożnie opuścił gąszcz zieleni i szarych kamieni i wrócił na ścieżkę. Trzy sroki, siedzące na rozłożystym krzaku głogu, na jego widok zerwały się do lotu.

Nie dostrzegł nikogo, dopóki nie dotarł na południowo-zachodnie zbocze, gdzie pojawiła się znajoma sylwetka Mateczki Slaughter, drobnej niewiasty w wysokim czepku i w płaszczu. Spacerowała między grobami ze spuszczoną głową, przyglądając się dzikim kwiatom.

— Tutaj, chłopcze! — zawołała. — Są tu dzikie nastenturencje. Może zbierzesz mi kilka i położysz na moim grobie?

Nik zebrał bukietek żółtych i czerwonych nasturcji i zaniósł na nagrobek Mateczki Slaughter, tak spękany i zwietrzały, że pozostały na nim już tylko litery układające się w słowo:

Laugh

— śmiech, co od stu lat dziwiło miejscowych historyków. Z szacunkiem złożył przed nim kwiaty.

Mateczka Slaughter uśmiechnęła się do niego.

— Dobry z ciebie chłopak. Nie wiem, co bez ciebie poczniemy.

— Dziękuję — odparł Nik. Po chwili zapytał: — Gdzie są wszyscy? Jesteś pierwszą osobą, którą dziś spotkałem.

Mateczka Slaughter spojrzała na niego ostro.

— Co sobie zrobiłeś w czoło?

— Uderzyłem się o grób pana Jonesa. Był twardy, ja...

Lecz mateczka Slaughter ściągnęła wargi i przekrzywiła głowę. Bystre, stare oczy przyglądały się Nikowi spod czepka.

— Nazwałam cię chłopcem, prawda? Ale czas mija w mgnieniu oka i teraz jesteś już młodym mężczyzną. Ile masz lat?

— Chyba około piętnastu. Ale wciąż czuję się tak samo jak zawsze — zaprotestował Nik.

Mateczka Slaughter przerwała mu.

— A ja wciąż się czuję jak wtedy, gdy byłam drobnym stworzeniem splatającym wianki ze stokrotek na starym pastwisku. Człowiek zawsze pozostaje sobą, to się nie zmienia. Lecz on sam zmienia się nieustannie i nic na to nie poradzi. — Usiadła na pękniętej kamiennej płycie. Pamiętam noc, gdy się tu zjawiłeś, chłopcze. Powiedziałam: „Nie możemy pozwolić małemu odejść”. Twoja matka się zgodziła i wszyscy zaczęli się wyklócać. Wyklócali się i wyklócali, dopóki nie zjawiła się Szara Pani. „Ludu cmentarza”

— rzekła — „posłuchaj Mateczki Slaughter. Czy wy nie macie w swych kościach litości?”. I wtedy wszyscy się ze mną zgodzili. — Pokręciła drobną głową. — Niewiele się tu dzieje, co odróżniałoby jeden dzień od drugiego. Pory roku się zmieniają. Bluszcz rośnie. Kamienie upadają. Ale twoje przybycie... cóż, cieszę się, że się zjawileś, i tyle.

Wstała, wyciągnęła z rękawa brudny kawałek płótna, splunęła na niego, sięgnęła i starła krew z czoła Nika.

— Proszę, teraz wyglądasz elegancko — rzekła surowym tonem. — A nie wiem, kiedy znów cię zobaczę. Uważaj na siebie.

Czując niepokój, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył, Nik wrócił do grobowca Owensów. Ucieszył się, widząc oboje rodziców czekających na niego. Gdy się zbliżył, radość zmieniła się w troskę. Dlaczego pan i pani Owens stali po obu stronach grobu jak postaci na witrażu? Nie potrafił nic odczytać z ich twarzy.

Ojciec postąpił krok naprzód.

— Dobry wieczór, Niku — rzekł. — Ufam, że dobrze się miewasz.

— Znośnie — odparł Nik. Tak właśnie odpowiadał pan Owens przyjaciółom, gdy zadawali mu to samo pytanie.

— Pani Owens i ja całe życie marzyliśmy o dziecku — oznajmił pan Owens. — Nie wierzę, że moglibyśmy mieć lepszego syna od ciebie, Niku. — Spojrzał na niego z dumą.

— No tak, dziękuję, ale... — Nik odwrócił się do matki, pewien, że ona powie mu w końcu, co się dzieje. Lecz jej już tam nie było. — Gdzie się podziała?

— Ach. Tak. — Pan Owens sprawiał wrażenie skrepowanego. — Znasz przecież Betsy. Czasami tak bywa, że nie wiesz co powiedzieć. Wiesz?

— Nie — przyznał Nik.

— Spodziewam się, że Silas na ciebie czeka — oznajmił ojciec i on także zniknął.

Minęła już północ. Nik ruszył w stronę starej kaplicy. Podczas ostatniej burzy drzewo wyrastające z rynny wieżyczki runęło, pociągając za sobą garść czarnych łupkowych dachówek.

Usiadł na szarej drewnianej ławce, ale Silas się nie zjawił.

Nagle powiał wiatr. Był późny letni wieczór, kiedy zmierzch trwa wiecznie, lecz mimo ciepła Nik poczuł na ramionach gęsią skórkę.

— Powiedz, że będziesz za mną tęsknił, głuptasie — rzekł głos przy jego uchu.

— Liza? — zdziwił się Nik. Od ponad roku nie widział ani nie słyszał młodej czarownicy. Ostatnio rozmawiali w noc Jacków Wszelkich Fachów. — Gdzie się podziewałaś?

— Obserwowałam — odparła. — Czy dama musi zdradzać wszystkie swe sekrety?

— Obserwowałaś mnie?

— Zaiste, Nikcie Owensie, szkoda życia dla was żywych rzekł głos Lizy przy jego uchu. — Bo jedno z nas jest zbyt głupie, by żyć, i to nie jestem ja. Powiedz, że będziesz za mną tęsknił.

— A dokąd się wybierasz? — zdziwił się, po czym dodał: — Oczywiście, że będę za tobą tęsknić, gdziekolwiek odejdziesz...

— Za głupi — wyszeptala Liza Hempstock i poczuł na dłoni muśnięcie jej palców. — Za głupi, by żyć.

Wargi dotknęły jego policzka w kąciku ust. Ucałowała go lekko, a on był zbyt oszołomiony, zbyt zagubiony, by wiedzieć, co ma robić.

— Ja też będę za tobą tęsknić — rzekł jej głos. — Zawsze.



Powiew wiatru zmierzwił mu włosy — a może to była jej ręka? — a potem poczuł, że jest sam na ławce.

Wstał.

Podszedł do drzwi kaplicy, uniósł kamień leżący obok ganku i wyciągnął zapasowy klucz, pozostawiony tu przez dawno zmarłego kościelnego. Otworzył wielkie drewniane drzwi, nie sprawdzając nawet, czy zdoła przez nie przeniknąć. Uchyliły się, protestując głośno. Wnętrze kaplicy było ciemne. Nik odkrył, że mruży oczy, usiłując przeniknąć wzrokiem mrok.

— Wejdz, Niku. — To był głos Silasa.

— Nic nie widzę — rzekł Nik. — Jest za ciemno.

— Już? — Silas westchnął.

Nik usłyszał aksamitny szelest, potem trzask zapalnika, która zapaliła dwie wielkie świece osadzone w rzeźbionych drewnianych lichtarzach na tyłach pomieszczenia. W ich blasku zobaczył swego opiekuna, stojącego obok skórzanego kufra, z rodzaju tych, których używano na parowcach, dość dużego, by pomieścić nawet śpiącego rosnącego mężczyznę. Obok niego stała czarna skórzana torba Silasa, którą Nik widział już wcześniej kilka razy, lecz wciąż niezmiernie mu imponowała.

Kufer wyłożono bielą. Nik wsunął do niego dłoń i dotknął jedwabiu i zaschniętej ziemi.

— To tutaj sypiasz? — spytał.

— Gdy jestem z dala od domu, owszem — przyznał Silas.

Nik się zdumiał. Silas przebywał tu, odkąd pamiętał i dłużej.

— To nie jest twój dom?

Tamten pokręcił głową.

— Mój dom jest daleko, bardzo daleko stąd, jeśli w ogóle nadaje się jeszcze do zamieszkania. W mojej ojczyźnie sporo się działo i wcale nie jestem pewien, co zastanę po powrocie.

— Ty wracasz? — zdziwił się Nik. Rzeczy dotąd niezmiennie zaczynały się zmieniać. — Naprawdę nas opuszczasz? Ale... Jesteś moim opiekunem.

— Byłem twoim opiekunem. Masz już dość lat, by samemu się sobą zaopiekować. A ja muszę strzec też innych rzeczy.

Silas opuścił wieko brązowego skórzanego kufra i zaczął zapinać paski i sprzączki.

— Nie mógłbym zostać tutaj? Na cmentarzu?

— Nie wolno ci — odparł Silas łagodniej niż kiedykolwiek dotąd. — Wszyscy tutejsi ludzie przeżyli już swoje życia, Niku, nawet jeśli były krótkie. Teraz nadeszła twoja kolej. Musisz żyć.

— Mógłbym pójść z tobą?

Silas pokręcił głową.

— Zobaczmy się jeszcze?

— Może. — W głosie Silasa dzwięczała ciepła nuta i coś jeszcze. — A niezależnie od tego, czy ty mnie ujrzysz, czy nie, ja bez wątpienia zobaczę ciebie. — Przysunął kufer do ściany i podszedł do drzwi w kącie. — Chodź za mną.

Nik pomaszerował śladem Silasa krótkimi spiralnymi schodami do krypty.

— Pozwoliłem sobie spakować twoje rzeczy — wyjaśnił Silas, gdy dotarli na dół.

Na pudle spleśniałych psalterzy czekała niewielka skórzana walizka, miniaturowa bliźniaczka torby Silasa. — W środku znajdziesz cały swój dobytek.

— Opowiedz mi o Gwardii Honorowej, Silasie — poprosił Nik. — Ty w niej jesteś, panna Lupescu w niej była. Kto jeszcze? Czy jest was wielu? Co robicie?

— Nie dość wielu — odparł Silas. — Zazwyczaj strzeżemy ziem granicznych. Pilnujemy granic.

— Jakich granic?

Silas milczał.

— Masz na myśli powstrzymywanie takich jak Jack i jego ludzie?

— Robimy to, co musimy — odrzekł Silas. W jego głosie dźwięczało znużenie.

— Ale postąpiliście jak należy, no wiesz, powstrzymując Jacków. Oni byli straszni. Byli potworami.

Silas zrobił krok w stronę Nika, który musiał unieść głowę, by spojrzeć w bladą twarz wysokiego mężczyzny.

— Nie zawsze postępowałem słusznie — rzekł Silas. — Kiedy byłem młodszy... robiłem gorsze rzeczy niż Jack. Gorsze niż ktokolwiek z nich. Byłem wtedy potworem, Niku, kimś gorszym od potwora.

Nikowi nie przyszło nawet do głowy zastanawiać się, czy opiekun nie kłamie bądź żartuje. Wiedział, że słyszy prawdę.

— Ale już nim nie jesteś. Zgadza się?

— Ludzie się zmieniają. — Silas umilkł. Nik zastanawiał się, czy jego opiekun coś wspomina. Po chwili mężczyzna dodał: — Opiekowanie się tobą było dla mnie zaszczytem, młodzieńcze. — Jego dłoń zniknęła pod płaszczem i gdy się pojawiła, trzymała stary sfatygowany portfel. — To dla ciebie, weź go.

Nik wziął portfel, lecz go nie otworzył.

— W środku są pieniądze. Dość, byś mógł zacząć nowe życie, ale nie więcej.

— Poszedłem dziś pomówić z Alonso Jonesem, ale go tam nie było. Albo jeśli był, to ja go nie widziałem. Chciałem, żeby mi opowiedział o odległych miejscach, które odwiedził, wyspach i delfinach, lodowcach i górach, miejscach gdzie ludzie ubierają się i jedzą najdziwniejsze rzeczy. — Nik się zawahał. — Te miejsca wciąż tam są, prawda? Poza cmentarzem jest cały wielki świat. Czy mogę go zobaczyć? Mogę tam pojechać?

— Silas przytaknął.

— Owszem, jest tam cały wielki świat. W wewnętrznej kieszeni walizki znajdziesz paszport, wystawiony na nazwisko Nikt Owens. Niełatwo go było zdobyć.

— A gdybym zmienił zdanie, mogę tutaj wrócić? — spytał Nik, po czym sam sobie odpowiedział: — Jeśli wrócę, to będzie miejsce, ale już nie dom.

— Chcesz, żebym cię odprowadził do bramy? — spytał Silas.

Nik pokręcił głową.

— Lepiej, żebym zrobił to sam. Uhm. Silasie. Gdybyś kiedyś miał kłopoty, wezwij mnie. Zjawię się i pomogę.

— Ja — odrzekł Silas — nie miewam kłopotów.

— No tak, pewnie nie. Ale jednak.

Krypta była ciemna, pachniało w niej pleśnią, wilgocią i starymi kamieniami.

Po raz pierwszy wydała mu się bardzo mała.

— Chcę poznać życie — oznajmił Nik. — Chcę ująć je w dłonie. Chcę zostawić ślad stopy na piasku bezludnej wyspy, chcę grać z ludźmi w piłkę. Chcę... — Zastanawiał się chwilę.

— Chcę wszystkiego.

— To dobrze. — Silas uniósł dłoń, jakby odgarniał włosy z oczu, niezwykle nietypowym gestem. — Jeśli kiedykolwiek zdarzy się, że będę miał kłopoty, faktycznie poślę po ciebie.

— Chociaż nie miewasz kłopotów?

— Jak powiedziałeś.

Na ustach Silasa pojawił się wyraz, który mógł być uśmiechem, może grymasem żalu, a może jedynie grą cieni.

— A zatem żegnaj, Silasie. — Nik wyciągnął rękę, jak wtedy, gdy był mały.

Silas ujął ją chłodną dłonią barwy starej kości i uściśnął z powagą.

— Żegnaj, Nikcie Owensie.

Nik podniósł swą walizeczkę. Otworzył drzwi, przekroczył próg krypty i ruszył z boczem w stronę ścieżki, nie oglądając się za siebie.

Brama już dawno była zamknięta. Zastanawiał się, czy nadal go przepuści, czy będzie musiał wrócić do kaplicy i zabrać klucz. Gdy jednak dotarł na miejsce, odkrył, że mała boczna furtka wciąż stoi otworem, jakby na niego czekała, jakby sam cmentarz się z nim żegnał.

Przy otwartej furtce ujrzał bladą, pulchną postać. Uśmiechnęła się, gdy się zbliżył, w promieniach księżyca dostrzegł łzy w jej oczach.

— Witaj, matko — powiedział.

Pani Owens otarła oczy wierzchem dłoni, potem rąbkiem fartucha. Pokręciła głową.

— Wiesz, co teraz zrobisz? — spytała.

— Zobaczę świat — odparł Nik. — Wpadnę w tarapaty, wyzwolę się z nich.

Odwiedzę dżungle, wulkany, pustynie i wyspy. I ludzi. Chcę poznać mnóstwo ludzi.

Pani Owens nie odpowiedziała od razu, przyglądała mu się. A potem zaczęła śpiewać piosenkę, którą Nik pamiętał, tę samą, którą nuciła mu, kiedy był malutki, którą usypiała go w dzieciństwie.

Śpij, maleńki, słodko śpij,  
pośpij jeszcze chwile,  
gdy dorośniesz, ruszysz w świat,  
jeśli się nie mylę.

— Nie mylisz się — wyszeptał Nik. — I ruszę.

Poznasz miłość,  
tańca krztynę,  
znajdziesz skarb  
i swoje imię.

I wtedy pani Owens przypomniała sobie ostatnie linijki i odśpiewała je synowi.

Radość życia,  
ból i winę.  
Nie zostaniesz w tyle.

— Nie zostaniesz w tyle — powtórzył Nik. — Trudne wyzwanie, ale się postaram. Próbował objąć matkę, jak to robił, gdy był dzieckiem. Równie dobrze jednak mógłby spróbować uchwycić mgłę, bo został na ścieżce sam. Postąpił krok naprzód, przechodząc przez furtkę prowadzącą poza cmentarz. Wydało mu się, że słyszy głos, mówiący: „Jestem z ciebie taka dumna, mój synu”, ale może jedynie go sobie wyobraził. Na wschodzie letnie niebo zaczynało już jaśnieć i tam właśnie ruszył Nik: w dół wzgórza, w stronę żywych, i miasta, i świtu. W torbie miał paszport, w kieszeni pieniądze. Na jego wargach tańczył uśmiech, choć niepozbawiony czujności, bo świat to większe miejsce niż mały cmentarz na wzgórzu, ma w sobie tajemnice i niebezpieczeństwa, nowych przyjaciół, których może poznać, i starych, których odkryje na nowo. Błędy, które popełni, i wiele ścieżek, na które trafi, nim w końcu powróci na cmentarz bądź pojedzie z Panią na szerokim grzbiecie wielkiego siwego ogiera. Lecz pomiędzy tą chwilą a chwilą obecną rozciągało się życie i Nik wkroczył w nie z otwartymi oczami i sercem.